

TOMASZ KOŁODZIEJCZAK

Czarny horyzont

Czerwone słońce kryło się już za górą, której karmazynowy cień padał na porastający podnóża las i ukrytą w nim wioskę.

Była to całkiem spora osada. Koślawe domy otaczały z trzech stron centralny plac. Ocalałe betonowe ściany wojennych ruin obudowano drewnem i kamieniem, niechlujnie i bez umiejętności. Większość nie miała okien, a nieliczne otwory w ścianach teraz zasłonięto drewnianymi okiennicami. Czwarty bok majdanu wychodził na pola, prowadziła do niego szeroka droga, szczątek asfaltowej szosy sprzed dziesięcioleci, wysypana leszem, czerniącym bose stopy wędrowców.

Tym właśnie traktem nadszedł konwój, szary robak cuchnący potem, kałem i krwią, złożony z kilkudziesięciu dorosłych i tyluż dzieci w wieku czterech, pięciu lat.

- Tu! - chrapliwy krzyk przeciął przestrzeń, sięgając wszystkich idących w dwuszeregu ludzi. Ciężce bólu przeszło ich plecy, jakby otrzymali cios biczem. Niemal równocześnie padli na kolana, odwracając się w stronę jegra i odruchowo pochylając głowy. Dzieci płakały, próbując przysunąć się do rodziców, ale ci na to nie reagowali. Dziewczynka, drobna, chuda blondynka o skołtunionych włosach, zamiast uklęknąć, podbiegła do matki. Doczekała się jedynie uderzenia w twarz. Krew popłynęła z nosa, dziecko zatoczyło się, upadło, zaniósło płaczem. Kobieta nawet nie spojrzała na córkę, jeszcze bardziej tylko skuliła się, zgięła w pokłonie, wbijając palce w ziemię. Nie pomogło.

- Ty! - Wierzchowiec jegra nie drgnął nawet, ale wydawało się, że sługa barlogów na moment zbliżył się do kobiety, pochylił nad nią, urósł. Czarna nemezis wydała wyrok.

Kobieta zadygotała, padła na twarz, piana popłynęła z jej ust, krew z uszu. Wiła się na ziemi, ale nawet umierając, nie odważyła się powiedzieć słowa.

- Źle chowała. Za łagodnie.

Jegrzy rzadko mówili długimi zdaniami. Nie dawali też dobrych rad. Czasem, tak jak ten waffenritter, pouczali. Nie za często - najwyraźniej lubili, kiedy ludzie łamali reguły, bo wtedy można ich było karać.

Tak jak tę matkę, która nie nauczyła swej córki posłuszeństwa i pokory. Dalej na zachodzie dzieci odbierano rozplodowym niewolnicom zaraz po urodzeniu, tu, w Marchii Wschodniej, system wciąż nie działał jak powinien.

Ale będzie. *Ordnung muss sein.*

Na razie jednak jegier musiał doprowadzić tych ludzi do wskazanego w rozkazie miejsca. Dzieci zostaną sprawdzone, a potem oddane. Rodzice zginą, a ich śmierć nasyci skórę transporterów odchodzących co dzień z tego miejsca do stolicy. Ból umierających da moc fagom ochronnym i zbuduje wokół pojazdów magiczne osłony, chroniące je przed szpiegowskim okiem Miraży, niech będą przeklęci.

Waffenritter już czuł moc tego miejsca, dziwną i obcą magię Góry. Chciał jak najszybciej wrócić na zachód, gdzie łożyska Władców będą sycić jego umysł rozkoszą. Żeby się uspokoić, kilka razy chlasnął harapem magii swoich więźniów. Pomogło.

Potem dał znać ręką. Miejscowi niewolnicy, dotąd czekający z boku, ruszyli między klęczących. Byli raczej nastolatkami niż dorosłymi, o zniekształconych twarzach ze śladami jakichś potwornych ran z przeszłości. Ich lewe oczy osłaniały brudne i postrzępione płócienne opaski. Podnosili dzieci, przyglądali się twarzom, czasem uderzali w policzek, badając reakcję. Przybliżali główki maluchów i wtedy jakiś błysk wyskakiwał spod przestony oka, iskra jasnego promieniowania, na moment kondensująca się w powietrzu w cienką, żylastą wic dotykającą czół i oczu dzieci.

Wiedzieli, że każdy ich ruch jest śledzony przez jegra i jeśli popełnią błąd, sami dołączą do kolumny. Selekcja musiała dać Smokowi najlepszą karmę, by jak najmniej trafiało się potem takich jak oni - naznaczonych, ale odrzuconych.

Rodzice czekali w milczeniu, a waffenritter od czasu do czasu smagał ich bólem, by zagłuszyć świąd obcej mocy przenikającej jego czarną zbroję i by dać sobie przedsmak lukullusowej uczy, która rozpocznie się wraz z wieczornym zabijaniem.

*

Dróżka biegła równolegle do rzeki, zwykły ziemny wał wysypany żwirem i faszynowany po bokach wiązkami gałęzi. Szeroka na tyle, by pomiędzy pniami drzew zmieścić się koń z jeźdźcem, i mocno zarośnięta, służyła jedynie wojskowym patrolom przemierzającym te tereny i geomantom dbającym o ustawione na brzegu słupy graniczne. Za rzeką zaczynała się ziemia niczyja.

Noc była jasna, księżyc, niemal w pełni, złocistym blaskiem rozjaśniał niebo, gładkie niczym tafla czarnego szkła, w której zatopiono żółte okruchy gwiazd. Gdy Kajetan podnosił wzrok, widział nad sobą pas tego bezkresnego stropu, pokrywający się z torem leśnej ścieżki. Gałęzie drzew wyrastające ponad dróżkę wyglądały jak rysy i pęknięcia na czarnej powierzchni nieba.

Koniunkcje były dobre, czas Raka, zwanego też Bramą Ludzkości. Mars promieniował mocą, Jowisz doskonale widoczny. Dogodny moment na rozpoczynanie niebezpiecznych przedsięwzięć.

Koń stąpał powoli, jakby z pewną ostrożnością czy wręcz niechęcią. W pewnym momencie pokręcił łbem, parsknął, szarpnął szyją. Kajetan pochylił się w siodle, poklepał wierzchowca, cicho szepnął:

- Co, stary przyjacielu? Znowu zabieram cię w miejsce, gdzie nie będzie już dobrego owsa z wojskowych magazynów. Ha, to rzeczywiście nie będzie bezpieczna wyprawa. Ale nie zostawiaj mnie, proszę. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Tytus znów szarpnął głową, tym razem jednak spokojniej.

- No, koniku, damy radę. Zawsze dawaliśmy.

„Zawsze” oznaczało ostatnie dwa lata. Na szczęście nowe konie mają tę przewagę nad nowymi kochankami, że nie mogą zadawać pytań o to, co stało się z poprzednimi. A Kajetan nie miałby im nic wesołego do opowiedzenia. Bułat spalony żywcem. Ged z połamanymi nogami, dobity strzałem w głowę. Major zaginiony bez wieści. I Krak, i Gerylas, i wiele innych. Czternaście imion wytatuowanych na prawym ramieniu, czternaście składowych mocy, która pozwala prowadzić kolejne wierzchowce w ogień, mgłę magii, salwy pocisków, smród jegrów. Na śmierć.

- Wrócisz, Tytus, obiecuję ci, że wrócisz. Choćby beze mnie.

To zapewnienie najwyraźniej uspokoiło konia, bo choć parsknął ponownie, tym razem pobrzmiwały w tym dźwięku spokój i zaufanie. Kajetan nie kłamał. Wierzył, że się uda. Tak jak za każdym poprzednim razem.

Skręt ku rzece obsadzono drzewami porośniętymi świecąca w ciemności hubą. Blask był mdły, zielono-siny, wielu podróżnych mogłoby go wcale nie dostrzec pośród skłębionych gałęzi i gęstego listowia. Wkrótce ścieżka rozszerzyła się nieco, a drzewa zaczęły rzędnąć. Do szumu lasu, zakłócanego czasem jedynie pohukiwaniem nocnych stworzeń, dołączył inny jednostajny dźwięk - melodia płynącej rzeki. Niektórym ludziom wydaje się, że szumią tylko górskie strumienie, że huczą jedynie spadające z wysokości wodospady. Że szerokie nizinne rzeki, uśpione swym własnym powolnym nurtem, bezgłośnie toczą wody ku przeznaczeniu, nirwanie słodkiej H₂O rozpuszczonej w kosmosie oceanu. Być może tak było kiedyś, gdy świat wydawał się prosty i bezpieczny, opisany fizyką kwantową i teorią ewolucji, jasno wyłożony przez Einsteina, Banacha i Hawkinga. Nie teraz. Dziś rzeka tnie nie tylko skałę, ale i geomancyjne pola, przesypuje piasek i okruchy stopionej magii, daje dom szczupakowi i stworom znacznie odeń groźniejszym. Rzeka może płakać i spać, może opowiadać, o ile ktoś ma dość mocy, by jej wysłuchać. Nawet gdy płynie powoli, nizinnie senna, międzywierzbowo sentymentalna, czujne ucho wychwyci jej szum i odczyta dawane znaki.

Kajetan najpierw rzekę usłyszał, zobaczył ją, dopiero gdy wyjechał z lasu wprost na piaszczystą łachę. Ciemna woda była mętna, odbijała światło gwiazd, ale blade, rozmgliście, tak że tylko delikatna poświata przesuwiała się po falach. Nawet okrągła tarcza księżyca zamieniła się w rozmazaną owalną plamę, podskakującą zgodnie z ruchem wody. Lecz to dzięki tym blaskom dawało się dostrzec, jak naprawdę przemienia się nurt. Nie był gładki, płaski, zwyczajny dla śródlądowych rzek. O nie! Raz po raz wzbierały w nim fale, czasem szerokie nawet od brzegu do brzegu. Nagły przybór podnosił nurt, fala rosła, przesuwiała się, by po kilkunastu sekundach zaniknąć i dać miejsce nowej. Równocześnie po powierzchni szły poprzeczne prądy, nieregularne i groźne. Te rodziły się rzadziej, ale nagle; woda wzbierała niemal w pionową ścianę, chwilę trwała w bezruchu, a potem gwałtownie ruszała ku przeciwległemu brzegowi. Czasami takie fronty rodziły się jednocześnie po obu stronach rzeki, pędziły ku sobie niczym falangi dwóch armii, by zderzyć się, zmiażdżyć i rozproszyć w środku nurtu. Może zresztą tak było - może to napięcia magii geomancyjnej chroniącej polski brzeg odpierały ataki chaosu, niczym posterunki wojskowe chroniące ojczyznę przed rajzami barbarzyńców.

Kręciły się też w tej rzece nagle pojawiające się wiry zdolne wchłonać konia wraz z jeźdźcem, rozlegały pluski świadczące, że coś ogromnego walnęło ogonem w wodę, rozcapierzone cienie wynurzały się i przemykały po powierzchni.

Wszystkie te wiry, fale, wodospady raz po raz mieniły się odbitym światłem, przesłaniały nawzajem, pogrążając w cieniu, łączyły i rozdzielały. Momentami blask powierzchni zdawał się tworzyć skomplikowane wzory, zmieniające się w rytm niezbadanych, ale istniejących reguł. Potem te matryce zlewały się w wielkie świetne plamy, by po chwili ponownie rozdzielić się na tysiące

drobin. Plamy światła i ciemności zdawały się budować i powielać swoje wzorce, mnożyć się i ginać w starciu z rysunkami silniejszymi. Jakby były uczestnikami błyskawicznego procesu ewolucyjnego, zbyt szybkiego dla ludzkiego oka i narzędzi badawczych, a jednak tożsamego z milionletnią ewolucją istot żywych.

Kajetan obserwował rzekę w milczeniu. W końcu ruszył, kierując konia w prawo, ku rysującemu się w ciemności wysokiemu, obłemu kształtowi. Geomantyczny monolit stał zagłębiony w porośniętym rzadką trawą piasku, mniej więcej w połowie odległości między lasem a brzegiem. Otaczał go niski płótek z mosiężnych prętów pokrytych zaklęciami wzmacniającymi. Sam kamień, prostopadłościan wysoki na jakieś cztery metry, również wymalowany był w ochronne runy i napisy. Geomanci pozwolili sobie wręcz na kilka agresywnych klątw, mogących nawet - przy sprzyjających ascendentach - zaatakować intruzów na drugim brzegu. Na szczycie monolitu stał kamienny krzyż, a na każdej ze ścian wyrzeźbiono orła w koronie.

Kajetan zatrzymał się przed głazem. Nie zsiadł z konia, pochylił tylko głowę, by odmówić modlitwę przed tym ostatnim ojczystym larem. Już po chwili poczuł mrowienie skóry, jakby chodził po niej milion owadów. Ale nie było to nieprzyjemne, raczej łagodne, pieszczotliwe. Głaz oddawał mu nagromadzoną moc.

Kajetan czuł, jak wokół niego i konia powietrze tężeje od nanokadabr. Skończył „Ojcze nasz” i płynnie przeszedł do mantr ochronnych, chcąc wzmocnić działanie monolitu.

Kiedy uznał, że jest gotów, lekkim uderzeniem pięty zmusił konia do obrotu. Skierował go nieco w bok, ku wyznaczającemu bród małemu kamiennemu słupkowi stojącemu tuż przy brzegu. Tytus nie protestował, widocznie też czuł, że jest bezpieczny. Dopiero kiedy woda zmoczyła mu kopyta, zarżał cicho. Coś plusnęło obok po prawej, nurt przed nimi zakotłował się, bąbel gazu cicho eksplodował niemal pod nogami. Ale koń stąpał spokojnie. Wydawało się, że woda odsuwa się od jeźdźca, tworzy zagłębienie, niekiedy ciągnącą się od brzegu do brzegu. Wzburzona rzeka zaszumiła, wściekła, że została przymuszona do ruchu wbrew swej woli, ale nie odważyła się zaatakować pancerza nanokadabr chroniącego człowieka i jego wierzchowca.

Gdy dotarli niemal do środka nurtu, tam gdzie władza menhirów słabła gwałtownie, rzeka zakotłowała się, podniosła, chaotyczna magia spróbowała zalać intruzów. Poderwała wysoką falę niczym bryzg wodospadu bijącego od dołu, wbrew sile grawitacji. Potężniejąc z każdą chwilą, napływała na jeźdźca, już przewyższając go wzrostem.

Kajetan nie przyśpieszył konia. Podniósł się w siodle, puścił wodze, wyszeptał zaklęcie. Jego palce wykonywały skomplikowane znaki bojowych kata, poruszając się w bezdźwięcznym rytmie, jakby grały na niewidzialnej harfie. A potem człowiek gwałtownie przerwał tę grę, uniósł ramiona. Pomiędzy jego dłońmi pojawiła się świetlista lina, którą gwałtownie cisnął w stronę fali.

Sznur blasku w locie uformował pętlę, która przecięła wodospad, a potem zacisnęła się na nim niczym na szyi gargantuicznego monstrum.

Na moment wszystko zamarło, a rzeka ucichła. Potem fala zapadła się z głośnym pluskiem i rozprysnęła, zalewając konia i jeźdźca strugami wody.

Na drugi brzeg wyjechali mokrzy, ale bezpieczni. Przynajmniej przez chwilę.

Za nimi została Rzeczpospolita, przed nimi otwierały się dzikie, niemal bezludne ziemie Zony.

Zostawił za sobą daleką Polskę, świat stabilnej geografii, utrzymywanej w bezruchu magią elfów, megalitami i kościołami - gwoździami przybijającymi krajobraz do osnowy świata. Teraz opuszczał też Zachodnie Kresy, blisko stukilometrowy ciągający się wzdłuż granicy pas ziemi, na którym dopiero przywracano władanie ludzi. Tu stawiano fortece, tu geomanci stabilizowali geografie, tu niemal co dzień toczyły się walki z potworami i mocami nasyłanymi przez barlogi. A jednak to już była Polska, odzyskiwana z mozołem i w ciągłym zagrożeniu, ale Polska, ziemia ludzi i elfów. Wokół warownych twierdz wyrastały podgrodzia, powstawały fermy i przetwórnice żywności, małe biorafinerie, elektrownie wodne i wiatrowe młyny. Za wojskiem szli cywile, Polacy, uciekinierzy z Ukrainy i Węgier, Rosjanie i Finowie. Osadzali się tu też ci nieliczni zbiegowie z zachodu, którym udało się wydostać spod władzy Czarnych.

I tę na poły tylko bezpieczną, choć wciąż skażoną magią ziemię opuścił właśnie Kajetan. Nie pierwszy raz przekraczał graniczną rzekę, by odkrywać nową Europę, znajdującą się pod władzą barlogów. On, Kajetan Kłobudzki, królewski geograf.

Wjeżdżał w Zonę - teren dziki i bezludny, anekumenę penetrowaną przez zwiadowców i pelengowaną z kosmosu przez jesionowo-mithrilowe sputniki, ale w większości nieopisaną i niezbadaną. Mieszkańcy tych terenów, ci, którzy zdołali, przed laty uciekli na polską stronę, innych barlogi pognały na zachód, w niewolę. Teraz była to więc ziemia niczyja, przez którą czasem przechodziły tylko wojenne podjazdy - jegrów na wschód, ludzi i elfów na zachód. Jednak było jasne, że za jakiś czas to o te pustkowia rozpocznie się kolejna wojna, bo kto je zagarnie, zyska szmat ziemi i bazę do dalszej ekspansji. Dalej na zachód leżały zarządzane przez barlogi Marchie. A jeszcze dalej ich królestwo - Gehenna.

Czasami graniczną rzekę Zony przekraczali odważni kupcy i poszukiwacze przedwojennych skarbów. Bywało, że w głąb niezbadanego lądu ruszały ekspedycje klasztorne i humanitarne. Wywiad utrzymywał kontakty z nielicznymi żyjącymi tu ludźmi, miał tu też swoje kryjówki i schrony z zaopatrzeniem. W razie potrzeby można było dokonać rajzy helikopterów nawet i na dwieście kilometrów w głąb tej krainy

Tak jak to zdarzyło się wcześniej, ponad dwadzieścia lat temu... Wtedy gdy stracił matkę i siostrę, a zyskał ojca. W tym przeklętym i błogosławionym dniu, który przyniósł mu wolność oraz utratę wszystkiego, co znał.

Wjeżdżał na ziemie o płynnej przestrzeni i geografii. Gdzie drogi zmieniały kierunki, a pagórki wypiętrzały się w miejscach, gdzie rok wcześniej były równiny. Rzeki znikwały, a jeziora rozlewały na miejscu lasów. Mapy robione na podstawie rozmazanych rejestracji satelitarnych zmieniały się niemal każdego tygodnia, jakby ziemia i pokrywający ją kożuch roślinności, ludzkich osad, wód stanowiły płynną masę cały czas przetwarzającą się na skutek oddziaływania sił geomantycznych.

Badał te zmiany. Rejestrował. Czasami nawet wydawało mu się, że wie, jak wszystko działa. Zdarzało się, że próbował tłumaczyć to innym.

- Nie rozumiem - spytała go kiedyś Łucja - jak to jest możliwe? Jak geografia może się zmieniać. Jak jednego dnia miasto może być tu, a drugiego gdzie indziej.

Siedzieli w jej mieszkaniu, w kuchni, przy wieczornej herbacie. Zazwyczaj, gdy zdarzało mu się odwiedzać Warszawę, nocował właśnie u ciotki. Kiedyś bywał w stolicy częściej.

- To jeszcze nic - odpowiedział. - W marcu przez to miasto płynie rzeka, a w lipcu już nie.

- No właśnie.

- No właśnie - przytaknął, przyglądając jej się zmrużonymi oczami.

- Nie rób tak - powiedziała ostro.

- Jak znaczy?

- Nie gap się tak na mnie tym cielecym spojrzeniem.

- Cielęta mrużą oczy? Pierwsze słyszę. Większość cieląt, jakie poznałem w życiu, miało wielkie, czarne, zawsze otwarte ślepia, oczywiście prócz tych, które poznawałem na talerzu, za pomocą noża i widelca.

- Ty się tu nie mądrz, chłopcze. Młode ludzkie cielęta tak się gapią, samce młode znaczy. Na stare krowy, takie jak ja, czyli samice. Jak tak zmrużą oczy, to twarze kobiet po czterdziestce pięknieją. Nie widać zmarszczek, rzadkie włosy zamieniają się w delikatną mgłę, a ponieważ oczy ci łzawią, to i oczy obserwowanych kobiet wydają się błyszczeć. Kobiety po czterdziestce tego nie znoszą. Takich obserwacji znaczy.

- Ale ty, ciociu, nie masz czterdziestu lat.

- Ale będę miała, niestety. No więc?

- No więc co?

- Ta geografia. Jak to jest? Nie rozumiem. - Wstała z krzesła, by przyciszyć radio.

- Ciociu, czy rozumiesz, jak działa komputer? Jak jest zbudowany i co to jest tranzystor? Korzystasz z komputera codziennie.

- Chciałabym codziennie. Ale w instytucie jest taka kolejka do sali z terminalami, że udaje mi się tam dopchać najwyżej dwa razy w tygodniu. - Ciotka miała zadziwiający dar przeskakiwania z tematu na temat, wchodziła w dygresje, wprowadzała nowe wątki, dotykała spraw osobistych. Jednak zazwyczaj udawało jej się odnaleźć powrotną ścieżkę do wątku głównego, jakby wypowiadając kolejne zdania wciąż rozciągała tezeuszową konwersacyjną nitkę. Czasem przeskoki bywały dość gwałtowne i Kajetan potrzebował chwili, by zorientować się, czego dotyczy dalsza część pogawędki. Tak jak właśnie teraz. - Ty się, młody człowieku, nie mądruj za bardzo. Jasne, że nie rozumiem na przykład, jak działa tranzystor, chociaż używam radia. Ale wiem, że ktoś wie, bo je zbudował przecież. A ty jesteś geografem, czyli specjalistą od geografii. Więc zakładam, że potrafisz mi objaśnić, jak to działa. To znaczy ruchy terenotwórcze, a nie komputery.

- To jest jak kisiel z owocami.

- Rozwiń metaforę, młody człowieku.

- Wyobraź sobie miskę z gęstym kisiem, w którym tkwią owoce. Struktura mięsista, ale spójna. Na razie w bezruchu, ale... łyżka tkwi w środku - Kajetan zawiesił dramatycznie głos.

- No i?

- Zaczynasz go mieszać. Bardzo powoli, delikatnie. Masa przesuwa się, kawałki owoców zmieniają wzajemne położenie, zbliżają się, oddalają, czasem zlepiają, czasem twoja łyżka rozetrze któryś tak, że owoc zniknie albo pomiesza się z innym. Ale jeśli kręcisz z wyczuciem, to otrzymujesz ten sam kisiel, w tej samej misce, tylko poszczególne owoce są teraz w innych miejscach.

- A co z Niemcami i z Francją?

- Z grubsza biorąc, granicę tworzą Odra, Atlantyk, Alpy i Pireneje. Wododziały, uskoki tektoniczne, kulturosfer. Barlogi wsadziły w tę michę swoje magiczne paluchy i zaczęły mieszać. My też dołożyliśmy co nieco w Wielkiej Wojnie. Teraz jest już spokojniej, ale kisielowe kluchy i owoce wciąż powoli zmieniają położenie.

- A ty? - Teraz dla odmiany wstała, żeby nieco pogłośnić muzykę. Radio zatrzeszczało trochę, ale podjęło wyzwanie. Z głośnika popłynęła łagodna, stara melodia oraz chropawy głos wokalisty śpiewającego coś o spaniu w dolinie. Widocznie Łucja miała tego dnia nastrój na tematykę podróżniczą, nawet w tak oldskulowej wersji.

- A ja jestem geografem. Mam moc Klucza Przejścia. Odnajduję skróty. Opracowuję locje. Wiem, gdzie jestem, nawet gdy kisiel się przemieszcza. Umiem czytać teren. Prawdopodobnie, ale tego formalnie nie potwierdzono, lokalnie stabilizuję geografię. Jakby kisiel mnie nie oblepiał.

Wstał, podszedł do kuchennej szafki, wysunął szufladę.

- No dobrze, ale jak to jest możliwe, że rzeka raz przepływa przez miasto, a raz nie. Przecież jak już raz zniszczysz owoc w salaterce, to nie możesz go potem odtworzyć.

- Ciotka, nie wiem. Kisiel to tylko uproszczona analogia. Tak to z grubsza działa. No, a teraz... - mruknął, grzebiąc w upchanych ciasno do szuflady torebkach, pudełeczkach i zawiniątkach ze sreberka po czekoladzie.

- Tego też nie lubię.

- Eee... czyli czego? - Wyprostował się uśmiechnięty, trzymając w ręce papierowe opakowanie.

- Jak mi grzebiesz po szafkach w kuchni.

- No co ty, ciotka. Kisiel bym zjadł. Z owocami.

Z tego, co pamiętał, kisiel był pierwsza klasa. Malinowy.

Kajetan lubił wspominać. Jego wyprawy trwały tygodniami. Zdarzało się, że przez większość czasu nie spotykał ludzi. Dlatego gadał z końmi i odtwarzał w pamięci rozmowy z najbliższymi. Czasem gadał sam ze sobą. Zawsze jednak gdy wracał, te nawyki mijały. Jakby w mózgu przestawiała się jakaś wajcha, dostosowująca pracę umysłu, a w konsekwencji język i zachowania do nowych okoliczności. Te podświadome sterowniki inteligencji objawiały się już wcześniej. Uświadomił to sobie jeszcze jako nastolatek. Innym językiem rozmawiał z ojcem, innym z ciotką, przy której nie pozwalał sobie na żadne wulgaryzmy. Ale kiedy szedł na trening, wkraczał do szatni i spotykał kumpli, natychmiast zaczynał kłąć jak szewc. Gdy tylko kończył ćwiczenia i opuszczał salę treningową, znów przeskakiwał w tryb „kulturalny nastolatek”.

Swoją drogą, to ciekawe określenie - kłąc jak szewc. We wsi mieli szewca, jednonogiego, łysego Jana Walusiewicza, i z jego ust nie usłyszał Kajetan ani jednego ciężkiego wyrazu. Nawet gdy jeźrzy spalili oborę, nie przeklinał ich. Ani potem, gdy zabili jego jedyne syna. Po prostu powiesił się w swoim domu, pachnącym zawsze ciężką, zmieszaną wonią potu, skóry i kleju. Grzeczny i cichy, jak za życia.

Teraz, po przekroczeniu granicznej rzeki, Kajetan wracał do świata szewca Jana Walusiewicza. I innych, których wciąż doskonale pamiętał, a którzy od dawna już nie żyli.

*

Zakłęcia fruwały w powietrzu niczym wielobarwne jesienne liście podniesione gwałtownym podmuchem wiatru. Utrapienie wszystkich dozorców, radość przedszkolaków, inspiracja sentymentalnych poetów. Szczęśliwie tym razem na ulicy nie było żadnego dziecka ani dozorca, o poecie nawet nie wspominając. Czasy nie sprzyjały nastrojowym wierszom.

Pecha miał za to gołąb, którego huk eksplozji przeraził i ogłuszył na tyle, że ptak stracił swą zwykłą, rzadko zresztą temu gatunkowi przypisywaną lotniczą sprawność. Gołąb poderwał się z ulicy, poszybował w górę, ale nie zdołał ominąć jednego z zakłęb. Gdy musnął skrzydłem żółty kwadracik papieru, rozległ się głośny chrobot, jakby kawał blachy przeszorował po betonowej ścianie. Zakłęcie spłonęło, a ptak zamienił się w potwora. Jego skrzydła gwałtownie się wydłużyły, łeppek rozdzielił, potem poczworzył, a pazurki błysnęły, przekształcając się w diamentowe szpony. Były gołąb uderzył nowymi skrzydłami, a potem zanurkował gwałtownie, mknąc wprost ku Robertowi. Wybrał już nawet cel ataku. Lewe oko człowieka.

Oko to Robert uważał za bardzo pożyteczne i kiedy w ułamku sekundy uświadomił sobie, że może stracić je bezpowrotnie przez głupiego przeczarowanego gołębia, zrobiło mu się bardzo smutno. Gołębi nie lubił, bo zanieczyszczały balkony i tak jak szczury roznosiły różne zsyłane przez barlogi zarazy. Ale dotąd traktował je jedynie jako uciążliwe, choć mało interesujące szkodniki. Do teraz. Sytuacja nie wyglądała za dobrze. Zamachowcy idealnie wybrali miejsce ataku.

Przelotówka przez Kawęczyn wiodła środkiem miasteczka, pomiędzy równymi liniami trzypiętrowych kamienic, których partery zajmowały sklepy i warsztaty rzemieślników. Ulica nie była szeroka, po jednym paśmie ruchu w każdym kierunku, po obu stronach wąskie chodniki. Eksplozja, która rozpruła wojskowy furgon, wytlukła też szyby we wszystkich okolicznych oknach, zasypując szewskie i krawieckie wystawy warstwą szkła, tynku i drewnianych szczap. Słupy latarń powyginały się ku ścianom domów tak, że z oddali wyglądały jak ramiona jakiegoś gigantycznego Sziwy. Ciężarówka stała w poprzek ulicy, nieco skosem, skutecznie jednak blokując możliwość przejazdu ariergardującemu ją motocyklowi. Żołnierze zatrzymali więc pojazd i teraz pruli z garłaczy do unoszących się w powietrzu zakłęb. Każda z lepkich karteczek, która opadłaby na budynek, ulicę albo - co gorsza - na człowieka, psa czy zwykłą muchę, mogłaby się zaktywizować i przemienić zaatakowany obiekt w coś groźnego. A w najlepszym przypadku - niegroźnego, ale wymagającego potem sporego wysiłku wojskowych czarodziejów, by przywrócić temu czemuś

pierwotny kształt i funkcję.

Motocykl poprzedzający ciężarówkę wyleciał w powietrze razem z nią. Na szczęście obu żołnierzom nic się nie stało. Kryli się teraz za wrakiem swego pojazdu. Jeden wzywał przez radio pomoc, drugi ostrzeliwał kartki z zaklęciami.

Najgorzej wyglądał kierowca furgonu. Wytoczył się z szoferki zalany krwią, z bezwładną ręką, wyraźnie ogłuszony. Gdy zeskoczył na ulicę, zaklął, lewa noga ugięła się pod nim, przykląkł na asfalcie. To chyba go otrzeźwiło, bo widząc, że jeden z motocyklistów rusza mu na pomoc, machnął odpędzająco zdrową ręką. Ruch jego ramienia znaczyła w powietrzu - niczym kreska tuszu na komiksowym obrazku - smuga kropelek krwi. Pojękując z bólu, sięgnął do wiszącego na piersi płaskiego futerału, wyjął z niego okrągły metalowy amulet. Wymruczał formuły zaklęć, wrzucił krążek do szoferki i na tyle szybko, na ile pozwalała poharatana noga, odkuśtykał od furgonu.

Wszystko to Robert zobaczył swoim wspaniałym, absolutnie niezastąpionym okiem, nim przeczarowany gołąb uznał, że chce je koniecznie przedziurawić diamentowym pazurem.

W miejscu ataku znalazł się absolutnie nieprzypadkowo. Ściągnęło go ono tak, jak czarna dziura ściąga meteoryty, a pentagramy rysowane przez naiwnych studentów przyciągają chłopców z CBS-u. Robert znalazł się w Kawęczynie właśnie dlatego, że coś tu miało wybuchnąć, a stał konkretnie na ulicy Warszawskiej, bo kwadrans temu zorientował się, co i kiedy wyleci w powietrze. O ile on, Robert Gralewski, nie powstrzyma terrorystów. Niestety, nie dość, że nie zdołał wyłuskać napastników spośród spacerujących sobie kawęczyńskim deptakiem mieszkańców, to jeszcze się spóźnił. I dlatego teraz właśnie, zasapany i wściekły, patrzył na wirujące w powietrzu wielobarwne karteczki z bojowymi zaklęciami, które transportował zaatakowany konwój. I na ptaka, zmienionego przez jedno z zaklęć w bojowe monstrum.

Nie miał wiele czasu na reakcję. Nawet nie zdołałby wyszarpnąć ukrytego pod pachą walthera. Złożył więc dłonie, formując automiraż, i skoczył w bok. Gołąb uderzył w twarz fantoma, wbijając szpon w miejsce, gdzie powinno znajdować się oko ofiary. Wrzasnął wściekły, że zmylił cel, wykręcił gwałtownie, niemal szorując brzuchem o asfalt. Poderwał się nieco, zawrócił, nabrał rozpędu i znów zaatakował. Tym razem jednak Robert już czekał. Udało mu się chwycić jeden z opadających czarów, wydrukowane na brązowym papierze logo neutralizacyjne. Dołożył magiczny impuls od siebie, tak by uaktywnić i wzmocnić nanokadabrowy zadruk, i wystawił papier w stronę ptaka. Poczł znajome mrowienie w palcach, karteczka zniknęła, czar rozpylił się w powietrzu. Ptak wpadł w jego strefę, znów zgrzytnął, a potem w jednej chwili na powrót zamienił się w gołębia. Oszołomiony, z miękkim plaśnięciem walnął o ziemię tuż obok nóg żołnierza.

Chwilę potem zadziałał wrzucony do furgonu amulet. Robert poczuł idący od samochodu bezgłośny impuls, który wyłtkł resztki szyb w okolicznych oknach, ale przy okazji zneutralizował i spopielił wszystkie zaklęcia.

- Stój! Ręce do góry! - Robert usłyszał głośny rozkaz i zobaczył wymierzone w siebie lufy karabinów. Eskorta furgonu wreszcie mogła się zająć intruzem, czyli nim.

- Pułkownik Robert Gralewski - powiedział szybko, posłusznie jednak podnosząc ręce. - Sprawdźcie moje dokumenty, szybko! Wezwijcie pomoc i zajmijcie się rannym. Ja nie mogę tu zostać. Napastnik odpalił bombę z bliskiej odległości. On tu gdzieś jest. Spróbuję go namierzyć.

Podchodzili nieufnie. Profesjonalnie. Jeden cały czas stał z boku w bezpiecznej odległości, mierząc Robertowi w pierś, z palcem na spuście.

- Żadnych gwałtownych ruchów - ostrzegł spokojnie. Mógł mieć dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata. Jasnowłosa, niski, trochę za gruby. Nie sprawiał groźnego wrażenia. Ot, przeciętny poborowy. Ale ktoś wysłał go w obstawie transportu magicznej broni. Przez tereny teoretycznie bezpieczne, ale nawet wewnątrz kraju furgonów z czarami nie obstawiał byle kto. Jasnowłosa, puciołowaty sierżant musiał władać magią, tak jak wszyscy jego towarzysze.

Drugi żołnierz ostrożnie podszedł do Roberta.

- Pokaż blachę!

- Żadnych gwałtownych ruchów! - powtórzył blondyn, uznając najwyraźniej, że podejrzany mężczyzna ma kłopoty ze słuchem.

- Dobra, tylko spokojnie. - Robert rozchylił kurtkę, rozpiął górny guzik koszuli. Zaśnił srebrzyście prostokąt nieśmiertelnika, gruby kawałek metalu pokryty chroniącymi inskrypcjami. Impulsy przepłynęły do nieśmiertelników żołnierzy.

Opuścili broń, zasalutowali.

- Możemy pomóc?

- Nie, zajmijcie się wozem i rannymi. Sprawdźcie, czy cywile nie ucierpieli. Czekajcie na wsparcie.

- Panie pułkowniku...

- To nie wasza wina. Nie mogliście przewidzieć tego ataku. Tak napiszę w raporcie.

- Dziękuję. - Blondyn odetchnął z ulgą. - Panie pułkowniku...

- Co jeszcze?

- Jest pan bardzo szybki, widziałem, jak uciekł pan ptakowi.

- Chyba nie widzieliście jeszcze szybkich ludzi, sierżancie. Byłem zbyt wolny. Pamiętajcie: nie rozchodźcie się, zabezpieczacie miejsce.

- Znamy procedury. A pan?

- A ja spróbuję ich dorwać - powiedział Robert i ruszył biegiem wzdłuż Warszawskiej, wiedząc, że za chwilę zbiegnie się tu tłum, który może zaburzyć aurę i zablokować dalszy pościg.

- Powodzenia! - usłyszał jeszcze za plecami krzyk młodego żołnierza, ale koncentrował się już na zadaniu. Miał problem. Za atak odpowiadał jakiś sługa Czarnych, człowiek, bo ktoś inny nie przedostałby się tak głęboko na polskie terytorium. Musiał więc roztaczać aurę, rdzawą woń najeźdźców. A jednak Robert nie zdołał wyczuć tego zapachu i dlatego spóźnił się na miejsce zamachu. Mogło to oznaczać dwie rzeczy. Albo Czarni opracowali wreszcie skuteczne zaklęcia maskujące. Albo też na konwój napadli zwykli, nieprzeczarowani ludzie, członkowie jednej z sekt uprawiających kult barlogów, na której trop nie wpadł jeszcze kontrwywiad. Pierwsza możliwość

oznaczałoby śmiertelne niebezpieczeństwo dla systemu obronnego Polski, druga realne zagrożenie dla cywilnego terytorium. Tylko po co - niezależnie od zaistniałego przypadku - zaatakowano niezbyt ważny konwój z zapasem drukowanych czarów, tym samym ujawniając swoje istnienie? Chyba że to jakaś próba. Test możliwości. Ostrzeżenie.

Robert szybkim krokiem szedł wzdłuż ulicy. Szukał śladu, tropu, zaburzenia rzeczywistości. Wokół ludzie zachowywali się tak jak zawsze w takich sytuacjach. Niektórzy, niezbyt mądrzy, biegli ku miejscu ataku, by sprawdzić, co się dzieje. Inni, przezorniejsi, pospiesznie chowali się w bramach domów czy wnętrzach sklepów. Matki uspokajały płaczące dzieci, mali chłopcy pędzili w górę ulicy, by zobaczyć, co się stało, ktoś za nimi wołał, ktoś próbował ich powstrzymać. Niektóre okna otwierały się szeroko i na leżących tam chyba od stuleci poduszkach układały się wygodnie kawęczyńskie matrony, by jak co dzień pogapić się na ulicę, na której wreszcie działo się coś naprawdę interesującego. Inne okna zatrzaskiwały się, a zza szyb wyglądały przestraszone, groteskowe twarze z rozpląszczonymi na szkle nosami. Starszy mężczyzna, któremu rozprysnięte okno wystawy pokaleczyło głowę i ramiona, głośno wołał o lekarską pomoc, z chodnika gramoliła się kobieta, najwyraźniej ogłuszona hukiem, bezradnie próbując pozbierać rozsypane wokół siebie jabłka. Z przecznicy wypadł młody policjant w biegu odpinający kaburę, kilkanaście metrów za nim toczył się drugi, w stopniu sierżanta, starszy i gruby. Miał niedopięty mundur, był bez czapki, czerwony i spocony, sapał i poświstywał, jednak dzielnie próbował dotrzymać kroku młodszemu koledze. Zawyły syreny, wzywające do ratusza wszystkich weteranów i członków miejskich służb ochotniczych. Kawęczyn sprawnie reagował na zagrożenie.

Ten miejski ruch, pozornie chaotyczny, a jednak wynikający ze statystycznie przewidywalnych ludzkich zachowań, miał swój poszarpany rytm, wewnętrzną logikę przepływu tłumu. Wyostrzone zmysły Roberta szukały zaburzeń tego strumienia. Wyczekiwały na reakcję odmienną od standardowej. I znalazły.

Zobaczył mężczyznę wchodzącego do małego sklepu spożywczego. Minął ten lokal, ale przez zaklejone reklamami okna nie mógł zajrzeć do środka. Był już kilkanaście metrów dalej, gdy usłyszał, że drzwi sklepu ponownie się otwierają. Przesunął się ku ścianie domu, zatrzymał lekko osłonięty rynną i obejrzał. Mężczyzna wysunął głowę na zewnątrz, nerwowym spojrzeniem zlustrował ulicę, po czym ruszył szybkim krokiem, trzymając obie ręce w kieszeniach dżinsowej kurtki. Mógł mieć równie dobrze trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat, spodnie i buty były mocno zniszczone. To o niczym nie świadczyło, trwająca od czterech dziesięcioleci wojna obronna nie przynosiła przecież krajowi i jego mieszkańcom bogactwa. W Polsce żyje wielu biednych ludzi, którzy po prostu noszą portki tak długo, aż się zedrą. Ten osobnik miał jednak buty nie tylko stare, ale i brudne, a dziur w spodniach i kurtce nie naprawiał. Biedni, porządni ludzie nie pozwalają sobie na luksus niedbałości, matki cerują dzieciom gacie i skarpety, dorastający chłopcy chodzą w spodniach z doszywanymi na dole kolejnymi paskami materiału, młodszy noszą ubrania po starszym rodzeństwie. Uprane i schludne.

Mężczyzna miał pecha, może gdyby ruszył w dół ulicy, Robertowi nie chciałoby się go gonić.

Ale skierował się w przeciwną stronę.

Robert oderwał się od ściany.

- Stój! - krzyknął, wzmacniając polecenie za pomocą walthera mierzącego prosto w brzuch mężczyzny. Ten zatrzymał się zaskoczony, w pierwszym odruchu okręcił się na nodze, chcąc dać dyla, ale powstrzymał go drugi okrzyk, stanowczy tak tonem, jak i treścią:

- Stój, bo cię zastrzelę!

Mężczyzna odwrócił się powoli. Był przerażony.

- Ja... przecież... co... - zdołał wydukać, wyjął ręce z kieszeni, podniósł je do góry, w prawej dłoni wciąż ściskając kilka banknotów.

- Co tu się dzieje? - Z małego warsztatu szewskiego po przeciwnej stronie ulicy wybiegło dwóch mężczyzn. Teraz dopiero zobaczyli pistolet w rękach Roberta. Wyraźnie stracili animusz.

- Znać go?

- No jasne, to Waldek Wedorczyk, ale...

- Przed chwilą obrobił sklep, ten spożywczy.

- A to ścierwo... Do pierdła znowu wrócisz! - ożywili się kawęczyńscy mieszkańcy. - A pan to kto, za przeproszeniem?

- Wojsko Polskie. Nie mam czasu, zajmiecie się nim?

- Tak, panie Wojsko Polskie. - Animusz mieszczan rósł z każdą chwilą, tym bardziej że z sąsiedniego sklepu wyszło jeszcze kilka osób. - Patrzcie, i Kaśka idzie!

- Sklepu nie zamkłaś - wrzasnął ktoś do nadciągającej w niemal marszowym rytmie mocno zbudowanej kobiety. Miała może ze czterdziestkę i na pewno się w życiu sporo napracowała, ale w jej bujnych kształtach, zbyt ostro pomalowanych ustach i obciskającej biodra sukience było coś pociągającego.

Za długo jestem sam, pomyślał Robert. Kobieta, potrzebuję kobiety!

Tymczasem ludzie przekrzykiwali się, niczym uczniaki popisujące się niedawno zdobytą wiedzą przed nauczycielką:

- Waldek z kasy ci wyjął! Jeszcze forszę w łapach trzyma! Złodziej to jest, no!

- O ty ścierwo! - Pani Katarzyna szybko zorientowała się, o co chodzi, i ruszyła wprost ku złodziejowi. Robert poczuł nawet przez chwilę coś jakby wyrzut sumienia, bo spodziewał się, że konsekwencje dla nieszczęsnego Waldka Wedorczyka mogą być znaczniejsze niżli słuszna kara za wyciągnięcie ze sklepowej kasy tych kilkuset złotych. Ale jeszcze bardziej przeszkadzało mu, że stracił tu czas na robotę, którą powinien był wykonać posterunkowy.

- Zostawiam go! - Schował pistolet, przepchnął się przez tłumek i ruszył dalej.

- A ten to kto? - usłyszał jeszcze zza pleców dźwięczny głos pani Katarzyny i odpowiedź szewca:

- Jak to kto? Wojsko Polskie!

Ulica prowadziła do placu, rozdawiała się niczym język węża, otaczając mały kościół. Budynek miał ze dwieście lat i architekturę typową dla niemieckich protestanckich świątyń. Dobrzy katolicy,

głównie repatrianci z Białorusi, którzy po drugiej wojnie światowej przejęli miasteczko, przerobili zbór na kościół i ochronili go przed ludową władzą. Ta jednak w ramach walki z zabobonem wyburzyła stare kamieniczki wokół placu i postawiła tu ohydne, szare, sześciopiętrowe bloki. Miały one zapewne swą szarą równą bryłą odciąć kościółek od ludzi i światła, żeby zmarniał jak roślina, której zabrano słońce. Nie udało się, parafia przetrzymała czerwonych, jakoś tam przetrwała trudny czas początku dwudziestego pierwszego wieku, gdy wielu młodych kawęczynian wyemigrowało za pracą, a inni uznali, że z katolickim klerem już im nie po drodze. Religijne odrodzenie, które przyszło wraz z najazdem barlogów, pozwoliło proboszczowi zebrać fundusze na odmalowanie świątyni i zadbanie o otaczający ją skwerek. Stały tu ładne ławeczki z kutej stali i ciemnego drewna, rosły przycięte krzaki, zbudowano nawet dwie huštawki dla maluchów, które miały zachęcić je do przychodzenia z rodzicami na niedzielne msze.

Tu też trwał ruch, część ludzi biegła na miejsce ataku, część stamtąd właśnie wracała. Młodzież omawiała najświeższe wydarzenia na przykościelnym placu. Starsi, posłuszni nawykowi z czasów swojej młodości i wciąż uzależnieni od sieci, siedzieli w domach i szukali wiadomości w miejskim intranecie.

Robert przepuścił grupę jadących ulicą rowerzystów i przeszedł na centralny plac, niemal pod same drzwi świątyni. Zatrzymał się. Rozejrzał. Powąchał. Potem wyjął z kieszeni kurtki dwie samoprzylepne karteczki, podobne do tych, jakie transportowano przez Kawęczyn. Wymruczał słowa zaklęć, poślinił kciuk i roztarł odrobinę wilgoci na pokrywających kartki symbolach.

Jedna z karteczek zaczęła się przekształcać, zagięły się jej rogi, zwinęła się w pół. Po chwili Robert trzymał w dłoniach papierowy samolocik zdecydowanie większy od kartki, z której został stworzony. Ponownie wypowiedział zaklęcie i puścił samolot, który pomknął przez powietrze, najwyraźniej nie reagując na podmuchy wiatru. Tropiciel, zwany fachowo widusłychem.

Drugą karteczkę Robert przykleił sobie na czole niczym plaster. Zmieniła kolor na cielisty, przez chwilę czuł ją jeszcze jako sztywną, uwierającą błonę, ale zaraz stopiła się ze skórą. Teraz odbierał samolocik, mógł obserwować i kontrolować jego lot.

Magiczne kartki wprowadzono na wyposażenie armii ledwie sześć lat temu. Były lekkie, można w nich było kodować różnorodne zaklęcia. Bardzo dobrze sprawdzały się w misjach, w których nie można było korzystać z pomocy elfich czarodziejów. Pozwalały zaoszczędzić bardzo przecież słabe magiczne potencjały ludzi i wzmocnić działanie czarów.

Robert usiadł na ławce, przymknął oczy. Widusłych obleciał kościół, zanurkował na kilkadziesiąt metrów w odchodzące od placu uliczki. Nic, żadnego śladu wrogiej magii, ale też nigdzie Robert nie dostrzegł podejrzanych ludzkich zachowań. Czyżby od początku wybrał zły kierunek? Nie, był pewien, że szedł w dobrą stronę, tę, z której zaatakowano konwój. Ufał swojemu instynktowi, bo wciąż żył. A znalazł się już w wielu sytuacjach, które przetrwał jedynie dzięki przecuciom.

Otworzył oczy. Z uwagą spojrzął na kościół - pomalowane na błękitno ściany, witraże w niewielkich okrągłych oknach, dach pokryty czerwoną dachówką.

Sługa barlogów mógł wejść do świątyni, o ile nie został przeczarowany fagową magią. Jeśli był

zwykłym człowiekiem - sekciarzem, głupim satanistą, wyznawcą jednej z setek schizm, które pojawiły się wraz ze zmianą świata. Tak, wtedy mógł ukryć się w kościele.

Robert powoli wstał z ławki. Bezgłośnie zaczął powtarzać bojowe mantry, zbrojąc ciało do nadchodzącego starcia. Ruszył ku świątyni, otworzył drzwi. Zanurzył palce w misie ze święconą wodą, czując przechodzący przez całe ciało ciepły, wzmacniający dreszcz.

Kilka rzędów ławek, nieduży ołtarz z drewnianymi figurami apostołów. Na ścianach droga krzyżowa, namalowana w tandetnej, pseudonowoczesnej manierze, odkształcającej ciała prezentowanych postaci i czyniącej z nich nie świadków okrutnego i cudownego misterium, a jakieś ludzkie karykatury. Księży wciąż nie uczono ładnie mówić, śpiewać ani znać się na sztuce, niestety.

Dwie starsze panie modliły się w ławkach tuż przy ołtarzu, trzecia drzemała w ostatnim rzędzie. Robert dostrzegł boczne drewniane drzwi z przylepioną plastrami kartką głoszącą zakrystia-sklep.

Kiedy wyjął pistolet z kabury, staruszka w ostatnim rzędzie otworzyła oczy. Popenił błąd, nie zauważył tego, kierując się prosto do przejścia. Nacisnął klamkę i w tym momencie za jego plecami rozległ się krzyk:

- Idzie! Uważajcie!

Jak na starszą panią miała naprawdę mocny głos.

Wyostrzonym wzrokiem dostrzegł ruch na końcu ciemnego korytarzyka. Przywarł do ściany. Huknął strzał, kula świsnęła tuż nad głową żołnierza. Odpowiedział ogniem. Zakotłowało się. Znów ktoś strzelił do niego, ale pocisk trafił w sufit, wzniesając cementową lawinę. To byli amatorzy.

Robert przypadł do podłogi, walił raz za razem w ciemność, w której rysowały się dwa niewyraźne kształty. Nagle usłyszał rozpaczliwy krzyk bólu i drugi głos:

- O Boże! Stój! Poddajemy się! Zraniłeś go!

- Rzućcie broń przed siebie i podejdźcie powoli z podniesionymi rękami.

Chwila ciszy.

- Piotruś nie może, krwawi.

- Odrzućcie broń. Bo wznowię ogień!

- Już! Nie strzelaj, nie strzelaj do Polaków!

Wiedział, kim są. Że też musiało na niego trafić, że też ci debile musieli zaatakować ten konwój! Gówniarze!

Babcia z kościoła darła się tak rozpaczliwie, że jej głos przenikał nawet przez drewniane drzwi. Robert wiedział, że musi to załatwić szybko, nie wiadomo, jak liczna jest lokalna organizacja i jak miejscowi zareagują na strzelaninę w swoim kościele. Papierowy samolocik krążył wokół świątyni, wreszcie znalazł otwarty lufcik, wleciał do środka i pomknął tam, gdzie znajdowali się przeciwnicy. Tylko dwóch. Jeden rzeczywiście ranny.

- Broń! - wrzasnął Robert. - Szybko!

Podłużny kształt łupnął o drewniany parkiet, prześlizgnął się kilka metrów, by zatrzymać się mniej więcej w połowie drogi między Robertem a tamtymi. Ciemna postać podniosła się z

posadzki, ruszyła w stronę oficera. Druga wciąż leżała na ziemi.

- Ręce!

Ramiona poszły w górę, luźne rękawy sutanny opadły, odsłaniając przedramiona i całkiem porządny zegarek. Cichy szept modlitwy poniósł się przez korytarz.

- Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Robert wstał. Opuścił broń, choć cały czas kontrolował sytuację na zakrystii poprzez papierowego szpiega. Widział więc leżącego na ziemi i krwawiącego z przestrzelonego ramienia młodego, może siedemnastoletniego chłopaka. Teraz dopiero, gdy widuszył był naprawdę blisko, mógł wyczuć płynącą od terrorysty woń, ślad charakterystyczny niczym odcisk na kciuku snajpera czy smród prochu wżarty w skórę artylerzysty. Chłopak niedawno otarł się o magię, choć sam nią nie władał. Ani tam, na ulicy, gdy strzelał do wojskowego furgonu ze zdobytego nie wiedzieć jakim sposobem granatnika, ani teraz, gdy wił się z bólu, przyciskając dłoń do rany. Chyba śpiewał jakiś psalm.

- Co ojciec narobił? - spytał Robert. - Co ojciec najlepszego narobił?

- Szatanie, splugawiłeś dom boży! - Ksiądz przerwał modlitwę, spojrzawszy na mężczyznę z nienawiścią. - Sługo diabłów, przeklinam cię, przeklinam!

Załomotały kroki, do korytarza wbiegło kilku ludzi, w tym policjant, ze dwóch strażaków, cywile.

- Księżę proboszczu... - zaczął jeden z nich.

- Stać! - krzyknął Robert. - Stać! Proszę aresztować tego człowieka za udział w spisku terrorystycznym. Tam jest też ranny zamachowiec...

- Spisku terrorystycznym? - powtórzył jeden z przybyłych, najwyraźniej nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. - Ksiądz Marcin...

- To są ludzie - kontynuował Robert - którzy zaatakowali konwój.

- Niech żyje Polska! - krzyknął ksiądz. - Precz ze sługami elfów. Niech żyje prawdziwe Wojsko Polskie!

Tak, niech żyje, pomyślał Robert, niech żyje cholerne Wojsko Polskie.

A kiedy zmęczony wyszedł przed kościół, niespodziewanie tuż przed jego nosem pojawił się mały duszek esemesa 2.0, wstrzykując rozkaz wprost do umysłu. Mocny czar, z priorytetową, szyfrowaną komendą.

Miał natychmiast wracać do Warszawy i stawić się przed samym El-Galadem.

Wieczór był ciepły, ale w powietrzu czuło się nadciągający deszcz. Ucichło cierkanie owadów, nawet ptaki zamilkły. Teren wydawał się bezpieczny i nieprzemagiczny. Kajetan uznał, że dziś zatrzyma się na popas wcześniej, gdy tylko znajdzie schronienie przed burzą. Po kilku dniach intensywnej jazdy potrzebowali spokojnego odpoczynku, i on, i Tytus.

Dlatego gdy natrafił na ślad dawnej szosy, według map prawdopodobnie łączącej Wandlitz i Oranienburg, postanowił wykorzystać okazję. Las już dawno przejął drogę we władanie, drzewa i trawa porzrywały asfalt, zarosły dawne pobocza. Gdzieśkolwiekśpośród pni i gałęzi wystawały betonowe słupki czy metalowe tyczki po znakach drogowych, zażółciła się nie do końca oblaźła z farby tablica reklamowa.

Kajetan postanowił pilnować tego szlaku, bo jechało się tędy jednak łatwiej niż przez naturalny las. Mniej chaszczy pętało kopyta konia, podłoże było twardsze, drzewa rosły rzadziej. W wielu miejscach spod mchu i trawy wyłaniały się jeszcze czarne połacie spękanego asfaltu.

Większość dawnych autostrad i zwykłych dróg, tak jak i innych śladów niemieckiej cywilizacji, pochłonęła Wielka Wojna. Niczym gumowa wycieraczka, za pomocą której hodowca rybek zbiera glony z szyb swojego akwarium, bojowa magia i planowe działania eksterminacyjne barlogów zdrapały z powierzchni ziemi całe miasta, węzły komunikacyjne, linie energetyczne. Reszty dopełniła przyroda.

Nieliczne ocalałe drogi wciąż wykorzystywano do transportu wojsk i towarów. Jednak wszystkie kluczowe szlaki wiodące w głąb państwa barlogów były przeczarowane. Chroniły je oddziały czarnego wojska i potężna magia. Dla każdego wędrowca niechronionego stosownym glejtem mocy płaska, gładka i pozornie bezpieczna asfaltowa droga okazywała się torem przeszkód, bardziej śmiertelnym niż najtrudniejszy poziom dowolnej platformówki. Ale ta zapomniana szosa numer dwieście siedemdziesiąt trzy wydawała się bezpiecznym szlakiem, niekontrolowanym przez magię Czarnych. Co więcej, okazało się, że mogła zapewnić zmęczonemu wędrowcowi wcale interesujące luksusy.

W pewnej chwili wypatrzył z boku dwa metalowe słupki. Podjechał bliżej i nie zsiadając z siodła, przyjrzał się leżącej na ziemi tabliczce. Resztki trójkolorowej ikony sygnalizowały, że w pobliżu jest stacja benzynowa. Niestety, odległości nie udało się odczytać.

Postanowił jechać dalej. Szansa znalezienia noclegu pod dachem, choćby i częściowo zapadniętym, warta była odrobiny wysiłku.

- Jeszcze kawałek, stary, dasz radę - mruknął do Tytusa, włączył dalmierz i ruszyli w dalszą drogę. Pół godziny później, kiedy licznik wskazywał niemal równe pięć kilometrów, pas dawnej drogi rozszerzał się i krzyżował prostopadle z drugim, węższym. Nieco w głębi, po prawej stronie, zarośnięte drzewami, stały ruiny stacji benzynowej. Kajetan zeskoczył z konia, okręcił wodze wokół najbliższego pnia, a sam ostrożnie zaczął podchodzić do budynku. Nie spodziewał się tu wrogów, ale musiał być ostrożny. W takich miejscach często można się było natknąć na pułapki zastawione w dawnych czasach, tak przez jegrów, jak i przez ludzi. Mogły to być zwykłe miny albo uroki

przeklinające, albo nawet jakieś prymitywne samostrzały. W starych stacjach benzynowych trzeba też było uważać na tak prozaiczną rzecz jak skażenie terenu paliwem, które wyciekało ze zbiorników. Skrzesana podkutym butem iskra mogła spowodować pożar i zabić nieuważnego wędrowca równie skutecznie co zaawansowana magia bojowa jęgrów.

Kajetan szybko zorientował się, że takich problemów nie będzie, bowiem stacja już kiedyś spłonęła. Miało to miejsce dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat wstecz, na tyle oszacował wiek drzew, które porosły dawny parking i podjazdy z dystrybutorami paliwa. Pomiedzy nimi stało kilka wypalonych samochodów.

Zatrzymał się, wyszeptał zakłęcie omackowe, wybębnił palcami na czole wzmacniający rytm. Chwilę nasłuchiwał, czy raczej naczuwał, podczas gdy zakłęcie płynęło między drzewami niczym delikatny podmuch wiatru. Przemknęło przez wraki samochodów, wpełzło do budynku, obleciało parking. Wróciło do Kajetana, by cichym szeptem oznajmić mu, że na stacji nie ma żadnych trupów, ludzi ani potworów, ale za nią, dziesięć kroków w głąb lasu, znajduje się nieduży kopiec ziemi porosły mchem i trawą, a pod nim, kolejne trzy kroki w głąb, w ciemność i wilgoć, w ciszę i zapomnienie, znajduje się dwanaście szkieletów ludzi pochowanych tu dawno temu. Leżą pod krzyżem z dwóch metalowych prętów związanych supłem z kabla, a wraz z nimi zakopano zakręcony słoć, w który wsadzono złożony papier. Na kartce w dwunastu rzędach coś napisano.

Tyle zdołał powiedzieć Kajetanowi delikatny czar omackowy, nim się rozproszył i zniknął.

Mężczyzna jeszcze raz obrzucił spojrzeniem teren stacji, po czym wrócił po Tytusa. Tę noc mieli spędzić w suchym i bezpiecznym miejscu.

Prawdziwa niespodzianka czekała go jednak, kiedy wszedł do budynku. Co prawda jedna połówka była totalnie zniszczona i zawalona, ale druga jakimś zrzędzeniem losu nie odniosła w czasie pożaru wielkiego uszczerbku. Pod ścianami znajdowały się stojaki, a na nich wciąż można było znaleźć sporo skarbów z dawnych czasów. Były tu i puszki z napojami, i plastikowe torebki z chipsami, i papierowe z czekoladkami. Oczywiście nic z tego nie nadawało się do jedzenia, a wszystko było zasmolone, zakurzone, porosłe pajęczynami. Wiele opakowań leżało na ziemi, torby były porozrywane, całą podłogę pokrywała warstwa brudu, który kiedyś pewnie był jedzeniem, a teraz stał się doskonałą pożywką dla niskich, szarych porostów. Musiały tu też grasować zwierzęta, o czym świadczyło kilka kupek kości i resztki skleconego z patyczków gniazda w jednym z kątów.

Ale pomimo tych zniszczeń stara stacja benzynowa wydała się Kajetanowi istnym sezamem, w którym będzie mógł choćby pooglądać materialne ślady z dawnych, dobrych czasów.

Przede wszystkim jednak zajął się Tytusem. Uwiązał go do barierki, kiedyś pewnie blokującej wyjście ze sklepu, pod pysk podtoczył kolebiący się i skrzypiący kosz na kółkach. Wśród porzucanych półek znalazł dużą, płaską metalową misę, pokrywę czegoś, co nazywało się „grillem ogrodowym”, jak wyczytał z na wpół zbutwiełej metki. Ułożył ją na koszu, nasypał karmę.

Wszedł z budynku, spojrzął na niebo. Chmurzyło się, tej nocy na pewno będzie padać deszcz. Ciepła noc i ulewa to idealna okazja do kąpieli dla samotnego podróżnika z dala od zdobyczy

cywilizacji, ale tym razem Kajetanowi zachciało się czegoś więcej. Obszedł więc ruiny, mając nadzieję, że część sanitarna przetrwała pożar. Niestety, nigdzie nie natrafił na łazienki, musiały być w zniszczonej części budynku.

Przy okazji sprawdził teren wokół. Na zapleczu stacji znalazł jeszcze trzy wraki samochodów, tym razem niespalone. Jeden miał otwarte drzwi, wystarczyło mocniej szarpnąć zamek. W twarz Kajetana buchnęło ciepło, zastałe powietrze. Obejrzał wnętrze, otworzył bagażnik. W środku leżała walizka i worek z kijami golfowymi. Oraz koszyk z trzema butelkami wina.

- Czy nie za dużo szczęścia jak na jeden dzień? - mruknął do siebie. Wyjął jedną z butelek, przetarł ręką z kurzu. To był riesling, dobry stary alzacki Klingelberger z dwa tysiące trzynastego roku. Kajetan specjalnie nie znał się na winach, a ponieważ od kilkudziesięciu lat po świecie nie chodziło zbyt wielu znawców trunków niemieckich i austriackich, więc i tak nie miałby gdzie zdobyć wiedzy o tajnikach germańskich winiarni. Ale lubił pić wino i uznał, że tego wieczora może sobie na to pozwolić.

Spokojnie dokończył przeszukanie terenu, samochodów i pozostałości stacji. Znalazł wiele działających przedmiotów, które przewiezione do Polski miałyby sporą wartość, choć kiedyś produkowano je masowo i sprzedawano za psie pieniądze. Były to zapalniczki, świece, zapałki, różnego typu żarówki, płyty z muzyką i filmami, ołówki. W małym pokoiku na zapleczu sklepu, najmniej dotkniętym skutkami pożaru, na półkach leżały opony, drobne części samochodowe, takie jak lusterka, reflektory czy gałki do wajchy biegów. Znalazł tu też kilka rzeczy o naprawdę wysokiej wartości - skrzynki narzędziowe z doskonałymi zestawami kluczy, dwie piły spalinowe, kilkanaście opakowań z wielofunkcyjnymi scyzorykami, termosy na żywność, zestawy menażek, a nawet śpiwory i składane namioty.

Nie mógł wszystkiego zapakować na biednego Tytusa, ale inwentarz z tego magazynu mógł się przydać wielu ludziom. Podobnie jak zawartość bagażników samochodów - sporo ubrań, laptopy, narzędzia. Jeden z kufrów niemal w całości zajmował wielki telewizor, w innym tkwił składany dziecięcy wózek. I znowu płyty CD, zbutwiałe książki i gazety, a na tylnych siedzeniach, na dziecięcych fotelikach - konsole do gier.

To, co przyniosło zagładę temu miejscu i śmierć tak wielu ludziom, musiało nadejść nagle. Czy była to czerwona chmura kapepowców, nagle materializująca się nad stacją i spuszczająca ognisty deszcz? Czy rajza jegrów wdzierająca się w głąb teoretycznie bezpiecznego terytorium? Czy nagła eksplozja magicznego eteru tłoczonego przez barlogi w ziemię, podmywającego ludzki świat? Stacja spłonęła około dwudziestu lat temu, ale gazety pochodziły z czasów inwazji na Niemcy, czyli sprzed kolejnych dwóch dekad. Z dni tuż przed Wielką Wojną, zwaną teraz Zaćmieniem. Z czasu masakry i zniszczenia, gdy w ciągu miesiąca zniknął znany i bezpieczny świat Europejczyków.

Najcenniejszym dla Kajetana znaleziskiem i jednym z nielicznych, które postanowił zabrać, okazał się kalkulator leżący na jednej z lad. Zasilany bateriami słonecznymi wciąż działał, jeśli nie liczyć lekko zacinających się klawiszy. Do swoich sakw zapakował też kilka zapalniczek, świec,

mydło i dwa wielofunkcyjne szczyryki. I dwa kondomy.

Na szczęście, pomyślał, bo nie sądził, by nadawały się jeszcze do użytku.

Przeszukiwanie ruin zajęło mu dobrą godzinę. W tym czasie zaczęło padać. Uznał więc, że to najlepszy czas na odpoczynek.

Jednak nim wrócił do budynku, skierował się na zaplecze stacji, wszedł między drzewa. Grób znajdował się kilkanaście kroków od granicy dawnego parkingu. Po latach, szczególnie w nocnym mroku, nikt nie zwróciłby uwagi na zarośnięty kopczyk, niczym nieodróżniający się od terenu wokół. Oczywiście gdyby nie krzyż. Jakiś dobry człowiek zbudował go przed laty z dwóch metalowych prętów, rurek właściwie, równej mniej więcej długości. Okręcił w połowie kilkoma pętlami grubego, izolowanego drutu, wkopał w ziemię, a nawet obłożył kamieniami, żeby krzyż się nie przewrócił. I krzyż wytrwał czterdzieści lat samotności, niemal pół wieku wojennych marszów, potworów przemierzających bezdroża, chmur magii niosących śmierć, podziemnych rzek rozrywających tkanę świata. Stał lekko tylko pochylony, opleciony pnączami, jakby wyrósł z tej ziemi niczym drzewo. Stróżował, by po tych wszystkich strasznych dekadach zapomnienia on, Kajetan Kłobudzki, mógł uklęknąć i pomodlić się za dusze zmarłych, dotknąć dłonią ziemi nad ich ciałami, odczytać ich imiona i nazwiska z ukrytej w zakopanym słoiku kartki i ponieść je w sobie. Tylko tyle. Aż tyle.

Deszcz coraz mocniej tłukł o liście, pierwsze krople zaczęły przedzierać się przez korony drzew i padać na ziemię. Kajetan podniósł się, spojrzął w górę.

Modlił się, ale nie był pewien, czy wierzy w Boga. A już na pewno Mu nie ufał.

*

Obudził się nagle w środku nocy. Zegarek pokazywał drugą trzydzieści siedem i osiemnaście sekund. Przez głowę przemknął lekki żal, że znów nie przyśniła mu się żadna naga kobieta, ale już po chwili całe ciało zaczęło przestraszać się na bojowy rytm. Ktoś się zbliżał.

Wciąż padał deszcz, wiatr kołysał gałęziami drzew, z oddali dobiegały stłumione odgłosy burzy. Coś regularnie stukało nad głową, pewnie jakiś na wpół oderwany element konstrukcji tłukł o dach. Tytus posapywał cicho i raczej spokojnie. A jednak ktoś się zbliżał.

Kajetan poderwał się z pośłania, automatycznie sięgał po odłożone jak zawsze w tych samych miejscach elementy stroju i wyposażenia.

Dobrze, że wypilem tylko jedną butelkę, pomyślał. Ale i tak w ustach czuł suchość, z trudem przełknął ślinę. Wiedział, że jego organizm jeszcze w pełni nie przetrawił alkoholu i że powinien wyjątkowo się skupić. Rozejrzał się wokół. Na każdej z ocalałych ścian stacji żarzył się żółtawo mały kwadracik. To karteczki z zakłęciami ochronnymi namierzyły intruzów i zbudziły Kajetana. Jedna zaczęła pulsować, wskazując orientacyjny kierunek, z którego nadchodzili. Wędrowali w nocy i w deszczu, więc albo mieli kłopoty i przed czymś uciekali, albo przeciwnie - właśnie oni kogoś tropili.

Kajetan dopiął kabury, przełożył przez głowę pas z mieczem, naciągnął kaptur. Wstał, wstrząsnął głową. Podszedł do Tytusa, dotknął go, skrzyżowanymi palcami odprawił na czole

konia uspokajające kafa. Wierzchowiec nie bał się żadnych ludzi, ale jeśli intruzami są słudzy Czarnych, magia mogła go przestraszyć.

O drugiej trzydziści dziewięć i osiem sekund Kajetan wyszedł na deszcz. Zadrżał z zimna, gdy krople uderzyły o skórę. Ale cieszył się, że pada. barlogi i ich słudzy nie lubią wody. Deszcz jest dobry.

Koncentrował się chwilę, po czym szybko wyszeptał zaklęcie, wydychając z ust kłęb pary. Przemknął ku zaroślom otaczającym stację. Nie zważając na wodę lejącą się z poruszanych gałęzi, przedzierał się jak najszybciej w głąb lasu. Wiedział, skąd mniej więcej nadchodzą intruzi, chciał zająć taką pozycję, by wpierv ich spokojnie obejrzeć i stwierdzić, czy stanowią zagrożenie i czy idą w stronę ruin stacji.

Rzucony przed chwilą czar powoli zaczynał działać. Para nie rozproszyła się, wręcz przeciwnie, wciąż wisząc obok twarzy Kajetana, zgęstniała, nabrzmiewając ciemną połyskliwością. Popelzła w dół ciała tuż przy powierzchni skóry i munduru, utrzymywana niewidzialną więzią z ciepłym ciałem. Przeszła na plecy, zsunęła się na uda, wciąż delikatnie lśniąc. Woda zbierała wodę - kiedy na obłoczek padała kropla deszczu, rozpuszczała się w nim, natychmiast parując. Wkrótce całe ciało mężczyzny otoczone było półprzejrystą, mglistą zbroją powstałą z magii i wody, aquaracena. Rozdzierana uderzeniami gałęzi, zrastała się momentalnie. Co chwila odrywały się od niej duże krople wody, jakby Kajetan strząsał je z przeciwdeszczowego płaszcza, ale ten uszczerbek zaraz był uzupełniany przez deszcz. Deszcz jest dobry.

Kajetan nie uruchamiał jeszcze drugiej fazy zaklęcia, po której nanokadabry przekształciłyby delikatną osłonę w prawdziwie mocną wodną zbroję. Nie chciał aktywować w tym terenie ciężkiej magii, dopóki nie będzie pewien, że to absolutnie niezbędnne.

Wciąż zastanawiał się, kim mogą być intruzi. Jegrzy niechętnie wędrowali w deszczu, ale potrafili to robić, szczególnie gdy przymuszały ich rozkazy panów. Ludzie, jacyś koczownicy żyjący na tych terenach, pewnie też raczej szukaliby schronienia w taką burzową noc. Nie dlatego, że obawiali się osłabienia swej magii, tylko by po prostu nie zmoknąć. Więc może to ekspedycja z Polski - zwiadowcy, kupcy, szabrownicy. Wolał być ostrożny, bo powinien unikać kontaktów także ze sprzymierzeńcami. Im mniej świadków jego obecności tutaj, tym lepiej.

Znów zaklął deszcz, rozsyłając na wszystkie strony omacki. Delikatne czary sondujące, przeskakując z kropli na kroplę, chronione w ten sposób przed wrogim pelengiem, roztrysnęły się w noc. Szybko też wróciły, przynosząc informację. Intruzi byli blisko, mniej więcej pięćset metrów na godzinie dziesiątej w stosunku do Kajetana.

Zmienił kierunek, zwolnił, chcąc złapać oddech i uspokoić rytm ciała. Przy wędrowcach znalazł się kilka minut później. Nadal nie wyczuwał cząstek obcej magii - ani fagów Czarnych, ani elfich nanokadabr. Oczywiście wędrowcy mogli nie używać mocy od dłuższego czasu, a deszcz skutecznie wygłuszał słabe i lokalne przeczarowania ciał, broni i sprzętu.

Wzmocnił aquaracena. Warstwa pary otaczająca jego ciało zgęstniała, wyklarowała, przekształcając się w ciekłą wodnistą powłokę, cały czas zasilaną deszczem.

Deszcz jest dobry.

Kajetan zatrzymał się, pochylił, powoli przeszedł jeszcze kilka kroków, przykucnął. W końcu ich zobaczył.

Grupka składała się z trzech mężczyzn i jednej kobiety. Na pewno przyszli ze wschodu. Mieli dobry sprzęt, nieprzemakalne plecaki, gumowane sztormiaki, wysokie buty, latarki. Kajetan u nikogo nie dostrzegł broni. Równie szybko zorientował się, że nie są zawodowcami - wojskowymi zwiadowcami, szmuglerami, przewodnikami. Hałasowali, świecili wszystkimi latarkami, marnując cenne na tym pustkowiu baterie. Nie dbali o własne bezpieczeństwo, mogli się stać łatwym łupem czy to zwykłych rabusiów, czy jegrów. Ta totalna beztroska wręcz dziwnie kontrastowała z naprawdę solidnym ekwipunkiem. Ciężko to było wytłumaczyć, chyba że...

Wołchwowie! - pomyślał. To pieprzeni wołchwowie!

Minęli go może o dziesięć kroków. Byli wycieńczeni i zziębnięci, ale zdeterminowani. Chyba wierzyli, że są blisko celu. Teraz mógł im się przyrzyć bliżej, każdemu po kolei.

Prowadził mężczyzna w średnim wieku, o ostrych, zaciętych rysach i pobrużdżonej twarzy. Chyba on jeden nie był tu nowicjuszem. Sposób, w jaki stawiał stopy na śliskim gruncie, jak prowadził przed sobą światło latarki, jak układał ciało pod ciężarem plecaka - ten człowiek wędrował kiedyś sporo, choć pewnie nie przez bezdroża Zachodnich Kresów. Miał ciemny strój, spod kaptura wysunęły się długie kosmyki czarnych, mokrych włosów. Zarost świadczył, że mężczyzna nie golił się od kilku dni.

Za nim szła kobieta. Niska, przysadzista, dźwigająca tylko mały plecaczek, za to w rękach trzymała nie latarkę, a mały reflektor, wcinający się w ciemność lasu żółtym snopem światła, cały czas cętkowanego kroplami deszczu. Także i jej mokre włosy wypęzły spod kaptura na policzki, dotykając dużych czarnych znamion o kształtach przypominających runy jegrów. W jej wargach tkwiły ćwieki, trzy w dolnej, cztery w górnej, tak że w migotliwym świetle latarek usta kobiety wyglądały niczym szczęka jakiegoś głębinowego monstrum. Łebki ćwieków również ozdobione były runami.

Idiotka! Ale Kajetan wiedział, że nader często naiwność to tylko jeden, i to najmniej groźny z grzechów wołchwów.

Wyczuł świeżą krew - tatuaże i piercing nie były starsze niż nieogolona broda przewodnika, kobieta musiała je zrobić już po przekroczeniu granicy Polski.

Trzeci wędrowiec, chudy młodzian mniej więcej w wieku Kajetana, nie miał kaptura, więc geograf mógł zobaczyć jego wygoloną na tyso czaszkę także pokrytą jakimiś wzorami, które według ich właściciela miały zapewne magiczne znaczenie. Ten targał największy plecak z przytroczoną na dole bulwą spakowanego namiotu.

Ostatni wołchw najmocniej okutał twarz, tak że spod kaptura wystawał jedynie długi, garbaty nos i solidne wąsiska. Usta mężczyzny poruszały się. Śpiewał. Do Kajetana docierały jedynie fragmenty słów, zagłuszone jednostajną perkusją deszczu i szumem lasu, ale to wystarczyło, by rozpoznał pieśń. Czarny, powolny rytm przyzywania mocy i uwielbienia dla barlogów. Hymn

ludzkich renegatów, zwanych z rosyjska wołchwami.

Większość z kultystów to egzaltowani idioci szukający mocnych wrażeń. Zazwyczaj młodzi, pochodzący z miejsc, które nigdy nie zetknęły się z prawdziwą potęgą Czarnych, a Wielka Wojna sprzed czterech dekad była dla nich tylko historycznym faktem. Mamieni przez nawiedzonych proroków, naczytawszy się starych ksiąg satanistycznych, zakładali sekty i czcili barlogi jako ucieleśnienie zła. Rzadko byli groźni, chyba że władali śladową magią albo wchodzili w posiadanie prawdziwych artefaktów Czarnych - szczątków oręża, ciał czy choćby garści ziemi nawiedzonej złymi klątwami w czasie bitwy. Artefakty wypaczały ich ciała i umysły, zmuszały do okrutnych czynów. Na szczęście wielu takich ludzi, gdy odcięto ich od wpływów guru i czarnej magii, skutecznie poddawało się reedukacji.

Groźniejsi byli prawdziwi zdrajcy, podważający porządek narzucony przez elfy i szukający na zachodzie wsparcia dla swych działań. Szpiedzy, sabotażyści, agenci wpływu, mordercy. Stanowili realne zagrożenie w Polsce centralnej, ale byli szczególnie niebezpieczni w zachodnich, jeszcze nie w pełni umocnionych województwach, gdzie wciąż trwała wojna podjazdowa. Królewski kontrwywiad ścigał ich i bezlitośnie niszczył.

No, to tych tutaj przegapiliście! Kajetan pomyślał o swoim przybranym ojcu, pułkowniku kontrwywiadu z Drugiego Oddziału Sztabu Generalnego.

Ludzie, których obserwował, mogli być tropicielami artefaktów, ale nie wyglądali na doświadczonych poszukiwaczy. Więc bardziej prawdopodobna wydawała się inna możliwość. Wołchwowie chcieli przedostać się na tereny kontrolowane przez Czarnych, złożyć hołd ubóstwianym panom. Oddać się w ich służbę i dostąpić zaszczytu obcowania z barlogami.

Idioci! Popieprzeni idioci!

Kajetan jeszcze wzmocnił swoją aquaracenę, teraz szedł ledwie kilka kroków za kolumną wędrowców, wciąż pozostając niewidoczny.

Nie mógł pozwolić, by wołchwowie dotarli do twierdz jegrów na zachodzie. Ci kretyni nie wiedzieli, że całe spotkanie z ich bogami będzie składało się tylko z jednego aktu ofiary. Ofiary z nich samych zresztą, a jegrzy umieli zabijać na wiele strasznych sposobów. Nie, Kajetan nie żałował za bardzo renegatów, no, może trochę tej dziewczyny, bo ostatnio każda kobieta wydawała mu się dobrem cennym i wartym ochrony. Jednak ci ludzie stanowili zagrożenie, nawet jeśli nie nieśli w swej pamięci żadnych prawdziwie cennych wywiadowczo informacji, a ich umysły nie dokonały odkryć istotnych militarnie dla barlogów. Mogli stanowić zagrożenie dla swoich rodaków, bo w ogóle mieli pamięć i umysły, które przed śmiercią zostaną przeskanowane i wyżęte z każdej cząstki informacji o Polsce. Jegrzy umieli to robić, o tak, potrafili utrzymywać człowieka w śpiączce wielomiesięcznego nawet cierpienia i drażnić mózg - komórka po komórce - z każdego strzępka informacji, obrazu, zapachu, uczucia. A potem budować z nich magiczne mapy, nanosząc położenia domów i drzew, fabryk i kościołów, punktów mocy i wojskowych twierdz. Ale także kartogramy zjawisk i zależności niematerialnych: cieków wodnych, relacji międzyludzkich, sieci biznesowych połączeń, przepływów gotówki, więzi emocjonalnych. Wszystkie te dane mogły w

przyszłości pomóc w przygotowaniu ataku, zarówno konwencjonalnego, jak i magicznego czy psionicznego.

Otwarty na służbę, gotowy do hołdu, znający innych renegatów wołchw mógł dostarczyć barlogom znacznie więcej cennych informacji niżli pochwycony w czasie walki żołnierz Rzeczypospolitej szkolony do stawiania mentalnych blokad czy odważny i religijny poszukiwacz artefaktów, który niebacznie zbyt głęboko zapuścił się na zachód.

Gdyby Kajetan przebywał tu w innej misji, pewnie szukałby lepszych rozwiązań. Może aresztowałby wołchwów i odprowadził do Odry, by przekazać kontrwywiadowi. Niektórzy trafiliby do więzień, inni na psychologiczną reedukację. Może użyłby zaklęć hipnotycznych, którymi nakłoniłby wędrowców do powrotu. Tu i teraz nie miał na to czasu i nie mógł wywoływać zbyt silnej erupcji nanokadabr.

Przyśpieszył kroku, wyprzedził kolumnę wędrowców, zajął miejsce tak, by przeszli tuż koło niego.

Teraz dopiero wypuścił odważniejszy czar pelengujący. Okazało się, że przewodnik miał broń, pistolet ukryty w kaburze pod pachą. Pozostali nieśli tylko noże, przy czym ostrze łysielca było wzmocnione magicznymi znakami. Żaden z wędrowców nie władał prawdziwą mocą. To upraszczało sprawę.

Wyszedł im na spotkanie. Gestem lewej dłoni zdjął magiczną osłonę, rozpryskując aquaracene tak, że struga wody chlapnęła na ziemię. W prawej trzymał glocka.

Przewodnik zobaczył go może trzy kroki przed sobą. Oczy wołchwa rozszerzyły się, usta otwały do krzyku. Próbował skoczyć w bok, jednocześnie sięgając dłonią ku zapięciu kurtki po pistolet.

Kula trafiła go w czoło.

Dopiero teraz kobieta zaczęła krzyczeć. Czciała władców strachu i ciemności, ale sama nie była odważna. Szykowała się na spotkanie z barlogami, a wpadła w panikę na widok człowieka.

- Stać! Bo zabiję wszystkich! - huknął Kajetan, a przeczarowane krople deszczu wzmocniły jego głos. - Ani się ważcie drgnąć! Światła w dół! Rozumiecie po polsku?!

Rozumieli, bo wykonali jego polecenie. Promienie lampek oświetliły mokrą ziemię i nogi ludzi.

- Służba graniczna Królestwa Polski! - kłamał. - Zatrzymacie się tutaj! Pochowacie go! Rano ruszycie na wschód! Zostawcie tu wasze bagaże z wyjątkiem jedzenia! Wróćcie do linii Odry i przejdziecie na teren Rzeczypospolitej. To pięć dni drogi, dacie radę. Będę was obserwował. Jeśli nie wypełnicie moich poleceń, zostaniecie zabici. Czy wszystko rozumiecie?!

Cisza.

- Rozumiecie?!

- Tak, rozumiemy - powiedział łysol. - Nie możesz...

- Jesteście renegatami znajdującymi się na terenie wojennym! - przerwał mu Kajetan. - Zostaniecie zabici, jeśli nie zostawicie wszystkich rzeczy! Zostaniecie zabici, jeśli pójdziecie na zachód! Zostaniecie zabici, jeśli go nie pochowacie! Rozumiecie?!

- Rozumiemy - powtórzył łysol.

- Cofnąć się pięć kroków! - Kajetan przyklęknął przy ciele przewodnika, przekręcił je na wznak, rozpiął suwak sztormiaka. Próbuąc odpiąć kaburę, pochylił się nieco, spuścił na chwilę wzrok. Wytatuowany łysol runął do przodu. Pchnął stojącą przed nim dziewczynę na Kajetana. Pisnęła przerażona, poleciała bezwładnie z szeroko rozłożonymi rękoma. Sam sięgnął po wiszący przy pasku długi nóż. Kajetan skoczył w bok. Pchnął impuls jarzeniowy, wąski snop mlecznobiałego światła bijącego wprost na twarz łysielca. Znow huknął strzał. Kobieta klęczała na ziemi, łkając. Trzeci mężczyzna zastygł w bezruchu, podnosząc ręce do góry

- Ja nie, ja nie... - powtarzał.

Kajetan wstał, wodząc lufą między dwojgiem wołchwów.

- Pochowacie dwa ciała! Rano ruszycie na wschód! Zrozumieliście?!

- Tak. - Wąsacz odetchnął wyraźnie uspokojony.

- Jeśli nie wykonacie moich poleceń, zabiję was. Pochylił się nad przewodnikiem, wreszcie wy dobył jego broń.

- Zabiję - powtórzył. I zniknął w ciemności i deszczu.

Deszcz jest dobry.

Rano znalazł tu tylko dwa ciała zagrzebane w płytkim dole i przykryte gałęziami oraz trzy wypchane plecaki. Postawił na grobie krzyż z krzywych gałęzi i ruszył w dalszą drogę na zachód. Już nie padało.

*

Drzwi przedziału nie dawały się zamknąć. Robert szarpnął raz i drugi, po czym przerwał, czując na sobie spojrzenia współpasażerów.

- Niech się pan nie wysila. - Starszy pan starannie złożył czytaną gazetę i wpatrywał się w Roberta przez oprawione w czarne drewno okulary. - Nie działają. Trochę hałasuje, ale za to nie jest duszno.

- Aha, jasne. - Robert z wdzięcznością przyjął ten gest zrozumienia i przestał się szamotać z drzwiami. Zajął miejsce przy oknie. Starszy pan jeszcze chwilę patrzył na niego uważnie, być może oczekując podtrzymania rozmowy. Zawiódł się, bo Robert ciężko opadł na siedzenie i przymknął oczy. Mężczyzna zrezygnował zatem, rozłożył gazetę powolnymi ruchami, jakby była jakimś bezcennym manuskryptem, a nie płachtą recyklingowanego papieru, i zagłębił się w lekturze. Pozostali pasażerowie, wybici wejściem Roberta z podróżnego stuporu, pogrążyli się w nim na powrót. Przy drzwiach siedziała szczupła kobieta w wieku może czterdziestu, a może pięćdziesięciu lat, z gładko zaczesanymi i ściągniętymi w krótki kucyk włosami. Naprzeciwko niej przysypiał młodzieniec w grubych wełnianych spodenkach i flanelowej koszuli w kratę. Najwyraźniej nie mógł się już doczekać chłodniejszych dni i postanowił przyspieszyć nadejście zimy, ubierając się zbyt ciepło. Obok dystyngowanego miłośnika prasy siedział jeszcze ksiądz w czarnej sutannie, łysiejący, z groteskową zaczeską siwych włosów z potylicy. Na kolanach trzymał otwartą książkę w twardej oprawie, ale nie czytał. Półprzymkniętymi oczami wpatrywał się w

obrazek wiszący na przeciwnej ścianie przedziału, a tak naprawdę znajdował się w tym charakterystycznym dla kolejowych podróżnych stanie katatonii, który wyłącza ich ze świata, a pozwala błędzić myślom, skojarzeniom i półsnom.

Robert początkowo też chciał się zdrzemnąć, podejrzewając, że w ciągu najbliższych dni nie będzie miał na to zbyt wiele czasu. Jednak po chwili, gdy jak sądził, współpasażerowie zaakceptowali już fakt jego pojawienia się w przedziale i nie powinni go zaczepiać, otworzył oczy i wyjrzał przez okno. Sąsiedni tor był wolny, na następnym stała lokomotywa, a za nią krótki łańcuch wagonów towarowych. Potem znów dwie linie pustych torów, dalej drewniany budynek dworca. Niezbyt okazały barak z pomalowanego na zielono drewna nie wyglądał jak główna stacja przesiadkowa województwa. Planowano postawienie solidniejszej konstrukcji, która miałaby zastąpić spalony w czasie nalotu stary dworzec, ale jak zwykle - prowizorka okazała się trwalsza niż zamiary ludzi i drewniana buda od niemal dziesięciu lat przyjmowała tysiące podróżnych.

Robert przeniósł wzrok na stojącą po sąsiedzku lokomotywę, potężną czarną maszynę model PT 2018.

Parowozy wróciły do łask trzydzieści lat temu, kiedy zerwane rurociągi ostatecznie przestały dostarczać do Europy ropę. Szczęśliwie Polska wciąż miała węgiel, a inżynierowie opracowali bardzo wydajne wersje kotłów pracujące na zbrykietowanym drewnie.

A lasów nigdy nam nie zabraknie, pomyślał Robert, w pełni zdając sobie sprawę, że zachwyty nad parowozami to dziecięcy atawizm tkwiący w umysłach większości mężczyzn. Marzenie o sile i potędze fizyki ujarzmionej, wprzęgniętej w arytmetykę rozkładów jazdy i geometrię systemu torowisk. To pragnienie dominacji i kontroli, gdy ruchem zwrotnicy, przestawieniem krzyżówki, zmianą harmonogramu można sterować tysiącami pasażerów, milionami ton towarów, ludzkim losem i bogactwem krain.

Demon ruchu - po stu latach wyciągnięto z archiwów Grabińskiego i uważnie wczytywano się w każde zdanie. Torowiska kładziono zgodnie z nową wojenną sztuką tak, by stalowe szlaki nie tylko łączyły najważniejsze miasta Polski, ale by tworzyły na ziemi potężne znaki. Metalowa sieć spinała terytorium Rzeczypospolitej już nie tylko w przenośnym znaczeniu - torowiska stabilizowały geografie jak gigantyczne kawałki plastra. Zaś rozkłady jazdy, wytaktowane przez elfich magów, wzmacniały biologiczne rytmy przyrody, wzbudzając w eterze ochronne częstotliwości dla całej Europy Środkowej.

Teraz dopiero Robert spostrzegł, że na torze tuż przed lokomotywą skaczą trzy wróble. Siedzą na jednej szynie, potem niemal równocześnie przeskakują na drugą, przeganiają się nawzajem, trzepią skrzydłami, stroszą pióra. A nad nimi wznosi się stalowy potwór, czoło lokomotywy, czarna łopata Sniegowa. Wróble skakały nadal - bawiły się albo walczyły - nie bacząc na to, że tuż obok czeka uśpiony lewiatan, który może je zmiażdżyć, nawet tego nie zauważywszy.

Czy jesteśmy jak te wróble? Budujemy, organizujemy, ganiemy, żyjemy, bo nie zdajemy sobie sprawy, jaki potwór stoi naprzeciwko nas. Jeszcze śpi, jeszcze nie pokazał całej swej potęgi, więc wydaje nam się, że zdołamy przed nim umknąć. Lecz przecież nawet jeśli uciekniemy, to i tak nie

zagrozimy jego władzy. No, wróblasy, zmykajcie!

Ptaki nie przeżywały żadnych rozterek, oczywiście. Przefruwały z szyny na szynę, to zbliżały się do parowozu, to odskakiwały, zajęte swoimi sprawami. Do momentu, gdy lokomotywa sapnęła, zgrzytnęła, puściła kłęby pary. Wtedy jednocześnie poderwały się z ziemi i pomknęły ku budynkowi dworca, może szukając kolejnego przeciwnika do wróblích zaczepki. Stojący na sąsiednim torze skład drgnął, po czym przed oczami Roberta zaczął się przesuwać łańcuch towarowych wagonów. Jechały na zachód, ku rubieżom polskiego państwa i świata ludzi.

Robert obserwował pociąg, a miarowy rytm przesuujących się brązowych platform uspokoił go, pozwolił wrócić myślami do sprawy najważniejszej. Dlaczego wezwano go tak nagle?

Do Kawęczyna przyjechał wczoraj wieczorem. Miał to być przedostatni przystanek na trasie wizytacji. Nudna, ale konieczna tygodniowa podróż służbowa zbliżała się do końca. Robert Gralewski wizytował składnice wojskowe, sprawdzając procedury, stan zaopatrzenia, poprawność prowadzonej dokumentacji. Przynajmniej oficjalnie.

Dziś miał się zająć magazynami sprzętu samochodowego w Gostynie, gdzie mieściła się duża baza transportowa. Jutro miał jeszcze przejechać do Jarocina i tam spędzić cały dzień w biurach 4. Szwadronu Kawalerii, zgodnie z formalnymi rozkazami kontrolując zaplecze formacji zmechanizowanych. Oczywiście wszystko to było jedynie przykrywką, okazją do spotkania z agentami działającymi na tym terenie. Do tego doszła ta sytuacja ze starokatolikami... Tymczasem rano otrzymał rozkaz natychmiastowego powrotu do stolicy i stawienia się w Sztabie Głównym, podpisany przez szefa sztabu połączonych armii, hetmana El-Galada. Elfa. Sprawa była poważna.

Odwołał więc wizytę w jednostce i udało mu się złapać poranny pociąg do Warszawy. Nie zdążył natomiast o wyjeździe powiadomić porucznika Grzegorza Wątpińskiego, z którym spotkanie było prawdziwym celem jego wizyty w Kawęczynie.

Nie domyślał się przyczyn tak nagłego wezwania. Na terenie znajdującym się pod jego kontrolą było dość spokojnie, wczorajszy zamach był pierwszym od niemal trzech lat. Ostatnio nawet udało się skutecznie spacyfikować kilka grup ortodoksyjnych. Spotkanie, na które został wezwany, miało się odbyć w siedzibie El-Galada. Robert był tam kilkakrotnie, ale jako drugoplanowy uczestnik narad swoich dowódców, adiutant generała Mokosińskiego. Zaszyfrowany telegram z wezwaniem, potwierdzający polecenie esemesowe, został przyniesiony przez wojskowego kuriera z delegatury rządu, a nie z jednostki. Robert odebrał dokument, przeczytał wiadomość, potwierdził jej zrozumienie i wtedy magiczny papier rozpadł się w pył. Robert miał natychmiast, bez kontaktowania się z kimkolwiek, wracać do Warszawy. Zakazano mu nawet korzystania z sieci lub magicznych esemesów.

Wydarzyło się coś dziwnego i ważnego.

Kiedy pociąg ruszył, Robert wstał na chwilę. Podróżował po cywilnemu, w granatowych płóciennych spodniach i ciemnoniebieskiej lnianej koszuli. Zdjął i zwinął płaszcz, docisnął do ściany przedziału obok okna, przyłożył głowę, zamknął oczy. Miarowy rytm pociągu uspił go szybko. Śnił o swoich dawnych wędrówkach i walkach. O czasach, gdy Kajetan z nim rozmawiał.

Pięć godzin później był już w Warszawie. Wojskowy parochód odebrał go z dworca i powiózł wprost do siedziby sztabu, na spotkanie z samym hetmanem.

El-Galad był potężnie zbudowany jak na elfa. Nawet jego krawiec nie w pełni chyba to pojął, bo opinający ciało hetmana mundur kawalerzysty sprawiał wrażenie zbyt ciasnego. Dwumetrowy, o szerokich barkach, wielkich, mięsistych dłoniach, na pewno nie wzbudzał zachwytu elfich arbitrów elegancji i nie był ulubieńcem dam. Chyba nie za bardzo go to obchodziło. Sprawiał wręcz wrażenie, jakby ostentacyjnie lekceważył najnowszą modę i dawne obyczaje. Na dodatek ostrzygł się na jeża, tak że spiczaste uszy sterczały na boki szczególnie wyraziście. Na palcu nosił tylko jeden platynowy pierścień.

Kilkanaście lat temu atlantyckie fortece oceaniczne zostały zaatakowane przez ławicę ogromnych i szczególnie zmyślnych monstrów stworzonych przez barlogi i nazwanych amebootami. W bitwie z nimi wzięły udział amerykańskie bombowce strategiczne z baz grenlandzkich i polskie okręty podwodne wsparte przez nereidy. W cielsku jednego z zabitych i badanych potem stworów znaleziono platynowy pierścień. Ten sam, który w lutym tysiąc dziewięćset dwudziestego roku generał Haller wrzucił w Pucku do morza jako znak zaślubin Polski z Bałtykiem. Nie ma już Gdańska, w zasadzie zniknął sam Bałtyk, połączony z Atlantykiem po zagładzie Skandynawii. Ale ufundowany przez gdańszczan pierścień przetrwał. El-Galad, głównodowodzący polskiej armii, hetman wielki koronny, uznał to wtedy za szczęśliwy omen. Przekazał wszystkie rodowe totemy do katedry polowej na ulicy Długiej w Warszawie, a sam założył obrączkę i powtórnie ślubował wierność Rzeczpospolitej.

Tylko twarz El-Galada jednoznacznie wskazywała jego przynależność do rasy elfów. Regularne, choć ostre rysy, ciemnogrnatowe, niemal czarne tęczęwki, równa linia idealnie białych zębów, gładka skóra. Po ranach i oparzeniach, które odniósł w wielu bitwach, nie pozostał najmniejszy ślad. Hetman pozostawił sobie tylko jedną bliznę - długą białą kreskę znaczącą czoło i przez prawą skroń schodzącą na policzek. To pamiątka po ciosie zadany przez polskiego żołnierza, porucznika Karola Kędzierskiego, w trzecim dniu po Nadejściu. Znak przelanej krwi, symbol niezrozumienia, strachu i desperackiej odwagi.

Hetman nie nosił ryngrafu, ale podobno wizerunek Matki Częstochowskiej miał wytatuowany na piersi farbami w całości stworzonymi z nanokadabr. Wielu uważało, że gdy prowadzi armie do szarży, jest nieśmiertelny w pancerzu błogosławieństw. Inni wierzyli, że gdy ginie, odradza się natychmiast w nowym ciele tworzonym z magicznych cząstek. Ortodoksyjne podziemie starokatolików miało go za diabła. Schizmatycy biskupa Kręcińskiego uważali go za anioła.

Robert widział kiedyś, jak El-Galad jednym gestem dłoni powalił pół jegierskiej armii.

Teraz jednak hetman nie wyglądał na Achillesowego klona ani na półboga, ani na wysłańca piekieł, raczej na skoncentrowanego menadżera, który ma przed sobą poważną dyskusję z podwładnymi i zarządem. Stał przy ekranie do wyświetlania prezentacji, patrząc w stronę drzwi znajdujących się na drugim końcu sali odpraw. Wchodzący cywile kłaniali mu się lekko, a żołnierze salutowali, szukali na stole karteczki ze swoim nazwiskiem i zajmowali miejsce przy czarnym

blacie. Obok każdej wizytówki leżała kwadratowa podkładka pobudzająca. W czasie długich narad zebrani mogli aktywizować je, by sztucznie usunąć zmęczenie i podtrzymać aktywność. Na stole stały też butelki z napojami i termos z kawą dla zwolenników bardziej tradycyjnych rozwiązań. Czarne fotele, równie ciężkie i solidne co stół, o szerokich poręczach rzeźbionych w roślinne motywy, wyścielono szmaragdową, ciepłą w dotyku, plastyczną masą, zawsze układającą się ergonomicznie pod ciałami siedzących. Ściany pomieszczenia pomalowano jednolicie żółtą farbą, ale każdy wchodzący wyczuwał fosforyzujące magią wzory nanokadabrowych zakłęb, całkowicie wygłuszających salę dla świata zewnętrznego. Nad głowami zebranych kręciły się dwa wentylatory - których skrzydła również pokrywały systemy runów - dzięki obrotowemu ruchowi wytwarzające wokół sali zabezpieczający kokon. W półmroku czasem nawet dawało się dostrzec delikatnie jarzącą się, wielobarwną mgłę rozpylanych nanokadabr niczym zorza otulających pomieszczenie.

Po podłodze przesuwali się trzy żółwie memorskie, mające zapamiętać każdy szczegół narady. Przywiezione ze świata elfów, czterolape, płaskie, osłonięte skorupą magii twardszą niż diament - rejestrowały obraz i dźwięk, ale także uczucia, psioniczne emanacje, pulsowanie aur.

Nikt nie spodziewał się obecności szpiegów tu, we wnętrzu północnej wieży Pekinu, ale wedle wiedzy Roberta spotkanie w jednym miejscu wielu elfów obdarzonych potężną mocą mogło być jakoś wysledzone na odległość przez barlogi.

Ostatecznie do sali weszło czterech elfów i pięciu ludzi, z których Robert rozpoznawał ledwie połowę. El-Galad odczekał, aż zajmą miejsca, napełnią szklanki kawą, rozłożą swoje notesy. Wreszcie sam zasiadł u szczytu stołu. Fotel, jak mundur, też wydawał się dla niego za mały.

- Witam panów w imieniu króla i Rzeczypospolitej. Zostaliście wezwani w sprawie najwyższej wagi, dotyczącej bezpieczeństwa państwa. Spotkanie rozpoczniemy od krótkiej prezentacji przygotowanej przez wydział analiz. Proszę, panie majorze Rzetecki.

Światło w sali przygasło, za to rozjaśnił się ekran, a na nim pojawiła się aktualna komputerowa wizualizacja satelitarnych zdjęć Europy. Kontynent od pięciu lat był niemal stabilny, jeśli nie liczyć dość szybko oddalających się na północ Wysp Skandynawskich, pozostałości dawnego półwyspu. Atlantyk wlał się do Bałtyku, stanowiącego obecnie jedynie oceaniczną zatokę. Reszta kontynentu znajdowała się mniej więcej w takim stanie, w jakim pozostawiła ją wojna z roku dwudziestego drugiego. Wirtualna kamera zaczęła najeżdżać na środek kontynentu, dawną Nizinę Środkowoeuropejską w okolicach miejsca, gdzie przed inwazją znajdowało się niemieckie miasto Braunschweig.

- Witam szanowne audytorium. Nasze satelity przed siedmiu laty dostarczyły interesujących danych dotyczących tego obszaru. To jeszcze Marchia, ale Kurtyny są tam już zaciągane i powstają nowe Horyzonty Zdarzeń. Po pierwsze, zarejestrowaliśmy stamtąd bardzo dziwne emisje, w tym miazmat umierającego barloga, ale słaby, jakby już wygasający. Wedle naszych szacunków śmierć mogła nastąpić dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu, już po wojnie północnej. Wtedy jednak chaos zahoryzontalny był wciąż tak duży, że nie mogliśmy tego zarejestrować. Po drugie, Czarni prowadzili tam prace inżynierskie. Oto zdjęcia z tamtego okresu.

Na ekranie widzicie obszar o boku około pięćdziesięciu kilometrów. Siedem lat temu Słońce koniugowało z Rybami, a Merkury wchodził w cień Jowisza, zasłony Horyzontu rozjechały się i udało nam się zrobić stosunkowo dobre naświetlenia, z niezłą rozdzielczością, do dwóch kilometrów. Wszystko więc widać świetnie! - Major Rzetecki musiał być absolutnie zafascynowany swoją pracą, bo możliwość podzielenia się jej wynikami z szanownym audytorium nappełniła go wyraźną radością.

Robert nie potrafił na ekranie dostrzec niczego oprócz niewyraźnych linii i plam o różnych odcieniach szarości, ale prelegent zapewne czytał w tym miszmaszu jak w drukowanym planie Warszawy. Obsługiwane przez NASA satelity z jesionowego drewna i mithrilu - z tego, co Robert wiedział - nie robiły zdjęć, tylko namierzały linie sił, pola magii, strefy biologicznej aktywności. A jednak to wystarczyło Wolnemu Światu do zyskania takiej przewagi, by powstrzymać agresję barlogów w Europie i Ameryce.

- Niestety, potem Kurtyny opadły, a Horyzont znów się zamknął. Ochrona tego terenu wzmocniła się. Straciliśmy kontakt i od czterech lat nie mamy stamtąd żadnych rejestracji. Proszę zobaczyć różnicę - major Rzetecki aż podniósł głos z podekscytowania, bo na ekranie pojawił się kolejny obraz złożony z szaroburych wzorów. - Niesamowite, prawda?

Robert dyskretnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Albo to on nie dorastał do tego towarzystwa, albo wszyscy pozostali, z El-Galadem włącznie, doskonale maskowali zasępienymi twarzami swoje niezrozumienie tematu.

Ale po chwili i Robert dostrzegł zmianę - w środkowej części zdjęcia zamiast plątaniny linii pojawiła się duża szara plama, prostokąt o nieregularnych brzegach i zaoblonych rogach.

- Od kilku lat prowadziliśmy intensywne prace budowlane na Czerwonej, a NASA pracowała nad nowym typem sputnika. Podpięliśmy system trzy tygodnie temu, poszło na to dużo mocy i ciężkiej pracy robinsonów, ale znów na moment złapaliśmy ich z orbity. Barlogi coś zbudowały. Nie wiemy, co to jest. Do ochrony tego terenu przed podglądem satelitarnym używają potężnej magii, ale jednocześnie stosują zaklęcia pozorujące. Nie są w stanie całkowicie zaćmić naszych obserwacji, więc próbują zasugerować nam, że owszem, chronią ten teren, ale nie bardziej niż inne swoje tajne ośrodki. My jednak wiemy, że to dla nich bardzo ważny obiekt. Zarejestrowaliśmy też zwiększony ruch z tego miejsca do Gehenny.

Major Rzetecki zamilkł. Zapadła chwila ciszy, po czym głos przejął nieznany Robertowi elf. Kiedy zaczął mówić, spojrzał na Roberta i mężczyzna nagle zrozumiał, że całe to spotkanie organizowane jest dla niego. Tylko i wyłącznie.

- Niestety, ostatnio znów pojawiły się problemy - elf mówił wysokim, niemal piskliwym głosem tak powoli, jakby przed wypowiedzeniem każdego słowa musiał dopiero pomyśleć, jakiego wyrazu i w jakiej poprawnej gramatycznie formie powinien użyć. Może rzeczywiście dopiero niedawno nauczył się polskiego, a może ta precyzja w formułowaniu wynikała po prostu z charakteru spraw, jakimi musiał się zajmować. Czyli wywiadu. - Kurtyny wzmocniły się, Horyzont jest stabilny. Nasze satelity zgubiły ten teren. Nowe informacje nie napływają. Ta inwestycja jest przez wroga

chroniona szczególnie starannie. Z tego też wnioskujemy, jak jest ważna. Jednocześnie nie rozumiemy, dlaczego realizują ją tak blisko granicy, gdzie - choć z trudem - możemy dotrzeć, a nie w głębi Gehenny. Uważamy, że są dwie możliwości. Budują instalacje zaczepne, na przykład nowe wyrzutnie, i chcą mieć w zasięgu terytorium Królestwa. Albo robią to tam, bo nie mają innego wyjścia. Może odkryli coś, co nie może zostać przeniesione.

Zamilkł, odwrócił wzrok od Roberta. El-Galad wstał z fotela.

- Musimy zdobyć więcej informacji. Na powrót przebić Horyzonty Zdarzeń. Wysłać tam kogoś, kto zdobędzie dla nas jakiegokolwiek wskazówki. Kogoś, kto dotrze w głąb ich ziem, przetrwa tam jakiś czas i dostarczy nam danych. I przede wszystkim przedrze się przez Kurtyny i otworzy nam ścieżkę dostępu. Zadaliśmy pytanie wyroczeni. Rzucaliśmy kośćmi i czytaliśmy gwiazdy. Spojrzeliśmy w kryształy. Nie mamy wątpliwości. Chodzi o pańskiego syna, pułkownika Gralewski. To jego wskazała przepowiednia. On już jest w Zonie, a może nawet poza Horyzontami. Musi dotrzeć w to miejsce.

Robert drgnął. Spojrzał prosto w oczy El-Galada. Nagle zrozumiał, po co go tu wezwano.

- Hetmanie, pan na pewno wie, że mój syn zerwał ze mną kontakt, zanim porzucił regularną armię. Uznał, że nie chcę mu pomóc w odszukaniu siostry.

- Oczywiście, pułkowniku. Ale wciąż pracuje dla mnie na mocy przywilejów nadanych przez króla. Jest wolny, ale ma obowiązki. I jak do tej pory zawsze się z nich wywiązywał.

- Tak daleko nikt jeszcze nie dotarł, z tego, co mi wiadomo.

- Rozumie pan, pułkowniku, że nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć tej informacji.

- Czemu nie pójda elfy?

- Nie przedrą się przez Horyzont bez uruchomienia systemów larowych barlogów. Nie wejdą tak głęboko. To musi zrobić człowiek.

Zapadło milczenie. El-Galad spokojnie patrzył na Roberta, rozumiejąc, że człowiek i tak nie ma wyjścia, że kolejne pytania są tylko próbą odwleczenia momentu zgody.

- Hetmanie, powiedział pan „przetrwać jakiś czas” - Robert podjął kolejną próbę - ale nie powiedział pan „wrócić”.

- Przepowiednia zamilkła. Nie mamy dalszych wizji.

- Bo stamtąd się nie wraca.

- Tego nie wiemy.

- I ja mam wysłać na tę wyprawę własnego syna?

- Tak, pułkowniku Gralewski, pan.

- Mój syn nie utrzymuje ze mną kontaktów od czterech lat. Pan przecież o tym wie, hetmanie.

Odrzucił prośbę Najjaśniejszego Pana. Zrezygnował ze służby.

- Tak. Wiem. To nie ma znaczenia.

- Może nie usłyszeć mojego wezwania. Jest za Horyzontem. I odrzucił mnie.

- Ale pan go nie odrzucił, prawda, pułkowniku Gralewski?

Znów zapadło milczenie, Robert pochylił się nad stołem, położył na blacie ręce, rozcapierzając

dłonie, wduszając palce w czarną politurę. Guziki munduru zastukały o drewno.

- Więc to ja mam go wysłać na śmierć?

- Tak, pułkowniku Gralewski, pan - powtórzył hetman wielki koronny El-Galad.

* Dwie powyginane sosny wyglądały niczym para staruszków powykręcanych przez reumatyzm, próbujących wspierać się w walce ze słabością i bezwładem. Rosły tuż obok siebie, przeplatając gałęzie tak, że mogły się wręcz wydawać pojedynczym zmutowanym drzewem o dwóch pniach.

Kajetan uznał, że ich połączone konary pozwolą mu wspiąć się stosunkowo wysoko. A że rosły niemal na szczycie pagóra, mogły stanowić idealny punkt obserwacyjny. I rzeczywiście, kiedy lekko zasapany wdrapał się na tę utworzoną siłami natury drabinę, w oddali za lasem zobaczył obozowisko jegrów.

Azymulet zasygnalizował ich obecność poprzedniego dnia, kiedy Kajetan szukał dogodnego brodu na rzece. Woda płynęła leniwie, nurt był szeroki może na dziesięć metrów i wydawał się niezbyt groźny. Jednak woda była mętna i Kajetan zdecydował, że może poświęcić trochę czasu na odszukanie miejsca, w którym na pewno widziałby dno. Nie trwało to długo, bo już po kwadransie znalazł teren, gdzie rzeka szeroko rozlała się pomiędzy gliniastymi skarpami, obrośniętymi wierzbami, brzożami i krzakami głogu, a pod lustrem łysnęło żółtawe tło. Rzeka zakręcała łagodnym łukiem, a brzeg był na tyle płaski, że dało się nim wygodnie zjechać. Kajetan zsiadł z konia, podszedł bliżej. Teraz baczniej przyjrzał się nurtowi, ale nie dostrzegł zagrożenia - żadnych podejrzanych pluśnięć czy cieni niebezpiecznych stworzeń pod powierzchnią. Z powrotem dosiadł Tytusa i stępa ruszył ku wodzie. Przeciął rzekę skośnie, jadąc wzdłuż łachy płytkiego dna, tak że nawet nie zamoczył butów. A kiedy wydostał się na drugi brzeg, gwałtownie osłabło izolacyjne działanie wody i azymulet zaalarmował o obecności jegrów.

Sygnał był silny, sugerował, że nie jest to jakiś zabłąkany podjazd, a raczej większy oddział lub baza Czarnych. Kajetan nie spodziewał się sług barlogów w Zonie tak blisko Odry. Wszak tu mogli już zostać namierzeni przez polskie systemy pelengacyjne.

Przez chwilę rozważał, co powinien uczynić w tej sytuacji. Jego zadaniem było zbieranie informacji, a nie walka. Powinien zmierzać na zachód, nie zajmując się sprawami, które leżały w kompetencji rangerów i regularnej armii. Z drugiej strony, dopóki jegrzy byli w okolicy, on sam nie mógł czuć się bezpieczny.

Co prawda Czarni nie byliby w stanie go namierzyć. Ludzie, nawet posiadający czarodziejskie zdolności, pozostawali neutralni dla receptorów barlogów i ich sług, podobnie jak zwierzęta czy kamienie. Co innego elfy. Tych barlogi potrafiły wyczuć ze znacznej odległości. To między innymi dlatego wśród zwiadowców najgłębiej zapuszczających się w Zonę, lub nawet na ziemie Czarnych, do Marchii, byli wyłącznie ludzie, choć przecież nie dysponowali potęgą elfów.

Tak więc dopóki nie aktywowałyby silnych czarów lub nie zaburzył linii pola geomancyjnego, byłby trudny do wykrycia magicznymi metodami. Groziły mu jednak zwykłe niebezpieczeństwa, jakie czyhają na samotnego wędrowca na terenie zajęтым przez wrogów. Mógł zostać usłyszany

lub zauważony, jego zapach mogły wyczuć służebne soggothy, a wprawni tropiciele odnaleźć ślad po obozowisku. Dlatego dla własnego spokoju musiał sprawdzić, ilu jegrów kręci się po okolicy i po co. Był i drugi powód. Jegierski podjazd mógł podążać ku granicy, by zaatakować Rzeczpospolitą. W takiej sytuacji powinien zaryzykować dekonspirację i przynajmniej zawiadomić polski brzeg o inwazji.

Azymulet wskazywał orientacyjny kierunek, z którego dochodził smród jegrów, i wyliczał dystans na dziesięć, piętnaście kilometrów. Osiem z nich Kajetan pokonał na koniu, kolejne sześć już na piechotę, zostawiwszy Tytusa w naturalnej kryjówce z gęstych krzaków. Późnym popołudniem dotarł do granicy lasu. Teraz sygnał z azymuletu był mocny i wyrazisty. Geograf, cały czas trzymając się linii drzew, ruszył na północny zachód, ku wzgórzu wznoszącemu się lekko ponad porośniętą trawami równiną. Uznał, że tam znajdzie najlepszy punkt obserwacyjny, ale przecież nie spodziewał się tak idealnego do wspinaczek drzewa. A w zasadzie dwóch drzew. Los na razie mu sprzyjał.

Przyłożył do oczu lornetkę, omiótł wzrokiem horyzont. Dostrzegł na nim ciemnozieloną linię, niechybny znak, że i tam rośnie las, a trawiasta halizna to jedynie bezdrzewny pryszcz na ciele puszczy, która porastała całą centralną Europę. Prawdopodobnie przed Najazdem znajdowało się tu jakieś miasteczko będące węzłem komunikacyjnym. Świadczyło o tym kilka nieco ciemniejszych pasów roślinności, przecinających się mniej więcej w centrum wolnej przestrzeni - prawdopodobnie śladów dawnych dróg. Ale z tej odległości nie było widać żadnych innych śladów ludzkiej aktywności, domów, słupów trakcyjnych czy wież telefonii komórkowych. Pług wojny przeorał Europę, zasypując ruiny ludzkich siedzib płynną skałą, wodami Atlantyku i zwałami ziemi. W tym miejscu musiało zginąć wielu ludzi, skoro jegrzy wybrali je na swoje obozowisko. Czerpali siły z gleby pamiętającej strach i ból, wygrzewali się w odległych echach śmierci niczym jaszczurki kąpiące ciała w promieniach słońca.

Obóz znajdował się teraz o półtora kilometra od Kajetana, w kierunku północno-zachodnim. Tworzyły go prostopadłościene kontenery ustawione na bokach pięciokąta. Miały ciemnozielone, gąbczaste ściany pokryte czarnymi ideogramami, których z tej odległości nie sposób było odczytać. Nie dopatrywał się też żadnych drzwi, okien, nadbudówek, kominów, anten. Wyglądały jak kamienne monolity porośnięte mchem, ważące tony i leżące tu od tysiącleci. Nic bardziej mylnego. To były wozy bojowe jegrów, w czasie wypraw służące im za maszyny wojenne, domy, miejsca odpoczynku i ładowania mocy. W oficjalnej wojskowej nomenklaturze nazywano je „czołgami”, ale większość ludzi mówiła na nie po prostu „macice”.

Poza obrębem obozowiska, równo w połowie długości każdego boku, stał wysoki na trzy metry maszt z czarnego metalu, rozszerzający się na końcu w nieduży znicz, na którym płonął ogień. Światła były porażająco białe, tak że raziły oczy nawet w dzień. Tańczyły nad masztami, układając się w jaskrawe znaki mocy, wspólnie tworząc wokół bazy ochronną sieć.

Kajetan wiedział, że położenie poszczególnych słupów nie jest przypadkowe. Baraki i maszty tworzyły pentagram wypełniający dodatkową mocą wnętrze obozowiska. Tam zaś panował ruch,

zorganizowany i podporządkowany jednemu celowi.

Jegrzy budowali trebusz i szykowali się do ataku psychologicznego.

Na razie postawili jedynie podstawę urządzenia - na cztery metry w górę sterczał jak gdyby odwrócony widelec od przedniego koła monocyklu dla giganta, ustabilizowany linami odciągów idącymi skośnie ku ziemi. Jego ramiona rozpląszczały się u szczytu, piasty na oś obudowane były konstrukcjami eteralnych łożysk.

Sześciu jegrów powiększało machinę. Na pierwszy rzut oka mogło się zdawać, że nie różnią się niczym od brygady robotników budowlanych stawiających konstrukcję pod okiem inżyniera. Jednak baczniejsza obserwacja wskazywała różnice. Pracowali bez wytchnienia, nie zatrzymując się, nie naradzając. Czasem dwóch czy nawet trzech robiło coś wspólnie, ale nie musieli się do tego zwoływać. Po prostu jednocześnie odkładali swoje dotychczasowe prace i gromadzili się tam, gdzie był potrzebny wspólny wysiłek. Po wykonaniu zadania znów rozchodzili się do swoich obowiązków. Tak byli warunkowani i ćwiczeni - standardowe prace i powtarzalne procedury wykonywali zawsze z precyzją, co do ułamka centymetra i sekundy, niczym zaprogramowane automaty.

Kajetan rozpoznał umundurowanie formacji inżynieryjnej. Ciemnozielone zbroje pokrywały całe ciała jegrów, a płaskie maski twarze. Czasami w czarnych plamkach otworów na oczy błyskał symbiotyczny robak, dar i przekleństwo barlogów, zamieniający ludzkie dzieci w najwierniejsze służby Czarnych. Z tak dużej odległości geograf nie potrafił dostrzec kształtu ust wyciętych w poszczególnych maskach, a to one wskazywały na szarżę i status jegra. W bazie nie było żadnych niewolników, ale Kajetan nie miał wątpliwości, że każdą z pięciu anten podtrzymujących znicze mocy zakotwiczone w ziemi nie tylko stalowymi kotwicami, ale i ciałami ludzi zagrzebanych żywcem i przebitych potem ostrzami masztów.

Kajetan obserwowałby obozowisko do samego zmroku, gdyby nie zwykle, ale jakże dające się we znaki potrzeby ludzkiego organizmu, a konkretnie: jedzenia, wydalania i nieprzesiadania zbyt długo na sękatej, robiącej odciski na zadku gałęzi. Ostrożnie zaczął się gramolić ze swojego posterunku, uświadamiając sobie nagle, że lewa noga ścierpła mu tak bardzo, iż w zasadzie stracił nad nią władzę. Potem zaś nastąpiły konsekwencje tego przykrego faktu - niewystarczająco wsparł się na jednym z konarów, stopa omsknęła się, a on poleciał w dół, próbując rozpaczliwie złapać dłońmi pokręcone gałęzie bliźniaczych sosen. Nie zdołał, ale na tyle spowolnił upadek, że gruchnął o ziemię umiarkowanie i ze swoistym wdziękiem. Nie licząc zadrapań na twarzy i dłoniach, wyszedł z tego wypadku bez większego szwanku. Opisawszy sam siebie w myślach kilkoma dość obelżywymi słowami, zajął się sprawami, które go spędziły z drzewa. Odsikał się, starannie wytarł ręce o spodnie munduru, po czym wypakował z plecaka rację żywnościową i manierkę. Tego dnia nie miał już wiele do roboty. Zapadał zmierzch, a noc - szczególnie gdy nie pada deszcz lub nie ma pełni - to czas wzmacniający jegrów.

Kajetan poświęcił jeszcze trochę czasu na skontrolowanie okolicy, po czym umościł sobie posłanie z trawy i mchu u podnóża dużego buka, w miejscu, gdzie dość gęsto rosły i inne drzewa.

Woda płynąca w pniach i gałęziach osłabia zmysły sług Czarnych. Dlatego unikają lasów, jeśli mogą, i dlatego Kajetan mógł się tu czuć stosunkowo bezpieczny, choć znajdował się tak blisko ich obozu. Oczywiście nie zaniedbał środków bezpieczeństwa. W promieniu dwustu metrów od swojego legowiska wbił w ziemię kilkanaście specjalnie zestruganych i przeczarowanych dębowych patyczków-potykaçy. Nie dawały dość mocnego sygnału, by obudzić człowieka, ale kiedy zsynchronizował z nimi azymulet, zyskał całkiem sprawne zabezpieczenie. Nastawił budzik na czwartą rano, podłożył pod głowę plecak, przykrył się kurtką i po chwili już spał.

A w nocy zabił swoją siostrę i ojca, a sam umarł trzy razy.

W pierwszym śnie znów był małym chłopcem, Kajtkiem z wsi Dzierszawice, niewolnikiem i synem jegierskich niewolników. Znów stał nad leśną kryjówką Hah-hona, przybysza z obcych światów, a karzeł przyciskał jego małą siostrzyczkę do piersi, trzymając na jej szyi ostry nóż.

- Co wybierasz? - pytał dudniącym głosem, jakby mówił przez metalową rurę. - Zabiję ją, a ty polecisz do Polski. Albo daruję jej życie, lecz na zawsze pozostaniesz tu, we władzy barlogów. Co wybierasz?! Siostrę czy wolność?! Mów!

I Kajetan odpowiedział, jak to często we snach się zdarza, będąc jednocześnie wypowiadającym słowa bohatera koszmaru i zewnętrznym obserwatorem.

Krzyczał:

- Nie! Nie mów tego! Nie!!!

Mówił:

- Zabij!

A nóż karła otworzył szyję Dorki jak brzuch ryby.

Wtedy we śnie pojawił się Robert, tak jak wtedy, z pistoletem maszynowym, i zaczął strzelać do karła, a kule wbijały się też w ciało martwej dziewczynki. Na jej szarej płóciennej sukience wykwił cudowny wzór z czerwonych płatków róż, z każdą chwilą intensywniejszy i coraz bardziej splełany.

- To ty ją zabiłeś, nie ja - dorosły Kajetan-obserwator słyszał słowa wypowiedane przez chłopca-Kajtkę. - To ty, zabójco!

Ostrzem noża wskazał Roberta. Podniósł drugą dłoń, w której wciąż ścisnął magiczny przedmiot ukradziony karłowi. W oczach wyśnionego Roberta zobaczył czerwone płomienie. I strach.

- To ty!

Ciało Roberta zapaliło się w jednej chwili, jego peem wypluł nawet jeszcze kilka kul, które też zapłonęły w locie. Robert zaczął biegać, podskakiwać, obijać się o drzewa, wciąż wyjąc i łkając.

- Nie będziesz moim ojcem! - powiedział jeszcze wyśniony Kajtek, a w chwilę potem żywa pochodnia uderzyła w niego i sam zaczął płonąć.

Potem jeszcze zabił go graf, wyssawszy najpierw życie z pięknej elfki, Anny Naa'Maar.

W ostatnim śnie Kajetan sam strzelił sobie w twarz z pistoletu.

Obudził się długo przed czwartą rano, w strasznym czasie przedświt. Wciąż było ciemno. A on leżał zwinięty w swym barlogu z liści i mchu, skulony, spocony, rozgorączkowany. I płakał.

Trebusz jęgrów odpalił pierwszy strzał. Pocisk suicydalny pomknął ku Polsce.

To takie maszyny przyniosły zagładę Bonn i Wrocławowi, Lyonowi i Kopenhadze, a niewypały z ich pocisków powodują czasem ewakuacje całych dzielnic i miasteczek. Bomby samobójców, straszliwa nazwa nadająca nowe znaczenie określeniu „wojna psychologiczna”.

Kajetan widział nagrania z Kopenhagi. Nie wiadomo, czemu z tego właśnie miasta pozostało aż tyle zapisów, dlaczego tam akurat najwięcej ludzi stosunkowo długo wytrzymało atak i zdołało kręcić te straszne rzeczy dziejące się wokół. Tak, nagrania z prywatnych kamer prowadzonych dłońmi świadomych operatorów były cenniejsze niż te z automatów przemysłowych czy policyjnych, rejestrujących po prostu wszystko to, co dostało się w ich pole widzenia. A te z Kopenhagi były najlepsze. Elfy twierdziły, że zdecydował o tym charakter miasta - spokojnego, przyjaznego, bezpiecznego. Nowoczesnego, ale przecież kameralnego, oferującego mieszkańcom i turystom czyste ulice, przytulne knajpki i spokojną, ludzkiego formatu architekturę, jakiej nie mają ośrodki przemysłowe czy wieżowcowe „city” ośrodków biznesowych. Kopenhaga chroniła swych mieszkańców, dając niektórym z nich dodatkowe minuty czy nawet kwadransy. Wielu uciekło, inni, na własne nieszczęście nie rozumiejąc, co się dzieje, próbowali nagrywać wydarzenia.

I rejestrowali. Najczęściej ludzi wyskakujących z okien na bruk. Zazwyczaj najpierw słychać było trzask i szalony krzyk. Obraz gwałtownie przesuwiał się - to obiektyw kamery szukał celu. Jeśli operator był szybki, a dom dostatecznie wysoki, udawało się czasem nawet ująć sylwetkę w locie. Jeśli nie - kamera rejestrowała tylko ostatni akord: tępy odgłos ciała uderzającego o bruk, a po chwili na ekranie pojawiał się trup. Były i inne zapisy. Ludzi rzucających się do kanału z Długiego Mostu. Samochodów na ulicy admirała Nielsa Juela, gwałtownie przekierowywanych na przeciwne pasy ruchu, wprost na czołowe zderzenia. I scena, która robiła na widzach najstraszniejsze wrażenie, może dlatego, że rozgrywała się na jednej z najspokojniejszych ulic świata - Strogecie. Tłum szlochających ludzi rzucał się na wystawy, tłukł szyby i ciął sobie żyły lśnącymi w słońcu szklanymi sztyletami.

Bomby samobójców.

Na co dzień człowiek tkwi bezpiecznie w batyskafie własnej woli i optymizmu. Kompozytowe pancerze psychiki zbudowane z dobrych wspomnień, pozytywnych emocji i nadziei na przyszłość chronią przed ciśnieniem kłopotów codziennego życia, przed głębinowymi monstrami żerującymi na dnie świadomości, przed bezkresnym mrokiem rozpacz.

Ale czasami ludzie nie chcą żyć. Poddają się cierpieniu i samotności. Nie mogą się pogodzić ze złem, którego doświadczyli lub które sami zadali. Tęsknią za ukochanym, który odszedł. Nienawidzą wszystkich, którzy żyją obok, a nie chcą odejść. I wtedy popełniają samobójstwa.

Bomby samobójców - artyleria barlogów - wywołują właśnie te najgorsze wspomnienia, pozbawiają marzeń, wymuszają skrajną pokutę za prawdziwe i wyimaginowane grzechy. Już sama obecność w pobliżu wystrzeliwującego je działa stanowiła śmiertelne zagrożenie, wystarczyła, by zmącić ludzki umysł i wypaczyć myśli Kajetana.

Wciąż leżał na pośłaniu. Nie chciało mu się wstawać. Ani żyć. Zdradził swoich, uciekł, zostawiając ich na pewną śmierć. Potem zdradził przybranego ojca. Odrzucił jego miłość, umknął,

nie szukając żadnych kontaktów. Okłamał też elfy, od których nauczył się tak wiele, a potem odszedł, by nie służyć pod ich komendą. Jest zły, zły, zły. Nie odnajdzie cienia siostry, nigdy już nie porozmawia z Anną Naa'Maar, nie złoży pokłonu królowi. A świat się skończy i wszyscy ludzie staną się niewolnikami barlogów. Jest zły. Ale przecież istnieje rozwiązanie. Sposób, by z tym wszystkim skończyć. Łatwy, tak szybki i tak prosty. Już nic nie zaboli. Krzywdy zostaną spłacone. Grzechy odpuszczone. To takie oczywiste. Oczywiście...

Zbyt oczywiste. Aż niegodne w swojej banalności, za proste, by odkupić zło, którego dokonał. Więc jednak nie może... nie powinien...

Mechanizmy obronne w umyśle Kajetana włączyły się, kiedy sięgał po pistolet. Jego myśli przegrywały, ale zaczął się modlić. Cicho, szeptem, początkowo zacinając się i powtarzając, odmawiał „Zdrowaś Mario”. Ciało przywracało władzę nad umysłem.

Zazwyczaj jest odwrotnie. Gdy zajmujesz się zwykłymi codziennymi sprawami i masz czas na ocenę i analizę sytuacji, to mózg decyduje o ruchu, o nacisku, o uderzeniu. Jednak wojownik ćwiczy ciało, by - kiedy zajdzie potrzeba - ono przejęło władzę nad umysłem. Żołnierz powtarza po tysiackroć kata, by w realnej walce nie myśleć o unikach, tylko unikać. Wystrzeliwuje pociski do papierowych tarcz, by oko i dłoń sprzęgały się automatycznie. Co dzień odmawia modlitwy i bojowe mantry, by dostać ochronę i wsparcie, gdy tego najbardziej potrzebuje.

Tym razem ratunek przyszedł z ciała, ale nie z nóg dokonujących gwałtownego uskoku czy ramion wbijających włócznię we wroga. Kajetana uratowało gardło, język i usta.

Gdy jego umysł zapadał się, oczy lśniły od łez, a dłoń pełzła ku kolbie walthera, zaczął się modlić. Powtarzany automatycznie rytm ciął straszne wspomnienia niczym siekająca chaszczka maczeta w rękach sprawnego przewodnika. Odślaniał krajobraz i światło. W czarne fotografie wepchnął kolory. Rozbrzmiał łagodną muzyką. Niósł uczucie bliskości i opieki, przyjaźni i oddania. Smak domowego obiadu przygotowywanego przez siostrę Roberta, Łucję. Zapach perfum, jakich używała Jadwinia, drobna, smągła brunetka, z którą ostatnio randkował. Pluszate ciepło dłoni dwuletniego Krzysia, syna jednego ze znajomych.

Imiona. Następny krok to imiona, bo za nimi kryją się twarze, głosy, oczy, umysły tych, którzy go kochali i szanowali.

Ochronny batyskaf Kajetana niemal popękał, ale geograf recytował imiona swych przyjaciół i bliskich, a każde z nich było jak galon powietrza wtłoczony do skorupy okrętu podwodnego, pozwalało oddychać i jednocześnie wypychało z dna ku słońcu.

Dłoń dotknęła zimnej kolby pistoletu i zamarała w bezruchu. Z oczu wciąż płynęły łzy, a skurcz żalu zdawał się wykręcać wszystkie trzewia.

Ale Kajetan wrócił. Znow włądał sobą. Nie był przecież bezbronnym, nieprzygotowanym mieszkańcem spokojnej Kopenhagi, bogatego Wrocławia, słonecznego Lyonu. Był jednym z najlepiej wyszkolonych przez elfów ludzi. Był posiadaczem potężnego artefaktu, nazywanego Kluczem Przejścia. Był królewskim geografem, wędrującym po granicach znanych światów. Był bratem, który wciąż szuka swej zagubionej siostry. Był żołnierzem. Odkrywcą. Kajetanem

Kłobudzkiem.

Nie, to jeszcze nie teraz. Magia została przełamana.

Trebusz jegrów bardziej przypomina młyńskie koło z lunaparku niż średniowieczną maszynę miotającą, od której wziął nazwę. A jeszcze bardziej - jeden z tych starych i oczywiście niedziałających projektów perpetuum mobile. Na sterzącym z ziemi pałaku osadzono zębatą tarczę wykonaną z ciemnego litego materiału. Zęby, których na obwodzie było dwadzieścia siedem, miały kształt ćwiartki koła, do każdego przymocowano pałąk na ruchomym łożysku, zakończony miskowatym łożem.

Szaleni wynalazcy, którzy w dawnych czasach próbowali zbudować wieczny motor, konstruowali takie zębatki z ruchomymi ciężarkami, licząc na to, że odpowiednie ułożenie pałąków zawsze będzie dawać na jednej połowce koła większy moment obrotowy, a to z kolei spowoduje wieczny ruch. Oczywiście w świecie fizyki Newtona i Einsteina, w prostym uniwersum kwantów, barionów i superstrun, to nie mogło działać. Zawsze bowiem następował taki układ zawiasowanych pałek na zębach koła, że wstrzymywało ruch, zawracało i po pewnej liczbie wahanć zatrzymywało się.

Ale czy te same prawa dotyczą maszyn ze świata wypełnionego magicznym eterem, Planu wysyconego fagami magii, syntezującymi moc z atomów cierpienia i cząstek strachu, tak jak wirus buduje swoje ciało z ludzkiego białka?

Więc może tarcza kręciła się zasilana jakimś źródłem energii, a może była w naszym świecie perpetuum mobile, generującym energię i do własnego ruchu, i do wyrzucania na wschód morderczych pocisków. Kiedy ząb docierał na górę koła, przymocowany doń pałąk znajdował się niemal w pionowym ustawieniu, a jego łyżeczkowate zakończenie sterczało dobre sześć metrów nad ziemią.

Wtedy jegrzy zamierali na moment, wyciągali ramiona w górę, układając ze swych ciał znaki rozkazów. Przez trebusz przebiegało lekkie drżenie i od łyżki odrywała się granatowa kula. Zachowywała się jak kropla wody w stanie nieważkości. Płynęła powoli, jej powierzchnia dygotała synchronicznie z rytmem koła. Sunęła w górę. Ponad bazę, drzewa i wzgórze.

Będzie tak szybować dalej na wschód. Popychana wiatrem i słabym odrzutem własnej magii przeleci nad Zoną, Nową Odrą i Kresami. Fronty atmosferyczne przesuną ją na północ lub południe, przycisną do ziemi lub podniosą ku chmurom.

Może nie dolecieć. Spłucze ją zwykły deszcz lub burza wywołana przez larowe czary planetników. Dopadnie i rozproszy bojowy sokół-czatownik strzegący powietrznych granic Rzeczypospolitej. Wiatr zniesie na pustkowie, aż do wyczerpania energii. Albo zepchnie zbyt nisko i rozbije na jakimś bezludziu. Ale jeśli doleci i wyczuje ludzkie skupisko, sama zacznie opadać. Nad celem zmieni kształt, spłaszczy się wertykalnie, powiększy, zamieni w ciemnoniebieski naleśnik, popęka w nieregularną sieć, rozcapierzy. I opadnie.

A wtedy popełni samobójstwo każdy człowiek w obszarze jej działania, o ile nie jest zabezpieczony specjalnym strojem czy czarem, o ile nie nurkuje właśnie w basenie lub nie modli

się w kościele. Przeżyją też dzieci, wszystkie do mniej więcej pierwszego roku życia. Tak jak pięć tysięcy małych Duńczyków w Kopenhadze i niemal dwa tysiące dzieciaków z dzielnicy Krzyki we Wrocławiu.

W powietrze wyleciał kolejny granatowy bąbel. Koło wyrzucało je w tempie trzech na godzinę. Jegrzy, gdy tylko odpalili nowy pocisk, zabierali się do ładowania łyżki na pałaku znajdującym się właśnie w najniższym położeniu i przesuwającym się wraz ze stosownym zębem tuż nad powierzchnią ziemi.

Kolejno sypali do niego cztery rodzaje proszku. Ostatni jegier polewał tę mieszankę jakąś mazią. Za każdym razem w tym momencie Kajetana znów dopadała chwilowa, trwająca sekundy depresja. Jak elektrowstrząs, tylko geograf miał wrażenie, że to nie on cierpi osobiście, a ktoś bardzo mu bliski.

Jegrzy mieli pecha. Gdyby na miejscu Kajetana znaleźli się komandos, zwiadowcy-zuchy zaprawieni w atakowaniu wysuniętych jegierskich placówek, nie daliby rady. Zwykli ludzie, nawet doskonale wytrenowani, musieli ulec mocy bijącej z tego miejsca. Nawet jeśli dzięki szkoleniu i magii ochronnej zdołaliby przeżyć, to zapewne sił starczyłoby im tylko na zwiewanie jak najdalej stąd. Oczywiście potem, już z bezpiecznej odległości, oznaczyliby położenie bazy i wezwali śmigłowce bojowe. Nim apaczom udało się tu dolecieć i zaatakować trebusz, jegrzy zyskaliby przynajmniej kilka dni na prowadzenie ostrzału. Czyli wypchnęliby na terytorium Polski kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt bomb.

- Dobra, teraz sobie popłaczesz minutkę, a potem do roboty - powiedział Kajetan, siorbiąc nosem i ocierając łzy rękawem. Wciąż czuł smutek. Dobry znak. Nie rozpacz głęboką jak Rów Mariański. Nie stos nieszczęść wysokich jak Nowe Rysy. Tylko zwykły smutek.

Wstał z postania, spokojnie spakował niezbędny sprzęt. Potem wdrapał się na pagórek, odnalazł swoje dwie pokrzywione sosny bliźniaczki i zaczął przygotowania.

Najpierw pantograf. Kajetan rozłożył na ziemi kurtkę, przyklepał dla wyrównania. Zdarzało mu się nieraz upuścić w ściółkę jakieś drobne elementy, podkłady, łączki. Kończyło się to zawsze łożeniem na czworakach z nosem we mchu, nerwowym macaniem trawy i seriami przekleństw rzucanych na samego siebie i zupełnie niewinne przeciw mutry. Tak więc kiedy już kurtka stała się blatem roboczym, wyjął z płóciennego futerału sześć płaskich mithrilowych listewek i śruby do ich skręcenia. Z dna woreczka wyciągnął małe pudełko z jaśminowego drewna. W wyścielanych gąbką przegródkach tkwiły wzmacniacze nanokadabrowe - mithrilowe tulejki wypełnione substancją magiooptyczną pochodzącą ze świata elfów. Spełniały funkcje lusterek i soczewek przenoszących obraz z jednego ramienia pantografu na drugie. Ułożył to wszystko przed sobą i zaczął montaż.

- Ostrożnie, z wyczuciem - mruknął do swoich palców. Ta robota wymaga precyzji. Nie dociśniesz ramion dostatecznie, zostawiając luzy na przegubach, dostaniesz zwichrowany obraz i nieprecyzyjne odwzorowanie. Skręcisz za mocno, ramiona będą chodzić zbyt opornie i utrudnią precyzyjne wycelowanie w zmniejszany obiekt. Podobnie ze wzmacniaczami, muszą być

ustawione bardzo dokładnie, bo każda odchyłka rozprasza moc sylwetki.

Sylwetka... Tak mówiono na przemagiczniony obraz.

To zabawne, jak znaczenie słów odbiega daleko od ich pierwotnych sensów. W osiemnastym wieku popularne były portrety cieniowe. Model siadał przed specjalną sztalugą z rozpiętym półprzezroczystym papierem. Za nim stawiano źródło światła. Na sztalugę padał cień modela, zazwyczaj profilu, skrętnie odrysowywany przez opłaconego artystę. Potem zmniejszano ten cień za pomocą pantografu właśnie, kilku listew tak przegubowo połączonych, że rozmiary łapane jednym końcem przenosiły się na rozstaw prętów na drugim końcu w wyskalowanym pomniejszeniu. Podobizny takie, popularne zwłaszcza wśród ludzi, których nie stać było na zwykłe malowidła, nazywano właśnie sylwetkami, od nazwiska francuskiego ministra skarbu de Silhouette'a, zachęcającego Francuzów do oszczędności i niewydawania majątków na zwykłe portrety.

Dziś, trzysta lat później, de Silhouette użycza swego nazwiska wytworowi magii istot z innego świata, który nie ma nic wspólnego ani ze sztuką, ani z rozrzutnością.

Kajetan skręcił pantograf, doczepił wzmacniacze i pręty statywu. Przesunął dłonią po urządzeniu, cicho szepcząc zaklęcie aktywujące. Po chwili poczuł na skórze delikatne mrowienie. Wrażenie zniknęło bardzo szybko, co oznaczało, że montaż został wykonany prawidłowo i wszystkie elementy złapały synchron.

Usiadł na rozłożonej kurtce. Przed sobą miał tylko drzewa, puszcę gęstą tak, że sięgał wzrokiem w głąb na sześćdziesiąt, może osiemdziesiąt metrów. To musiało wystarczyć do testu. Wybrał odległą brzozę, dzięki barwie pnia stosunkowo dobrze oddzielającą się od reszty, drzew. Przyłożył pantograf do oczu. Manipulując śrubami przy przegubach, powoli zsuwał ramiona dwóch deszczulek z jednego końca urządzenia, tak by objęły brzozę od ziemi po czubek, ledwie zresztą wyróżniający się pomiędzy koronami sąsiednich drzew. Jak zwykle przy tej okazji zsuwające się niczym nożyczki listewki przycięły mu kciuk, jak zwykle zaklął i przyrzekł sobie, że następnym razem będzie bardziej uważał. W końcu uchwycił brzozę.

- *Ahe!* - potwierdził w języku elfów, łapiąc obiekt. Tak jakby nacisnął spust migawki aparatu fotograficznego. Dokręcił śruby, unieruchamiając ramiona pantografu. Zsunął się z kurtki i wbił w ziemię statyw. Wezwał obraz. Nanokadabrowa optyka zamigotała, rozjarzając się wielobarwnym światłem przepływającym pomiędzy tulejami.

Po chwili pomiędzy mniejszymi ramionami urządzenia pojawił się obraz brzozy. Trójwymiarowa, podobna do holograficznej projekcja miała jakieś dziesięć centymetrów wysokości i odwzorowywała kształt drzewa w fioletowo-czarnym kolorze. Cień obiektu. Sylwetka.

- I co pan na to, monsieur de Silhouette? - szepnął, wyjmując z jesionowego pudełka mithrilową szpilkę. Miała trzy centymetry długości i łepkę z szorstkiego plastiku, żeby wygodniej ją było trzymać. Gdyby ktoś obejrzał ją pod mikroskopem elektronowym dającym miliardowe powiększenia, zobaczyłby wydłubane w powierzchni elfie runy o wielkości kilku nanometrów, tak potężne, że w skali makro wykorzystywano je tylko w zupełnie wyjątkowych okolicznościach. Na

przykład do zatapiania kontynentów.

Usiadł, rozkraczając nogi, by mieć sylwetkę brzozy pomiędzy kolanami i jednocześnie móc obserwować prawdziwe drzewo. Uważnie zbliżył ostrze igły do projekcji, przeciągnął po wirtualnym pniu, starając się nie zagłębiać zbyt mocno.

Niczego nie usłyszał, bo brzoza rosła za daleko, ale nawet z tej odległości zobaczył, że jej kora czernieje i że na biało-szarym pniu pojawia się ciemna smuga, jakby ślad płomienistego miecza tnącego ciało drzewa.

Przeciągnął igłą po jednej z gałęzi sylwetki. Niemal jednocześnie konar prawdziwego drzewa oderwał się od pnia, poleciał w dół, gnąc i obłamując przy tym niżej rosnące gałązki.

Pantograf działał i był dobrze zsynchronizowany.

Jednocześnie Kajetan poczuł żal. Zranił drzewo. Rosło tu piękne i spokojne, a on przyszedł z obcą magią, poharał jego trzewia, poodłamywał ramiona gałęzi. Nie jest dobrym człowiekiem i służy złym ludziom, którzy każą mu niszczyć piękno i naturalny rytm przyrody. Zły...

- Stop, cholera, stop! - Zagryzł wargi niemal do krwi. Ból przywołał spokojne myślenie, pozwolił wrócić do działania. Wiedział, że to tylko jegrowski trebusz wciąż promieniuje depresją, i rozumiał, że musi działać szybko, bo w końcu może ulec mocy barlogów.

Wstał, odruchowo sprawdzając, czy nie wygniótł tyłkiem zbyt dużo mchu. Pięknego zielonego mchu...

- Stop! - syknął. Znów musiał się wesprzeć mantrą.

Oddychaj. Uspokój się. Pomasuj skronie. Wymrucz psychologiczne formuły wzmacniające dobry nastrój. Mech nie jest najważniejszy. I nawet ta brzoza. Uspokój się. Działaj.

Działał.

Zapakował niepotrzebne rzeczy do plecaka; który zostawił pod sosnami bliźniaczkami. Odbezpieczył broń i ruszył ku szczytowi wzgórza, za którym chronił się do tej pory. Potem przez kwadrans wędrował wzdłuż brzegu lasu, wciąż jednak kryjąc się za zasłoną drzew. Wreszcie znalazł dogodny miejsce do ataku. Za pomocą pantografu mógł zablokować systemy obronne obozowiska czy zniszczyć jakieś jego elementy, ale żeby całkowicie oczyścić ten teren, musiał zaatakować sam.

Czuł wyraźnie, że zbliża się do obozu jegrów i ich maszyny. Nagle zaczęły go boleć oczy. Tak naprawdę to sygnał, że boli mózg. Że fale depresji wzbudzone w jego mózgu przez trebusz, samobójców i magia optymizmu, którą sam sobie nieprzerwanie wstrzykiwał, walczą o myśli i uczucia. Że w ciągu ułamków sekundy fragmenty umysłu zapadają w otchłań rozpacz i zaraz na powrót są wynoszone ku skrajom radosnej euforii, jakby oddychał czystym tlenem.

Lecz jednocześnie jego świadomość, to „ja” kierujące ciałem, wykonujące zadanie, rozważające okoliczności pozostawało w stanie stabilnego, umiarkowanego podniecenia, właściwego chwili przed akcją.

Działał.

Tylko te oczy dające znać, że za dnem siatkówki, tam gdzie docierają kable nerwów

wzrokowych, w głębi czaszki, szaleje schizofrenia, odmierzająca ataki depresji i radości w rytmie nie dni czy tygodni, a w takcie milisekund.

Działał.

Znalazł miejsce odległe od bazy jegrów o półtora kilometra. Wymierzył dystans lornetką. Dokładnie tysiąc trzysta osiemdziesiąt metrów. Teraz musiał ustawić pantograf na obóz, tak jak zrobił to wcześniej z brzozą. Tyle że uchwycenie jednego drzewa to proste zadanie, które wykona nawet zupełnie niemagiczny człowiek, o ile zostanie dobrze wyszkolony.

Przed Kajetanem stało wyzwanie wielokroć trudniejsze. Musiał zbudować sylwetkę całego terenu bazy, w tym ruchomej maszyny i obiektów chronionych magią. Uwzględnić zakłócenia powodowane przez żywe istoty, i to na dodatek przez jegrów, którzy prują magiczne continuum, siejąc wokół siebie fagi. Ustawić ramiona pantografu, znajdując taką perspektywę, by objąć także baraki i maszty po odleglejszej stronie obozu.

To wyzwanie godne elfich mistrzów.

Pierwsze próby nie udały się. Ciągłe coś się wymykało. Jak zrolowany śpiwór upychany w zbyt ciasnym worku. Wsadzasz jedną część, to wyłazi druga, śpiwór rozkręca się, fałduje, stawia coraz większy opór. Kajetana nic nigdy bardziej nie irytowało jak zwijanie śpiwora. Koszmar wędrowca.

Przecież musiał się spieszyć. Co prawda chroniło go światło słońca, woda w pniach drzew, ochronne pole, a jegrzy zajęci byli swoją robotą. Ale przecież bez wątpienia zabezpieczyli obozowisko, wysyłając patrolowe spelle lub zwierzęta. Mogli namierzyć intruza. Musiał zaryzykować.

Szybkimi, powtarzanymi po wielekroć na ćwiczeniach ruchami złożył z przeczarowanej kartki szpiegowski samolocik. Na koniec poślinił papier, który zaczął blednąć, a po chwili stał się przezroczysty jak folia. Pchnął go w trasę wokół obozu jegrów. Niewidzialny widusłych pomknął w dół, nie dając się jednak unosić ruchom powietrza, a jedynie myślorozkazom. Co prawda zwiadowca musiał lecieć w sporej odległości od trebusza, tak by nie dać się pochwycić kłątjom ochronnym, ale przesyłane wprost do mózgu Kajetana obrazy pozwalały lepiej poznać całość obozowiska.

Soczewki pantografu wreszcie rozjarzyły się, a przed Kajetanem wyświetliła się atramentowa miniatura bazy. Pięciokąt macic, maszty, liny, gradienty sił, których nie dostrzegł przy bezpośrednich oględzinach bazy. Obraz samych jegrów nie był przenoszony, ale koło miniaturowego trebusza obracało się powoli, zgodnie z rytmem pracy oryginału.

Z jesionowego pudełka Kajetan wyciągnął trzy pokryte nanorunami obrączki. Mikroskopijne napisy zawierały bojowe formuły i kod magicznej aury geografa. Nie mógł ich używać nikt oprócz właściciela. Delikatnie, ostrożnie, jakby był modelarzem uzupełniającym swą makietkę o najważniejszy, ale miniaturowy element, Kajetan spróbował nałożyć obrączki na sylwetki masztów pola ochronnego. Nie mógł popełnić błędu. Jeśli pierścień spadnie na maszt, prawdziwa konstrukcja zostanie po prostu rozwalona. Oczywiście przestanie działać, ale też natychmiast zaalarmuje jegrów.

W końcu wsadził te pierścienie na kopie trzech najbliższych masztów, neutralizując moc wykrywania jego osoby. Pole ochronne bazy działało więc nadal, nie alertując Czarnych. Tylko że on, Kajetan, pozostawał dla niego niewidoczny.

I o to chodziło.

Ruszył ku obozowisku. Nisko pochylony, przemykał od drzewa do kępy krzaków, od zwałonego murku do porośniętej trawą kupy gruzu. Jęgrzy zbudowali swoją bazę na trupie miasta. Teraz resztki jego szkieletu miały pomóc człowiekowi.

Kajetan podziękował mieszkańcom miasta, których przed laty pochłonęła zagłada. Nawet udało mu się zmówić krótką modlitwę za ich dusze.

Dotarł na odległość stu kroków od pierwszego słupa strażniczego, teraz zneutralizowanego. Wystarczy. Chyba.

Ściągnął z pleców markebus, załadował dwoma pociskami. Przyklęknął, przyłożył kolbę do ramienia, moszcząc dla niej gniazdo we własnym ciele. Czule pogładził lufę.

Znów ogarnął go smutek, znów przed oczami migają mu twarze, których nie chciałby teraz widzieć, i znów poczuł na policzkach łzy. Miał wszak zniszczyć taką piękną konstrukcję, wytwór cudownej techniki, maszynę, której postawienie wymagało tak wiele wysiłku. To smutne, naprawdę, bardzo, naprawdę, bardzo, bardzo...

- Ojciec! - powiedział, krzyknął prawie. - Tata! Robert!

Uciekł od niego, może nawet zdradził, ale tu, teraz, jak zwykle w takich sytuacjach, mógł przypomnieć sobie jego twarz, ostrożny, jakby zawsze lekko niepewny głos. Nawet zapach.

- Ojciec! - powtórzył i to na powrót go uspokoiło.

Dziękuję, Robert. Dziękuję.

Przymierzył i nacisnął spust. Uwolnił moc.

Z lufy markebusa wytrysnęła białoczarne struga, która po chwili zaczęła formować się w kształt ptaka. Do dziś wielu nie rozumie, po co nanokadabrowa magia szuka kształtów i zużywa się na budowę form zwierzęcych czy symbolicznych? Czemu jegier umiera, gdy dotknie krucyfiksu? Dlaczego nie przekroczy muru, na którym wymalowano powstańczą kotwicę? I traci siły, gdy wchodzi do budynku oznaczonego czerwonym krzyżem?

To proste.

Moc jest jak woda. Buduje bądź burzy, rzeźbi lub przełamuje, daje życie albo zabija. Woda potrzebuje kształtu - koryta rzeki, szklanej flaszki, cembrowiny studni - by istnieć jako życiodajna energia lub śmiertelny żywioł. Kształt nadaje jej funkcję, dookreśla ją ostatecznie, sprawia, że jest nosicielką nadziei bądź strachu. Tak i magia potrzebuje skorupy wyobrażenia, w którą wlewa się jak plastik w fabryczną formę. Opakowaniem może być obraz, słowo, znak, melodia albo ułożenie ludzkiego ciała. I tysiąc innych rzeczy, nazw, symboli.

Systemy obronne jęgrów wciąż milczały.

Czarno-biały kształt formował się coraz wyraźniej, błysnęła w nim też czerwień. Potężniał ponad rozmiary swego pierwowzoru. Powietrze wokół migotało od nanokadabr. Wreszcie ptak stężał

ostatecznie. Dopiero kiedy lewym skrzydłem zdematerializował maszt ochronny, słudzy barlogów zorientowali się, że zostali zaatakowani.

Kajetan podniósł się zza zasłony i zaczął ostrzeliwać obóz, a potężny bojowy bocian mknął wprost ku trebuszowi wrogów.

Kajetan wciąż był smutny.

Jegrów nie wolno się bać. Czerpią siłę ze strachu przeciwników. Przed jegrami nie należy uciekać. Są mistrzami pościgu za słabszą ofiarą. Nikt mądry nie poddaje się jegrom, bo to oznacza straszną śmierć. Naprzeciw Czarnych trzeba stawać dzielnie, wspierać towarzyszy, pamiętać, o co się walczy. Wtedy jest łatwiej, wzrasta moc egid, a pociski stają się celniejsze.

Starał się więc myśleć pozytywnie. Wspomnił słowa Roberta.

„Nie walczymy z barlogami jako emisariusze dobra. Przecież nie jesteśmy jakoś szczególnie dobrzy. Grzeszymy, błądzimy, szukamy. Ale oni na pewno są źli. Więc walczymy z nimi jako emisariusze normalności. Obrońcy ludzi, którzy po prostu pragną żyć w pokoju. Chcą pracować, chować dzieci, robić zawodowe kariery, całymi dniami oglądać telewizję albo pisać naiwne wiersze. Jak ci nasi przodkowie, którzy stawali naprzeciw Lenina czy Hitlera. Przecież nie byli aniołami ani ich Polska nie była rajem. Lecz to nie znaczy, że zasłużyli na piekło, które im zgotowano. Tak jak nam. Więc walczymy, bo nie mamy innego wyboru. Pamiętaj o tym, gdy bijesz się z jegrami. To dodaje sił”.

Wciąż czekał z wystrzeleniem drugiego bociana. Musiał oszczędzać naboje, bo nie wiedział, kiedy zdoła uzupełnić ładownice. Na szczęście na razie nie musiał, pierwszy pocisk niepowstrzymanie sunął przez obóz, dezintegrując dwóch Czarnych, którzy niebacznie znaleźli się w cieniu jego skrzydeł.

Pozostali już otrząsnęli się z zaskoczenia. Nie mieli czasu, by nałożyć bojowe zbroje, ale sprawnie ułożyli ciała w wojenne figury. Każdy inaczej, zgodnie z wewnętrznym rytmem synchronizującym. Zamarli w bezruchu, ich sylwetki zamigotały, zadrżały, rozdławiając się i rezonując. Obok jegrów zaczęły formować się kształty zmór. Fagowe stwory, zrazu przypominające zgęstki dymu, potem tężały w galaretowatą substancję, by ostatecznie nabrać ciała i barw. Zmory klanu inżynieryjnego zazwyczaj przyjmują format oktocentaury - niby-konia na krótkich nogach, z którego szyi miast głowy wyrasta otoczona ośmioma wijącymi się mackami gardziel.

Zmory ruszyły w kierunku Kajetana. Nie stanowiły śmiertelnego zagrożenia, o czym zapewne ich stwórcy doskonale wiedzieli, ale miały zmęczyć człowieka i dać jegrom czas na przygotowanie kontrataku.

Kajetan wciąż wykrzykiwał egzorcyzmy. Kule tryskały z lufy peemu jasną linią, niczym woda pod dużym ciśnieniem z gumowego szlauchu, jak chybotliwie giętki promień lasera. Za plecami formował własne enpisy bojowe, czuł już ich nanokadabrowe mrowienie na karku. Pierwsza pojawia się czarna pantera, potem tygrys, wreszcie lew. Ojciec nazwał je kiedyś Bagheera, Khan i Mufasa. Wspierający wojownicy, czaromaty z osnowy Planu Ziemi przetworzonej przez magię

elfów.

Koty sunęły w powietrzu, poruszając łapami, jakby biegły, choć tak naprawdę nie dotykały ziemi. Nie mruczały ani nie ryczały. Mięśnie pod ich fantomową skórą napinały się w sprężynowym ruchu prawdziwych kotów. Grzywa Mufasy płonęła. Z oczu Bagheery strzelał strumień białego światła przepalający zmyry. Khan jednym kłapnięciem paszczy rozgryzł na miazgę głowę jegra, który stanął na jego drodze.

Kajetan chciał swojego lwa nazwać Asian, ale Robert powiedział: „Mufasa”. Przystał na to, wtedy jeszcze słuchał tego, co mówi przybrany ojciec.

Koty właśnie włączały się do walki, gdy sam obóz Czarnych wyprowadził kontratak z dwóch wciąż działających masztów ochronnych, których sylwetek Kajetan nie zneutralizował wcześniej pierścieniami.

Poczuł ból paraliżujący lewą rękę. Przebiegł w prawo, kryjąc się za Khanem. Promień wież trafił w ciało kota, zasyczały wypalane egidy, czaromąt zaczął się kurczyć i zniekształcać, jakby był figurką z plastiku wsadzoną do mikrofalówki. Zginał, cały czas jednak zajmując taką pozycję względem wież, by osłaniać swego pana. Ból minął.

Przed Kajetanem stanął jegier. Wróg. Przeciwnik. Nieszczęsna ofiara barlogów.

Kiedy walczysz z Czarnymi, musisz się nad nimi litować. To trudne, naprawdę, ale wzmacnia. O ile zdołasz się przełamać, widząc przed sobą maskę jegra, a w jej wizurze - wtopionego w oko symbiotycznego robaka. Jeśli choć przez moment pomyślisz o człowieku, którym kiedyś był. O dziecku, zaledwie dwuletnim, odbieranym rodzicom, których zawsze zabijano. Na pewno nie urodzonym w roku przestępnym i nie wtedy, gdy Mars jest w koniunkcji z Jowiszem, i nie w czasie wiosennych lub jesiennych przesileń. Takie dzieci się nie nadawały, nie wiadomo zresztą dlaczego. Po prostu nie.

Dziecko, któremu implantowano robaka, musiało mieć dokładnie siedemset dwadzieścia dziewięć dni, trzy do potęgi szóstej. Ponoć barlogi twierdziły, że ludzkość od zarania dziejów źle oblicza długość słonecznego roku. Że trwa on tak naprawdę trzysta sześćdziesiąt cztery i pół doby, a porywane dzieci mają dokładnie dwa ziemskie lata. I że to w szczególny sposób poddaje je poniżeniu i cierpieniu. Dlaczego? Po prostu tak.

Każdy jegier był kiedyś takim dzieckiem, nim stał się janczarem Czarnych.

Warto wspomnieć o tym, gdy stajesz naprzeciw niego. Przez chwilę pomyśl o tych wszystkich strasznych procedurach, które zmieniają ludzkie sieroty w bezwzględnie posłusznych żołnierzy barlogów. O bólu, który jest im zadawany, o próbach, które muszą przetrwać, by przeżyć, o rytuałach, w jakich uczestniczą. Ulituj się. Teraz. Przed pierwszym ciosem. W trakcie walki to i tak nie ma żadnego znaczenia.

Jegra okrywał szczelny strój, niczym gumowy kombinezon nurka, opięty tak ściśle, jakby był zrośnięty ze skórą. Rysowało się pod nim szczupłe, żyłaste, ale mocno umięśnione ciało, zniekształcone guzami i naroślami. Po ich wielkości i liczbie można było poznać wiek Czarnych, tak jak wprawny dendrolog ocenia wiek drzewa na podstawie pokrywających je hub i mchu, bez

konieczności cięcia pnia i liczenia słoików.

Kajetan był drzewoznawcą jegrów, umiał precyzyjnie oszacować ich wiek. Ten miał trzydzieści lat, dokładnie tyle co sam geograf.

Po powierzchni kombinezonu przepływały smugi jeszcze gęstszej czerni, jakby cienie chmur. Pozornie chaotyczne, tak naprawdę układały się w symbole ataku najsilniejszych klątw bojowych - komy, trądu, jasona.

Na piersi jegra wykwiłało kilka kępek kolorowych włókien, małych ukwiałów nieustająco poruszających ramionami. To elektrody fagowe, non stop wysyłające i odbierające drgania magicznych pól, sterujące zmorami i samymi jegrami.

Czarny zaatakował, jego pałasz przeciął ochronne egidy otaczające człowieka.

Koniec litości. Koniec żalu. Walka.

Kajetan przerzucił peem do lewej dłoni, wciąż strzelał, ale struga kul rozprysnęła się na zbroi jegra. Sięgnął za plecy po miecz. Wykrzyknął zaklęcie, aby pochwa wypuściła ostrze.

Zwykłe pochwy chronią oręż przed zewnętrznym światem, przed brudem i wilgocią, rdzą i szczerbami. Ta pochwa z jesionowych łupek, z mithrilową szyjką i trzewikiem pokrytymi nanorunami wyłobionymi przez najlepszych elfich snycerzy chroni świat przed mieczem Kajetana.

Miecz nazywał się Kiel i miał trzy tysiące lat. Pochodził z Planu, który elfy nazywają Garottą i do którego boją się chodzić. Kajetan Kłobudzki zajrzał za jego próg i umknął, unosząc to ostrze. Tę historię też warto kiedyś opowiedzieć.

Nie teraz.

Kajetan odbił uderzenie tak, że pałasz jegra rozprysnął się jak sopel kryształu trącony żelazem. Wbił ostrze w maskę Czarnego. Poczł smród. Usłyszał płacz dwuletniego dziecka. Zobaczył szarą limfę.

Znów zabolalo, to wieże wartownicze ponownie przebiły egidy. Jasonowy cios wszedł w ciało geografa jak maczeta i rozrąbałby je na pół, gdyby nie czaromaty ochronne Kajetana. W porę zmieniły częstotliwość osnowy świata i na krótki moment Plan barlogów i Ziemi stały się światami równoległymi, przenikającymi się, ale niemogącymi ze sobą reagować. Mufasa rozszarpał jegra i po ułamku sekundy Kajetan wrócił. Ruszył ku kolejnemu przeciwnikowi. Skoczył w bok, gwałtownie przykucnął, naprowadzając Czarnego na linię wiązki z masztu. Jegier zaskowytał, gdy musnął go promień własnego systemu obronnego, a potem zwinął się i szezł jak palony w ognisku kawałek papieru.

Czy czuł, że płonie? Czy jegrzy cierpią? Czy ból dotyka kogoś, w kim na co dzień smak cudzej męki płynie niczym krew w żyłach człowieka, dając siłę i życiową energię? Kajetan nie wiedział. Ale widział, jak ciało jegra dygocze, jak wokół jego pleców parują fagi, jak maska pokrywa się siecią pęknięć, a potem rozpryskuje na dziesiątki kawałków. Jeden fragment upadł tuż obok i geograf dostrzegł poszarpany strzęp ciała przyrośnięty do zasłony od wewnątrz.

Mufasa skoczył przed Kajetana, grzywa lwa wybuchła jaskrawym płomieniem, łeb zmienił się w kulę białego ognia, który wypalił na ziemi szczątki i jegra, i jego robaka.

Poszukał wzrokiem kolejnego wroga, ale w tym momencie światem wstrząsnęła eksplozja. To bojowy bocian uderzył w trebusz jegrów z całym impetem swej nanokadabrowej konstrukcji. Kajetan przypadł do ziemi, Mufasa i Bagheera przykryły go ciałami, wchłonęły. Znalazł się we wnętrzu swoich enpisów, dobrowolnie połknięty za życia, chroniony ich fantomowymi trzewiami i skórą jak przeciwogniowym kombinezonem.

Trebusz wybuchł, a w zasadzie - rozchlapał się. Bociani pocisk zniszczył jego strukturę, roztopił, nadając jegierskiej konstrukcji konsystencję cieczy. Atramentowa fontanna bluznęła na wszystkie strony, a jej krople, wciąż przesycone magią, zdewastowały inne obiekty w bazie. Upadały maszty ochronne, waliły się baraki macic i działające jeszcze jegierskie zmary.

Zuch bociek! - pomyślał Kajetan, bo kiedy walczy się z jegrami, dobrze jest docenić to, co się udało, i tych, którzy byli dzielni.

Poczuł, jak koty zsuwają się z niego. Też ucierpiały od wybuchu. Mufasa kulał, Bagheera lizała wypalony prawy bok. Lecz ruszyły bezgłośnie i dzielnie, by do końca oczyścić teren. I Kajetan podniósł się, wysuwając przed siebie ostrze. Kieł.

Ostatnie oktocentaury wiły się na ziemi, gasnąc i rozpuszczając. Ich panowie nie żyli, więc zabrakło umysłów podtrzymujących istnienie zmor i wlewających w nie zdolność do samodzielnego działania. Gdyby zginął Kajetan, zniknęłyby i jego koty.

Nie musiał już walczyć, nie miał z kim. I czuł się lepiej. Smutek zniknął. Nie miał wyrzutów sumienia. Wykonał kawał dobrej roboty. Zlikwidował groźną bazę, zabił kilku jegrów. Zapewne ocalił wielu ludzi.

Każdy jegier był kiedyś dzieckiem. Ale już nie jest. Tak, to okrutne, lecz nie ma innego wyjścia.

Musimy ich zabijać po to, by móc normalnie żyć.

Świat wokół uspokajał się. Kajetan zaczął zwalniać czary bojowe. Dwa koty skurczyły się i zniknęły, roztopione w powietrzu jak mglista fatamorgana. Kieł się nasycił - dostał krew, może wracać do pochwy, w ciepło i wilgoć najtajniejszych kunsztów. Jesion na trzaski obrabiały kobiety elfów przez dwa lata w milczeniu, według tajemnych procedur przywiezionych z zaświatów. Nanoruny na mithrilu więziły potężne czary.

Kajetanowi oferowano wiele za miecz. Jeszcze więcej dawano za Klucz Przejścia. Płacono majątek za czar uaktywniający trzy koty. Ludzie i elfy. Ojciec, były komandos, Robert Gralewski, człowiek. I Bolesław Arr'Rith, król Polski, elf.

Kajetan odmówił im obu. I wielu innym też.

Kilkakrotnie obszedł teren bazy, sprawdzając, czy nie ocalały jakieś działające elementy infrastruktury i czy nie przetrwał żaden symbiotyczny robak. Te pasożyty, swoiste aksony dominującego barloga, czyniły z jegra jedynie wyspecjalizowane organellum Gehenny. Mogły przetrwać bez nosiciela, zaatakować inną istotę, choćby zwierzę, i wrócić do swojego pana.

Kiedy geograf przekonał się, że wszystko jest w porządku, skierował się do swojego obozu na wzniesieniu. Musiał się spakować i jak najszybciej oddalić od tego miejsca. Na pewno pojawią się tu podjazdy jegierskie i ludzkie, a Kajetan nie szukał ani walki, ani kontaktu z polskim wojskiem.

Jeszcze przed zmrokiem ruszył ku zachodzącemu słońcu. Elfy lubią oglądać westerny i zalecają to żołnierzom Rzeczypospolitej.

*

Pałace Kultury i Nauki liczyły teraz 230 metrów nie tylko w górę, więc najpierw długo jechali windą. Robert w milczeniu obserwował towarzyszących mu elfów. Sprawa rzeczywiście musiała być najwyższej wagi, skoro do opieki nad nim skierowano ich, a nie ludzkich strażników. Zazwyczaj nie wypełniali tak podrzędnych funkcji - byli potrzebni na polu walki, przy obsłudze machin magicznych, szkoleniu ludzi, ochronie najważniejszych obiektów i postaci w państwie.

Właśnie ta uprzywilejowana pozycja elfów stanowiła jeden z głównych argumentów propagandowych podnoszonych przez przeciwników Królestwa - uciekających się do terroru starokatolików i narodowych anarchistów, a także działających legalnie partii opozycyjnych, Polskiej Partii Socjalistycznej i Międzynarodowej Demokracji. Przyznać trzeba - wzbudzała też czasem zastrzeżenia zwykłych ludzi w pełni wspierających porządek prawny państwa. Elfy stanowiły znaczący procent wyższej kadry oficerskiej i armii, objęły komendę nad kluczowymi twierdzami pogranicznymi, miały szczególnie silne wpływy w służbach szpiegowskich i kontrwywiadzie, a także w dyplomacji. No i oczywiście - królem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej był elf.

Przybysze z innego Planu mieli swoje tajemnice, podejrzewano, że nie dzielą się z ludźmi pełnią swej wiedzy, że realizują swoje własne cele i projekty. Starokatolicy uważali wręcz, że wszystkie wydarzenia, których doświadczył świat, były konsekwencją spisku elfów, że to one same nasłały na Ziemię barlogi, by potem - jako wybawiciele - zawładnąć Europą. „Bratnia pomoc - znamy to!”, mówiły ich plakaty i ulotki nielegalnie dystrybuowane na mieście. Wielką popularnością cieszyły się wznowienia powieści „Wyjście z cienia” dwudziestowiecznego pisarza Janusza Zajdla.

Robert rozważał kiedyś te kwestie poważnie, był czas, gdy sam wątpił, potem musiał znieść bunt Kajetana. Ale wraz z upływem lat służby niepewność gasła jak stygnący powoli drut żarnika. Zbyt wielu widział elfów zabitych w walce u boku Polaków, w czasie niesienia pomocy innym krajom, w samobójczych rajdach mających powstrzymać największe ataki czarnej mocy, by ludzie mogli zreorganizować formacje obronne lub ewakuować cywilów. Pamiętał o Hadadrianie, który umarł, by ocalić życie i jemu, i Kajetanowi. Uczestniczył w zbyt wielu pogrzebowych ceremoniach, w czasie których elfy opłakiwały swych braci i synów. Widział twarz króla, gdy - na oczach kamer - przyniesiono mu wiadomość o śmierci młodszego syna, Kazimierza. To był kluczowy moment, w którym większość Polaków uwierzyła elfom. Ludzie zrozumieli, że jeśli odrzucą pakt - podważą dobre intencje i uwierzą w spisek - Polska zamieni się w jeden wielki obóz koncentracyjny, jakim stało się pół Europy.

Ameryka i Australia poparły ten sojusz i rozpoczęły z przybyszami współpracę militarną i technologiczną. Japonia, nim zniknęła zalana oceanem, wspólnie ze Wschodnią Armią elfów stawiała czoła potężnej inwazji, niszcząc wielkie siły barlogów. Polska i ocalałe z pogromu kraje Europy Środkowej i Wschodniej nie miały wyboru, musiały przyjąć warunki oferowane przez elfy,

wcale przecież nie tak ciężkie. A potem nastąpiły dziesięciolecia wspólnej walki, krwi przelanej na swojej i obcej ziemi, władzy sprawowanej mądrze i sprawiedliwie. Poznaliśmy straszny los ludów, do których elfy nie przyszły. Jan XXIV, nim papież zeszli do katakumb, by trwać na ogarniętym przez chaos Półwyspie Apenińskim, namaścił pierwszych elfich duchownych. Niedługo potem arcybiskup gnieźnieński ochrzcił i koronował ich władcę, który przyjął imię Bolesława. Sojusz umacniał się, a kolejne pokolenie traktowało go już jako trwały element rzeczywistości.

Na dodatek elfów zawsze było za mało. Brakowało ich do obsadzenia wszystkich stanic, do wzmocnienia oddziałów wojskowych, w fabrykach produkujących eteralne maszyny, na uniwersytetach, gdzie uczyli magii i wiedzy o innych Planach.

Dlatego fakt, że aż dwóch elfów towarzyszyło mu jako eskorta w windzie, Robert uznał za dziwny. Nie znał ich, ale rozpoznawał dystynkcje na mundurach i po nich też mógł oszacować wiek. Chorąży z Królewskiej Kompanii Ochrony miał pewnie ze czterdzieści lat. Przeciętne magiczne zmysły Roberta - dysponował czaroczułością mniejszą niż dziewięć w skali Simtha-Koji-Ulianowa - nie wyczuwały żadnych emanacji. Nie sądził jednak, że wynika to z jego indywidualnych ograniczeń. Elf służący jako przyboczny króla na pewno władał wielkimi mocami, jednocześnie musiał umieć je doskonale maskować, bo w otoczeniu władcy przebywało zawsze wielu potężnych magów. Takie stężenie nanokadabr mogło prowadzić do katastrofy, nawet naruszenia osnowy Planu Ziemi, zbudowanego wszak wedle zupełnie innych niż naturalne środowisko elfów praw fizykalnych. Więc strażnik izolował się doskonale. Potężne czaromaty bojowe, które mógł wywołać jednym mrugnięciem powieki czy szeptem, spały zmrożone w jego umyśle. Czuwały w rytualnych splotach długich włosów, odznakach przypiętych do munduru, zawitych i widocznych w pełni dopiero pod mikroskopem wzorach wymalowanych na paznokciach.

Elf, odgadując myśli Roberta, spojrział na niego jasnymi oczami, o tęczęwkach barwy świeżej trawy. Migotały w nich żółte i czerwone cętki, układające się w kolejne wzory mocy. Twarz elfa, wąska, kształtna, otoczona puklami rudych włosów, wydała się Robertowi znajoma.

- Tak, ma pan rację, panie pułkowniku - powiedział elf zbyt wysokim głosem. Słowa wymawiał z dobrym akcentem, miał tylko kłopot z głoską „ł”, wypowiedaną bardziej jako „l”. - Zna pan mojego brata, Kavara z Człuchowa.

- Rzeczywiście, chorąży. - Robert uśmiechnął się. - Miałem przyjemność go poznać i zaszczyt walczyć u jego boku.

- Brat mówił mi o panu, panie pułkowniku, z wielkim szacunkiem. - Elfy nie kłamią i nie plotą byle czego wyłącznie dla podtrzymania rozmowy. Skoro przyboczny króla uznał za stosowne przytoczyć słowa Kavara, musiały one paść, i to odpowiednio zaakcentowane. Wspominając o nich, elf dawał Robertowi do zrozumienia, że żywi do niego szacunek, a konieczność eskortowania zwykłego pułkownika windą, więc oddalenia się od Tronu dla tak błahej z pozoru czynności, nie stanowi dla niego żadnego problemu.

- Bardzo uprzejmie z jego strony. To była niezwykła bitwa, wielkie zwycięstwo. Udało mi się wesprzeć działania jego oddziału, ale nie ja byłem kluczowym uczestnikiem tej operacji, lecz mój

syn.

- To również przekazał mi brat - odrzekł przyboczny, a chwilę potem winda zatrzymała się. Drugi elf szurnął nogami, lekko odsuwając się od drzwi, tak by grzecznie dać Robertowi do zrozumienia, że powinien skończyć rozmowę i wyjść. Chorąży nie drgnął nawet, najwyraźniej jego zadanie skończyło się, gdy winda przecięła poziomy ochronne podpałacowych bunkrów. Teraz chroniły ich dziesiątki metrów ziemi, betonu i mithrilowych płyt wykutych w katowickich hutach, a także najsilniejsze egidy magii na planecie.

- Proszę przekazać mu ode mnie wyrazy uszanowania, chorąży - powiedział jeszcze Robert, skłonił głowę i wyszedł z windy.

- Witam na poziomie Turina, pułkowniku. Był pan tu już kiedyś? - dopiero teraz odezwał się drugi elf, major wojsk inżynieryjnych, absolwent WAT-u, zapewne specjalista od nanokadabrowej magii i eteralnych machin.

Oficerski stopień sprawiał, że nie musiał się już do Roberta zwracać „panie pułkowniku”.

- Raz, majorze, ale dawno temu. I nie za wiele widziałem, pracowaliśmy wtedy nad systemem łączności w warunkach zamieci fagowej.

- Ach, to fascynujące zagadnienie - powiedział elf, ruszając wąskim korytarzem wyłożonym białobłękitną mozaiką ochronną, której kafelki tworzyły wzory koncentrujące. Tu już Robert wyczuł nanokadabrowe drgania.

- To prawda, wtedy jeszcze szukaliśmy synchronów dla formacji mieszanych.

- Tak, pamiętam, pracowałem i przy tym projekcie. Ciekawe zagadnienie, wciąż jeszcze można ulepszyć nasze rozwiązania, moim zdaniem. - Major zatrzymał się przy małych drzwiach. Robert zwrócił uwagę na jego profil: bardzo rzadki u przybyszy orli nos. Naukowiec był też dość niski jak na elfa, miał może metr osiemdziesiąt wzrostu. Włosy zgodnie z obyczajem inżynierów eteru zwinął w kok z tyłu głowy, a do pasa, niezbyt chyba regulaminowo, przypiął czarną kaburę, z której wystawał kalkulator. Na policzku zaś nosił mały fanowski tatuaż ulubionego klubu piłkarskiego, Pogoni Lwów, właśnie idącego po trzecie z rzędu zwycięstwo w lidze.

Oto i elfi ekscentryk w pełnej krasie, pomyślał Robert, wyciągając dłoń.

- Nie przedstawiono nas sobie, pułkownik Gralewski.

- Ach tak, rzeczywiście - uśmiechnął się inżynier, mrużąc oczy otoczone delikatnymi zmarszczkami i jakby lekko, jak na elfa oczywiście, wylupiaste. - Grendor Majchrzak. Mam też kilka innych nazwisk, ale nie byłoby łatwo je panu wymówić, pułkowniku.

- Bardzo mi miło. - Robert odwzajemnił uścisk. Dłoń elfa była delikatna i sucha, palce tak szczupłe, że dawało się wyczuć stawy. Dwa pierścienie o skomplikowane rzeźbionych kameach mocno wbiły się w skórę mężczyzny. Ale już wiedział, że polubi tego elfa.

Robert próbował wygodnie usadowić się w drewnianym fotelu, ale nie było to łatwe, a to w plecy wbijały mu się co ostrzejsze końcówki płaskorzeźby pokrywającej oparcie, a to w uda wgrzyzał się dziwnie wystający fragment siedziska, a to w czaszkę kłut zagłówek.

- Nie mogliście obłożyć tego jakimiś poduszkami? - mruknął pod nosem, ale elf oczywiście

usłyszał.

- Czego obłożyć?

- No fotela.

- A po co?

- Żeby wygodniej było siedzieć?

- A po co ma być wygodniej? - Grendor Majchrzak na chwilę wstrzymał krzątaninę przy aparaturze, podszedł do fotela, pochylił się, zawisając nad Robertem.

- Nie mam więcej pytań - powiedział szybko człowiek, bo już zaczął żałować, że rozpoczął tę rozmowę. Znał ten typ elfów. Życzliwych, miłych i wykazujących skrajne zainteresowanie meandrami ludzkiej psychiki.

- Nie, nie, to bardzo ciekawe. Dlaczego uważa pan, że fotel powinien być wygodny? - Zaciekawienie w głosie elfa było absolutnie nieudawane.

- Nooo tak, kiedy jest wygodny, to jest przyjemniej siedzieć - zaczął Robert - a jak niewygodny, to nieprzyjemniej. Ta rzeźba na oparciu uciska mi plecy, więc czuję dyskomfort...

- Aha, rozumiem. Ale rzeźbiony fotel jest ładniejszy - powiedział Grendor Majchrzak z tak pełnym przekonaniem, jakby właśnie wyjaśnił Robertowi tajemnicę bytu.

- Ale uwiera w zadek - mruknął Robert, na szczęście elf zajął się już swoimi sprawami, czyli wciskaniem różnokolorowych, podświetlonych guzików, przekręcaniem czarnych ebonitowych gałek, ustawianiem suwaków. Całe to ustrojstwo, wraz z kilkoma płaskimi laptopami, wielkimi sześciennymi pudłami zawierającymi lampowe monitory, zajmowało długą ławę stojącą wzdłuż jednego boku pomieszczenia - sześcianu o krawędzi około 3,14 metra. Jeden z techników powiedział wcześniej Robertowi, że odległość między wykonanymi z mosiężnych płyt ścianami tego pokoju przybliżyła pi do sto czterdziestego czwartego miejsca po przecinku. Po co - tego już nie zdradził. Dające żółty przyćmiony blask halogeny oświetlały fotel zawieszony u sufitu na cienkich drutach. Jego - wedle określenia tego samego technika - „jądro przesyłowe” znajdowało się dokładnie w centrum sześcianu. Robert siedział więc, dyndając nogami w powietrzu, i tym trudniej było mu zająć wygodną pozycję, bo nie mógł przenieść ciężaru ciała na stopy.

Światło halogenów metalicznie pełgało po mosiężnych ścianach, pulsujące kontrolki i monitory nakładały na nie własne barwy, tak że Robert czuł, jakby znalazł się we wnętrzu wielkiej sześciennej bombki choinkowej.

Drugą ścianę pomieszczenia zajmowała elfia maszyna. Stał tam aparat przypominający stary gramofon - na masywnej podstawie wirowała gruba tarcza, przesuwała się nad nią kilka ramion, być może zapisujących, a może zbierających informacje. Z pudła wyrastała też rozszerzająca się tuba, która potem znów zwężała się do wąskiej rurki, zakręcała, zaplatała w kondensatory i trafa mocy, rozwidlała, jednym ramieniem wpełzała pod fotel, innym wrastała w ścianę, z innego tworzyła rzeźbę, jakby szkielet nieznanego niby-zaura.

Robert nie wiedział, do czego służy elfi gramofon, ale rozpoznawał dwa inne stojące obok urządzenia. Była tam eteralna siłownia, nanokadabrowa zwojnica, kondensująca moc, zanurzona

naraz w kilku Planach i pompująca energię dzięki różnicy ich czarodziejskich potencjałów. Izolowane miedzią pomieszczenie miało więc zapewniony dopływ niemalże nieograniczonej energii. Obok stał profiler, zwany też synchronizatorem ascendentów. Tak naprawdę maszyna nie miała nic wspólnego ani z budowaniem charakterystyk ludzi, ani z mocą Horoskopu. Urządzenie najbardziej przypominało mumię, którą owinięto nie bandażem, a drutem kolczastym. Robert niejednokrotnie korzystał z niego w przeszłości, łącząc się zdalnie z różnymi ludźmi, choć nigdy jeszcze w takim otoczeniu.

- Musimy zwiększyć moc twojego sygnału, bo nie przedrzemy się do geografa - powiedział Grendor Majchrzak. - Jest za daleko. Skroplimy twoją esencję, ściśniemy do gęstości, jakich nie da się uzyskać na zwykłej stacji nadawczej. Powinieneś się do niego przedrzeć.

Po to był potrzebny właśnie on - Robert. Dalekosiężne eteralne nadajniki korzystające z satelitów mogły skierować strumień informacji do niemal dowolnego punktu na Ziemi kontrolowanego przez ludzi. Jednak teraz sygnał miał pójść w miejsce wcale nie najodleglejsze, ale oddzielone od Warszawy wieloma magicznymi barierami. Tymi samorodnymi, powstałymi z zaburzeń osnowy świata w czasie dawnych wojen. Ale także sztucznymi Kurtynami, stawianymi przez barlogi w Gehennie - czarną zasłoną okrywającą pół kontynentu. Problemem było też, że na transmisje polowali również infożercy, fagowi łowcy przemierzający rozległe przestrzenie. Te konstrukty technologii barlogów aktywnie namierzały i przechwytywały transmisje. Węszyły za strumieniami elfiej magii wlewającymi się do Marchii czy samej Gehenny, tak jak w dawnych czasach sokoły polowały na pocztowe gołębie. Były szczególnie niebezpieczne, bo nie tylko odcinały adresata od wiadomości, ale potrafiły też ją zarejestrować, a czasem nawet rozszyfrować.

Oczywiście Polacy ślali do Gehenny mnóstwo fałszywych komunikatów. Sami mieli też swoje enigmatrony, odpowiedzialne za informacyjną osłonę własnych granic, produkowane w Łabędach w trzech podstawowych typach - „Marian”, „Jerzy”, „Henryk”.

Tak więc zwykły przekaz z orbity mógł mieć - mówiąc po ludzku - kłopot z dotarciem do adresata znajdującego się na terytorium Czarnych, za Kurtynami. Trzeba było dodać mu esencji, mocy człowieka, nałożyć nań harmoniczną częstotliwość, która szczególnie poruszy magię łączności adresata. Zwykle do takich transmisji używano więc umysłu kogoś bliskiego - rodzica, dziecka, ukochanego, w ostateczności dobrego przyjaciela. To umożliwiało wychwycenie celu w szumie milionów istot. Napędzane aurą takiej osoby czaromaty wykrywały odbiorcę niczym samica pingwina swoje piskłę pośród tysięcy ptaków w kolonii. Po drugie, emocje troski i miłości nałożone harmonicznym na przekaz lepiej chroniły dane.

Jeśli nadawca do tego sam był żołnierzem, a tym bardziej zwiadowcą, jego aura dodatkowo wzmacniała sygnał, nadawała mu swoistego sprytu, doświadczenia. Zwiększała szanse na uniknięcie pułapek i dotarcie do celu.

Dlatego to właśnie Roberta wezwano do stolicy z odległego posterunku, dlatego sprawdzono, czy po odejściu Kajetana nie przestał darzyć uczuciem przybranego syna.

- Zaraz zostawię pana samego. Kiedy zgasną reflektory, proszę skoncentrować się na

Kajetanie. Nie musi pan przekazywać mu treści rozkazu, to nadajemy my. Pan musi myśleć o nim. Przypomnieć sobie wspólnie spędzone chwile - elf zawahał się - dobre chwile.

- Czyli jakie?

- Kiedy żaden fotel was nie uwierał. - Grendor Majchrzak uśmiechnął się szeroko. - Kiedy wszystko było okej. Kiedy był panu wdzięczny. Kiedy pana szanował. Kiedy jeszcze pana nie odrzucił.

- Mój syn mnie nie odrzucił. - Robert poczuł nagłe pieczenie w gardle. Opuścił wzrok, odruchowo spojrzął na swoje dłonie, zacisnął palce. - Mój syn uznał, że nie potrafię mu pomóc.

Grendor stanął naprzeciw Roberta i pochylił się. Zielone elfie tęczęwki rozlały się niemal na całe oczy. Drgały w nich srebrne kłaczkę, wirujące wokół źrenic jak gwiazdy wokół galaktycznego jądra.

- Przepraszam, pułkowniku, proszę o wybaczenie - powiedział poważnym głosem. - Nie chciałem cię urazić, nie chciałem sprawić ci przykrości. Nie wychwytyję jeszcze wszystkich niuansów języka polskiego. To trudny język. Niewygodny jak moje krzesło.

- Ale piękny, majorze, bardzo piękny. - Robert kiwnął głową na znak, że przyjmuje przeprosiny. - Dobra, bierzmy się do roboty!

- Zaraz wyjdę z pomieszczenia. Myśl o nim. I nie przejmuj się tym, co zobaczysz. Jeśli poczujesz, że się palisz - to będzie złudzenie. Jeśli zaboli - to będzie ból prawdziwy, ale niegroźny. Jeśli ujrzysz cienie hermesów - nie bój się, to tylko odbicia martwych postaćów. Stworzenia eteru nie mają tu wstępu. Ochroniamy też twoją duszę. Serfuj, pułkowniku.

- Nie robię tego pierwszy raz, majorze.

- Wiem, ale tu użyjemy większych mocy.

- I zapewne nie po raz ostatni.

- Któż to może wiedzieć.

Elf znów zajął się majstrowaniem przy aparaturze, porozumiewał się przy tym ze współpracownikami pracującymi w innych węzłach komunikacyjnej sieci. W pewnym momencie przestał mówić, tylko w skupieniu majdrował gałkami i suwakami. Robert postanowił wykorzystać tę chwilę ciszy.

- W jakiej postaci sygnał dotrze do Kajetana? - spytał.

- Nie potrafię tego powiedzieć, to zależy od lokalnego pola, wpływu fagów i magii zaporowej Czarnych.

- Szept do ucha?

- Nie sądzę. - Grendor Majchrzak zupełnie nie po elfiemu podrapał się po garbatym nosie. - To będzie zdecydowanie coś innego. To jak, pułkowniku, możemy zaczynać?

-Tak.

- Z Bogiem! - powiedział Grendor Majchrzak. I wyszedł.

* Tego, który to wymyślił, posadzę gołą dupą w ulu. Jak wrócę. Tak, teraz mam dodatkowy powód, żeby wrócić szybko. Kajetanie uśmiechnął się i zaraz tego pożałował. Syknął, znów przyłożył do policzka ostrze noża. Pokąsana twarz wciąż bolała.

Kiedy wczoraj zobaczył rój, najpierw pomyślał, że to atak Czarnych. Pszczoły szły w szyku niczym eskadra bombowców, bucząc jak oszalałe. Rozpiął egidę, ale przeszły przez nią, wybyskując jednocześnie kody powitania. Kajetan sprawnie wystukał palcami o grzbiet konia kata deszyfrujące, niebacznie znosząc osłony. No i to był błąd. Pszczoły nagle zerwały szyk, regularne klucze zwinęły w bezładny żółto-czarny rój i w mgnieniu oka obsiadły mu twarz.

A potem zaczęły gryźć, a każdy impuls bólu niósł nowy fragment rozkazu.

Gęba natychmiast spuchła - nieregularnie, jakby była zmutowanym balonem, chwilę potem ostatni fragment rozkazu wszedł do głowy, a pszczoły zniknęły nagle, tylko ich bzyczenie jeszcze przez kilka sekund wisiało w powietrzu.

Wyciągnął spod bluzy naszyjnik medyczny, zwany przez niektórych indiańskim, potarł czoło i policzki kawałkiem bursztynu z zatopionym w środku wężykiem Eskulapa, wyszeptał mantrę leczniczą. Ból minął, opuchlizna zeszła. Ale nie do końca.

Albo w mrowisko. Gołą dupą, zawyrokował w końcu, a potem skierował konia tam, gdzie kazały mu pszczoły. To było hetmańskie polecenie, które musiał spełnić, zgodnie z królewskim listem żelaznym.

Miał zawędrować naprawdę daleko. Nigdy jeszcze tam nie dotarł. To mogło być bardzo niebezpieczne. I niezwykle interesujące.

Kajetan rozpoczął rytuały. Wyjął z plecaka skórzaną sakwę, a z niej sześć kawałków granitu oszlifowanych w równe ośmiościenne kostki, owinięte w chustę okulary na długiej rączce i płaską deszczułkę ozdobioną intarsjami - log pływów.

Przyłożył lornion do oczu tak mocno, aż karbowane oprawki okularów boleśnie wbiły się w skórę. Wypowiedział inicjujące mantry i w jednej chwili poczuł, że świat wokół się zmienia. Drzewa, ziemia, chmury, a nawet jego ciało stały się ledwie dostrzegalnymi cieniami, smugami ciemności w przestrzeni błękitnej mgły. Deseczkę logu ścisnął między zębami - żywiczny posmak jak zwykle wypełnił usta. Trzymając rączkę lornionu w prawej dłoni, a granitowe bryłki w lewej, zaczął obracać się na piętach. Szybko, coraz szybciej, aż do zawrotu głowy, niczym wirujący derwisz. Teraz nastąpił moment wymagający największej koncentracji.

Cisnął przed siebie jednym z kamieni, nie za mocno, tak na kilkanaście metrów.

Mantrował coraz głośniejsze. To był najtrudniejszy moment, złapanie osi merydionalnej. Gdy już uchwyci się południe, resztę kierunków jest łatwiej wyznaczyć. Synchronizował wirowanie i słowa zaklęć, bo musiał znaleźć idealny punkt, trafić we właściwy moment.

Nie chodziło wszak o wyznaczenie kierunków świata, do tego wystarczy kompas, słońce i mech na drzewach. Kajetan musiał oznaczyć punkty geografii bezwzględnej, nakłuć przestrzeń w sześciu miejscach, tak by złapać stałe współrzędne w zmieniającej się topografii Zony. Zsynchronizować z nimi azymulet tak, by mógł prowadzić w wybranym kierunku niezależnie od pływów, niejako na wskroś zmiennych przestrzeni poza Horyzontami Zdarzeń.

Chaos geograficzny dawnych pól bitew i granic Gehenny brał się z trzech źródeł. Najpierw

same działania wojenne - geomantyczne ataki barlogów - osłabiły osnowę ziemskiego Planu, luzując spójność materii i związków przyczynowo-skutkowych. To na skutek tych właśnie działań świat pływał na niej jak płyta kontynentalna na astenosferycznym podkładzie. Rzeki zmieniały bieg i kierunek nurtu, miasta znikwały, by pojawić się gdzie indziej, w ciągu nocy wypiętrzały się góry. Geografia zwijała się jak wnętrze makowca. Najkrótsza droga łącząca dwa punkty często wcale nie była prosta; zbliżając się do jakiegoś miejsca od południa, dochodziło się czasem do niego ze wschodu czy północy. Bariery rozdzielające fragmenty tej poszatowanej rzeczywistości nazywano Horyzontami Zdarzeń.

Drugim zjawiskiem, z którym musiał sobie radzić geograf, były Przebiecia, styki między Planami. Niektóre powstawały spontanicznie, na skutek potężnych wyładowań magii, inne były wytwarzane świadomie, jako tunele do innych rzeczywistości, z których czerpano artefakty, niewolników, surowce i moc. Dzięki Kluczowi Przejścia, artefaktowi z Planu spotkanego niegdyś karła Hah-hona, Kajetan mógł swobodnie przemieszczać się między wieloma Planami. Badać je, zamykać niechciane przejścia, kryć się w nich.

Wreszcie Kurtyny - magiczne osłony, położone nad całym władztwem barlogów i stopniowo wypelzające na Marchie. Gdy taka pograniczna prowincja na stałe wpadała w ich cień, sama stawała się częścią Gehenny, a Czarni rozpoczynali stawianie barier na nowych granicach. Kurtyny były jak gęste czarne chmury wiszące nad wielkimi połaciami Europy, nieprzejrzyste dla satelitów szpiegowskich i omackowych czaromatów infiltracyjnych. Czasem tylko - gdy moc najeźdźców słabła, a planety stawały w dobrych koniunkcjach - eteralny wiatr rozpraszał zasłony, wtedy sputniki robiły niewyraźne zdjęcia i mentalne odciski krain Gehenny, jej miast koncentracyjnych, lęgni barlogów, komun niewolniczych.

A także obiektów militarnych, dziwnych machin, świątyn perwerformensowych i gardzieli czarnowodów, wciąż wypływających na Ziemię istoty, konstrukty i sługi barlogów z ich własnego i podbitych Planów.

Zadaniem Kajetana było przedarcie się przez ten gąszcz zapór, fałszywych dróg, pułapek rzeczywistości i oznaczenie swojej ścieżki magią ariadnową, tak aby mogli po niej przejść kolejni ludzie, przepłynąć czaromaty i informacje.

Wirował, wirował coraz szybciej.

Gdy poczuł, że ruch i słowo wyznaczają jedność, rzucił drugi kamień, potem kolejne. Zabłyły w otaczającej mgle niczym małe gwiazdy, lecz w przeciwieństwie do prawdziwych słońc nie emitowały energii, tylko ciągnęły ją z otaczającego świata, w magicznej okluzji pochłaniały topografię rzeczywistości.

Teraz włączył się log. Intarsje na deszczulce pociemniały, wyrzuszyły się, wijąc niczym kawałki czarnego sznurka. Wydłużały się i rozdzielały na drobniejsze nici, pełżyły wzdłuż ciała Kajetana, tworząc po chwili delikatny kokon oplatający całą postać człowieka.

W jednym nagłym błysku pomiędzy sześcioma kamieniami przeskoczyła iskra, jej blask nasycił nici, które znów zaczęły się kurczyć, wpelzać do drewna.

Kajetan zrobił jeszcze kilka obrotów, zwolnił, zatrzymał się. Oderwał lornion od oczu, wyjął log z ust, ciężko usiadł na ziemi.

Wróciły kolory i zapach świata, zniknęły za to granitowe znaczniki, zamienione teraz w magiczne pływy, zakotwiczone w Nieświecie, pomiędzy osnowami różnych Planów i wskazujące prawdziwe kierunki w zmiennej geografii Zony.

Kajetan odpoczął jeszcze chwilę, po czym starannie spakował sprzęt i ruszył w dalszą drogę, ku miejscu teraz precyzyjnie wskazywanemu przez azymulet.

*

Warszawa była naprawdę piękna tej wiosny.

Pałace Kultury, pokryte wijącymi się pnączami i pospinaane sobą na różnych poziomach kolejkami linowymi wznosiły się ponad miastem niby gigantyczne pnie drzew, pozrastane gałęziami i opięte pajęczynami. Wyznaczały centrum Królestwa, środek wolnej Europy.

Cały kompleks zajmował teren między Jana Pawła, Świętokrzyską, Marszałkowską i Nowogrodzką, na stałe blokując fragment Alej Jerozolimskich. Oprócz pałaców znajdowało się w nim jeszcze kilkadziesiąt innych budynków - urzędów, kwater wojskowych, domów elfów, ale także przytułków i sierocińców dla uchodźców z najechanych krain. Tu mieściły się również ambasady sojuszników i siedziby emigracyjnych rządów z państw okupowanych przez barlogi.

Całe centrum stolicy przebudowano zgodnie z regułami wojennego feng shui, tak by w razie ataku Czarnych samo miasto broniło swych mieszkańców i gości.

Robert szedł wzdłuż wschodniego obrzeża strzeżonej strefy, szerokim chodnikiem Marszałkowskiej, przyglądając się to wystawom, to pojazdom przesuwanym się po jezdni. Ruch był spory i właśnie na ulicy najbardziej dostrzegało się eklektyzm współczesnego świata. Obok konnych bryczek i ryksz obsługujących miejski transport posapywały tu cicho maszyny parowe - ciągniki transportowe lub małe prywatne automobile. Gdzieś tam mruczały wyregulowanymi silnikami nieliczne pojazdy benzynowe - do których prawo miała jedynie armia i niektóre służby miejskie, takie jak szpitale czy straż pożarna. Cóż, ropy nie importowano już praktycznie od kilkadziesiąt lat i całe zasoby paliwa oparte były o wydobyte własne na terenie Polski i nieliczne dostawy tankowców z USA.

Z rzadka ulicami przesuwały się też powolne pojazdy zasilane bateriami słonecznymi lub nieco szybsze maszyny specjalne, napędzane nanokadabrami, przystosowane do transportowania przemagicznych obiektów. Sporo za to było jeźdźców, rowerzystów i rolników, dla których wyznaczono osobny pas ruchu. Ostatnio wróciła też moda na hulajnogi.

Zielony cień Pałaców ogarniał całe centrum miasta - zresztą rosło tu dużo drzew, chodniki poprzecinano licznymi trawnikami, czasem mocno utrudniającymi ruch przechodniów. Na ulicach wystawiono też setki donic z krzewami. Ich rozkład na terenie miasta zaplanowano bardzo starannie. Wraz z pobudowanymi licznymi kapliczkami, wywieszanymi w odpowiednich terminach flagami, wysterowanym dla każdego kościoła harmonogramem bicia w dzwony i dziesiątkiem innych elementów krajobrazu lub rytuału tworzyły one ochronną sieć, matrycę mocy wspierającej

siły obronne Warszawy. Połowę powierzchni jednego z Pałaców Kultury zajmowało informatyczne centrum obliczeniowe analizujące gradienty mocy, fale fagowe płynące z zachodu, pulsowanie patriosfery. Stamtąd wychodziły polecenia dla władz lokalnych i instrukcje dla obywateli dotyczące zgromadzeń publicznych, wystroju ołtarzy na Boże Ciało, dat wywieszania flag i wielu innych aspektów funkcjonowania metropolii. Nie wszystkim się te zarządzenia podobały, ale nakazów raczej przestrzegano. Sceptyków dość skutecznie przekonały fotografie z miast, w których obronnego feng shui nie stosowano. To znaczy zdjęcia ruin tych miast. O ile w ogóle pozostawały jakieś ruiny.

Teraz, pod koniec czerwca, Warszawa szykowała się już do wakacji. Dzieci kończyły zajęcia szkolne, a dorośli coraz częściej brali urlopy - zazwyczaj by popracować na działkach, połowić ryby czy wyruszyć do lasów na pierwsze grzybobrania. W toczącym wojnę kraju na szczęście nie było głodu, ale żyło się skromnie i wiele osób musiało szukać oszczędności w wydatkach dnia codziennego. Wielki przemysł spożywczy praktycznie nie istniał, skończył się import, więc do łask wróciły dżemy i konfitury robione z własnych owoców, ogórki kiszone w glinianych garnkach, a także samogon pędzony wedle receptur przekazywanych przez dziadków.

Uwagę Roberta przyciągnął starszy mężczyzna prowadzący na smyczy psa, wielkiego i niemłodego już wilczura. Rzadki widok w centrum, gdzie obowiązywał ścisły zakaz trzymania jakichkolwiek zwierząt poza kosami, krukami i kilkoma innym gatunkami ptaków. Oraz, oczywiście, rybkami akwariowymi - których hodowanie było wręcz propagowane. Czarodzieje i informatycy wojskowi uznali bowiem, że kilkadziesiąt litrów wody w mieszkaniu nikomu nie zaszkodzi - co najwyżej wzmocni impulsy od żył wodnych, bardzo przeszkadzające barlogom.

Prawo właściciela psa do przechadzania się z czworonogiem po centrum Warszawy potwierdzał znaczek przypięty do koszuli obok imponującej kolekcji baretek. Robert odczytał zaszyfrowane w nich tajemnice jednym rzutem oka. Starszy mężczyzna to oficer, przed laty służący w formacjach tropicielskich, a pies był jego partnerem, tak zwanym szarikiem. Przeczarowanym zwierzęciem o wydłużonym życiu, podniesionej inteligencji i nosie wyczuwającym najmniejsze ślady fagów. Tak naprawdę umysły pana i psa, sprzężone przez dziesięciolecia, współgrały ze sobą i łączyły się w niezrozumiałym dla innych związku. Ludzie i ich szariki zawsze umierali razem, a w przypadku zagrożenia walczyli wspólnie do końca.

Tropiciele ocalili tysiące istnień i wciąż ratowali przed agenturą rozległe obszary wolnego świata. Walczyli na pierwszej linii frontu i niewielu doczekało starości. Starokatolicy uważali ich za sługi diabła, takie same jak barlogi.

Robert odruchowo pochylił głowę przed starszym mężczyzną. Ten nie odklonił się, ale lekkim zaciśnięciem warg dał znak, że przyjął oznakę szacunku. Pies leniwie zamerdał ogonem.

Robert skręcił ku Wiśle, w Świętokrzyską, chcąc potem zejść Tamką. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze ponad godzinę, więc nie musiał się śpieszyć. Z siostrą, Łucją, umówił się w Instytucie Resocjalizacji, zwanym potocznie przez warszawiaków instytutem odzysku. Niestety, w budynku mieszczącym się w dawnym centrum nauki od trzydziestu lat, czyli od momentu powstania, nikogo

jeszcze nie zresocjalizowano. Żaden jegier na powrót nie stał się człowiekiem.

Przynajmniej taka była wersja oficjalna.

Łucja często opowiadała Robertowi o swojej pracy, ale przecież obowiązywały ją procedury tajności. Nie mogła mu mówić wszystkiego, tak jak i on nie mógł jej relacjonować szczegółów swoich zadań. Tak naprawdę nie wiedziała, czym zajmuje się brat, sądziła, że jest inspektorem wojskowym pracującym dla Sztabu Generalnego. Jednak coś tam wspominała, resztę sam doczytał w oficjalnych wydawnictwach i tajnych raportach. Za ludzi przekształconych w jegrów modlono się, poddawano ich działaniu świętych relikwii, a kiedyś nawet przewieziono kilku do Wadowic i Częstochowy. Umarli szybko, siejąc wokół fagami bólu i strachu. Starsi ludzie w tych miastach do dziś wspominają noc, gdy śniły im się najstraszniejsze koszmary w życiu.

Próbowano zmuszać jeńców do oglądania starych komedii romantycznych i seriali rodzinnych, puszczano im audiobooki z powieściami Flagg, Montgomery i Musierowicz, prezentowano przyrodnicze dokumenty, faszerowano wspomnieniami ich matek.

Oczywiście sięgano i po potężniejsze metody - sprzęgami emocji przesyłano do ich mózgowi pozytywne uczucia, serwowano miłość i rodzicielstwo, radość małego psa, ciepło słońca i spokój plaży, zachwyt sztuką i krajobrazami, radość pielgrzymów i wyciszenie kontemplujących mnichów.

Na próżno. Jegrzy nie poddawali się kuracjom, prawdopodobnie cierpieli w ich trakcie i... umierali. Ale prace trwały. Gdyby odniesiono sukces, gdyby odkryto sposób resocjalizacji, można by odzyskać tysiące ludzkich istnień, wyrzucić jegrów spod władzy barlogów. Niezbyt często zdarza się, że czyny moralne idą w parze z korzyścią militarną. Ten projekt taki właśnie był i dlatego, pomimo protestów starowierców i - jak głośno plotki - oporu niektórych wpływowych elfów, instytut wciąż mógł pracować.

Łucja czekała na Roberta przed budynkiem. Siedziała na ławce i czytała książkę. W kwiecistej długiej spódnicy, w czarnym T-shircie ozdobionym portretem świni w skafandrze kosmicznym, z długimi, czarnymi, nieuporządkowanymi włosami nie wyglądała na swoje czterdzieści siedem lat.

A gdy wstała, by go uściskać, gdy zobaczył jej uśmiechniętą twarz i dziwaczne okulary w grubych czarnych oprawkach, uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił.

Gabinet Łucji był ciemny, mały i zagracony jak zaplecze prowincjonalnego biura rzeczy znalezionych. Oprócz książek naukowych, skoroszytów, tablic poglądowych i zrolowanych plansz ze szkicami znajdowały się tu przedmioty tak dziwaczne jak składany parasol w zabójczo pomarańczowym kolorze, szkielet człowieka na stojaku przyozdobiony w czarny szapoklak z fajką wetkniętą między zęby, hełm i maska jegra, gipsowy odlew śladu soggotha, stary keyboard z krótkim, sztywnym kablem wystającym zeń niczym ogon, żardyniera, na której zamiast doniczek stały puste butelki. Na dodatek połowę pomieszczenia zajmował wielki skórzany fotel o obiciu wytartym i pomarszczonym jak skóra stulatka. Kto wie, może i był w tym wieku?

- To łamigłówka, prawda, taki puzzel 3D w skali jeden do jeden? - spytał Robert.

- Jaki puzzel?

- No, taka układanka. Studenci przychodzą tu i dostają zadanie wygrzebania jakiegoś przedmiotu z minimalną liczbą przesunięć innych sprzętów. Albo coś jak hanojskie wieże? Mają przestawić ten stos tutaj, a tamten tam, byleby zawsze mniejszy grat leżał na większym. Wielu zdaje?

- Ha, ha, ha. Bardzo zabawne - mruknęła cicho. - To świadomy i celowy nieład artystyczno-naukowy. Nie słyszałeś, że wybitni uczeni nie przykładają wagi do tak przyziemnych spraw jak porządek w gabinecie?

- A może to robota jegrów, co? Przyznaj się, próbujesz ich uczłowieczyć przez sprzątanie i ci nie wychodzi.

- Usiądź i zamilcz. - Łucja pchnęła go lekko w stronę mamuciego fotela, odwróciła się do czajnika, naląła wodę do kubka, wrzuciła cukier. Zamieszała laboratoryjną pipetką.

- No, siadaj wreszcie, po co tak sterczysz? - Wcisnęła bratu kubek.

- Już, już. - Robert ostrożnie wciągnął nozdrzami parę, czując, jak aromat kawy zbożowej wypełnia nos, przesącza się do gardła, gorzko przyprawia ślinę. - Uwielbiam to, kawa w niedzielę po obiedzie. Godzina przerwy przed tym, co zaraz-koniecznienatychmiast trzeba zrobić. Dla tej godziny warto żyć.

- Masz zatem małe wymagania co do życia. - Łucja usiadła na tapczaniku wciśniętym w kąt pokoju, podłożyła pod nogi stółek, swój kubek z kawą ostrożnie postawiła na wąskiej poręczy łóżka.

- Spadnie - zauważył Robert.

- Nie spadnie.

- Zawsze spadają.

- Nie znasz się na fizyce. Zobacz, podstawa kubka ma średnicę jakichś ośmiu centymetrów, a poręcz czterech. Jeśli postawię kubek centralnie, a płyn w nim rozłożony jest równomiernie, to...

- Dobra, ale jak spadnie, to żeby potem nie było na mnie. Jak idzie?

- Nadal kłapa, ale mamy nowy pomysł. Tajny oczywiście.

- Nie pogniewaj się, siostró, lecz myślę, że jesteś bez szans.

- Bardzo optymistyczne przesłanie, naprawdę, tego właśnie od ciebie oczekiwałam.

- Mam kłamać? - Wypił łyk kawy, posmakował, kiwnięciem głowy ponownie wyraził uznanie.

- Nie. Ale mógłbyś powiedzieć coś w stylu: „Tak, Łucjo, widzę, że nie jest lekko, ale na pewno dasz radę, bo jesteś genialnym naukowcem i wspaniałą kobietą”.

- Jesteś wspaniałą kobietą i doskonałym naukowcem, Łucjo, ale myślę, że nie dasz rady.

- A czemu to, panie mądry?

- Bo oni są spreparowani bezbłędnie. Bo barlogi nie popełniły błędu. Budują totalitaryzm idealny.

- Nie ma totalitaryzmów idealnych - fuknęła. - Pamiętasz ten kawałek z Herberta o chrząstkach sumienia?

- To było o raju, nie o piekle. - Rozparł się wygodniej w fotelu.

- Wszystko jedno. Nie ma. Nasze historyczne totalitaryzmy też się w końcu rozlatywały.

- Tylko że ten nie jest nasz. I nie my go robimy. Myślę, że po prostu nie możesz przykładać do niego tych samych miarek.

- Czyli? - Kosmyk włosów opadł Łucji na czoło, odsunęła go dłonią, zawięła za uchem.

- Czyli, moja droga pani doktor, w totalizm barlogów nie są wpisane mechanizmy samoerozji, jakie przyczyniały się do osłabienia i klęski naszych ludzkich dyktatur.

- Czyli? - Powtarzając pytanie, siorbnęła kawę, po czym robiąc głupie miny, ostentacyjnie starannie odstawiała kubek na poręcz.

- Najpierw wyliczę ci sprawy powszechnie znane, a na koniec podzielę się moim prywatnym odkryciem. Nazwij je prawem Gralewskiego, dostań Neonobla i podziel się kasą.

- Sam nie możesz?

- No co ty, prosty żołnierz miałby dostać nagrodę od jajogłowych? Wykorzystam ciebie jako mojego figuranta.

- Zamieniam się w słuch, panie profesorze. - Podparła dłonią brodę, tym razem udając wielkie zainteresowanie i skupienie. Paznokcie miała przycięte krótko, ale pomalowane bardzo starannie jasnozielonym lakierem.

Na co dzień sprawnie grała rolę roztrzepanego naukowca, ale zdradzały ją szczegóły. Tak naprawdę w sprawach ważnych dla niej samej była pedantką, czasami na granicy obsesji. Na przykład, co Robert spostrzegł od razu, stosy książek pozornie beładnie zawalających jej biurko ułożone były według kolejności alfabetycznej autorów.

- Żeby system totalitarny działał, musi istnieć w społeczeństwie pewna grupa osób go tworząca, wspierająca, realizująca. Tymczasem w naturze tych systemów leży swoiste suicidium, samolikwidacja. Po pierwsze, wewnętrzna, jak czystki Stalina w Rosji czy noc długich noży w Niemczech Hitlera. Wiesz, o co chodzi? To było ponad sto lat temu, ale współcześni sporo o tym pisali. Kojarzysz?

- Wiem, kto to byli Hitler i Stalin - fuknęła. - Studiuję jegrów. Badam ludzkie zło.

- Okej, okej, nie irytuj się. No więc jedni twórcy totalitaryzmu w czasie walki o wpływy i władzę albo w boju o „czystsza” i „prawdziwsza” wersję systemu wyniszczają innych, wrogich funkcjonariuszy i ideologów. Przyczyny zagłady mogą też być zewnętrzne. Jeśli państwo totalitarne wszczyna wojnę z otaczającym światem - aby narzucić mu swoje prawa albo choćby tylko złupić - to na front w pierwszej kolejności idą ci najwierniejsi. Może nie najmądrzejsi, ale najbardziej fanatyczni głosiciele nowej wiary i nowego porządku. Obiboki, tchórze i dysydenci migają się jak mogą przed zaszczytną służbą. I kiedy pada rozkaz ataku, to próbują przeczekać gdzieś w okopie, a nie rzucają się własnymi ciałami na gniazda karabinów maszynowych. Mają w dupie Fuhrera i Stalina.

- Tylko że wtedy w plecy im wali jakieś NKWD. I to właśnie dzielni towarzysze z Czeka mają większą szansę powrotu do domu niż zwykli ludzie.

- No jasne, ja nie twierdzę, że zwykli ludzie nie giną w takich sytuacjach. Chcę tylko powiedzieć,

że fanatycy wykańczają się chętnie, sami i z własnej woli. A teraz przejdźmy do tych enkawudzystów z tyłu. Sam fakt, że siedzą tam właśnie, oznacza, że system koroduje. Że przeżera go korupcja.

- Korupcja naszą szansą?

- W przypadku totalitarnych ideologii zdecydowanie tak. Jak już sobie powiedzieliśmy wcześniej, prawdziwi maniacy systemu wykańczają się wzajemnie w walce o czystość idei lub w boju o jej światowe zwycięstwo. Ale inni, ci enkawudziści, chcą żyć. Mieć zgrabne kobiety, daczę za miastem, ładne obrazy w sypialni. W kraju, gdzie są problemy z żarciem - większy przydział. Tam, gdzie brakuje samochodów - talon na limuzynę. W czasie prohibicji alkoholu - lewe dostawy whisky z zagranicy. I tak dalej. Ci ludzie często oficjalnie nadal budują system, nakazują innym przestrzeganie jego reguł, wprowadzają terror i strach, ale procesy gnilne już się rozpoczęły. Syn takiego dygnitarza też chce lepszy wóz, jego kierowca szmugluje koniak, a przełożony żąda udziału w łapówkach. Tak się kończył komunizm w wielu krajach Europy, u nas także. Zostali wyznawcy-idioci na dnie drabiny społecznej i cwaniaki-złodzieje na najwyższych szczeblach.

Zamilkł, dopił kawę, z żalem spojrział na dno kubka.

- Jeszcze jedną? - spytała.

- W zasadzie... to zbożówka. Rób, dziewczyno!

- No, no, chłopaku... - Wstała z tapczanu. - Mów dalej.

- A gdzie ja skończyłem? Aha. Trzeci czynnik destrukcji dyktatur to dysydenci z wnętrza systemu. Wiesz, tacy Sacharowowie. Władza totalna, jeśli chce się utrzymać, nie może likwidować wszystkich myślących ludzi. Musi hodować szpiegów, uległych dziennikarzy podróżujących po świecie i twórców kultury ją legitymizujących. Musi mieć naukowców i inżynierów rozwijających przemysł i uzbrojenie. Ci ludzie mają dużą wiedzę o mechanizmach systemu, stosunkowo szerokie horyzonty, kontakty za granicą i - co ważne - zdolność do analitycznego i w jakimś stopniu samodzielnego myślenia. Niektórzy z nich buntują się. Bo nie dostaną nagród, na które liczyli za wierną służbę, bo ktoś ich przekupi lub zastraszy, bo odezwą się w nich odruchy moralne i etyczne. Nawet jeśli ta zdrada zostanie przez system szybko wykryta, to jednak nie zawsze da się całkowicie zagłuszyć wpływ takich ludzi na zniewolone społeczeństwo. Czasem mają prestiż na świecie, często wewnętrznych protektorów w kręgach władzy i wreszcie swoisty społeczny posłuch - wszak przez lata kazano zwykłym obywatelom ich wielbić, czytać ich książki, słuchać wykładów, oglądać filmy. Więc nie zawsze da się od razu wpakować im kulkę w łeb.

- No dobrze, i co z tego?

- To z tego, moja droga pani doktor, że w Gehennie nie działa żaden z opisanych tu trzech mechanizmów systemowej samodestrukcji, nazwijmy je dla ułatwienia: towarzyszebójstwem, autokorupcją, rewoltą.

- Czemu?

- Bo państwo barlogów to jeden wielki obóz pracy, Auschwitz i gułag w jednym, to wielka hodowla niewolników. Władza utrzymywana jest nie przez miłośników jakiejś ideologii, tylko przez

jej wyznawców biologicznych, przez istoty, dla których ten system jest częścią religii, kosmologii i anatomii, rozumiesz? Władcy są niepodatni na korupcję i rewoltę, a każde nieposłuszeństwo niewolników karane jest natychmiastową eksterminacją. Ludzie tam nie mogą nawet plotkować po kątach i opowiadać kawałów o władzy. Za to się umiera.

- To jasne. - Łucja pokiwała głową. - Władzę może utrzymać długo tylko dyktator konsekwentny i bezwzględny. Jak w Korei Północnej czy w Treblince. Brak litości i totalne okrucieństwo. Gdy dyktatura zaczyna odpuszczać, darowywać wyroki śmierci, wysyłać dysydentów za granicę, dawać choćby milimetr wolności, już przegrała.

- Tak, wydaje mi się, że chodzi tu o coś jeszcze, co nazwałem paradoksem ojca.

- Że niby coś z teorii względności?

- Tak. - Uśmiechnął się. - Tyle że względności społecznej.

- No to dawaj.

- W systemy dyktatorskie wpisany jest jeszcze jeden element samodestrukcji, konflikt niszczący samo narzędzie, uniemożliwiający pełną władzę nad człowiekiem. To nadzieja.

- Nie rozumiem.

- Żeby człowiek chciał dla ciebie pracować, musisz dać mu nadzieję. Możesz go zmusić do posłuszeństwa groźbą, zadawać ból, skuć w kajdany. Tak, wtedy dostaniesz powolnego zbieracza bawełny czy górnika na dnie kopalni uranu. Ale jeśli chcesz uzyskać coś więcej, myśl, ideę, elementarne zaangażowanie - a bez tego żaden system nie przetrwa - musisz dać nadzieję. Na trochę lepszy byt, na możliwość życia z kimś bliskim, na prawo do rytuału. A gdy zaczniesz już to rozdawać, ludzie będą chcieli więcej. Własnego pokoju zamiast baraku; uczucia i opieki; Kościoła i poezji. Ukradnij ludziom ich całą własność, odbieraj dzieci, zlikwiduj wszystkie dawne obyczaje - będziesz miał legion galerników, ale nie kapitanów, sterników i kartografów. Więc przegrasz z tymi, których flota dysponuje specjalistami.

- A co ma z tym wspólnego ojciec?

- Bo tak naprawdę ostoją i dnem mojej teorii są dzieci i ich rodzice. Do władcy może należeć cała własność, jego nowe prawa i przesady mogą zastąpić stare, a terror wzbudzać strach i nienawiść poddanych. Nawet wtedy ludzie mogą dla niego pracować, bo elementarną i bazową nadzieją będą dla ludzi ich dzieci, wiara, że one kiedyś doczekają lepszej przyszłości. O strachu przed karą, jaka może spaść na dzieci za nieposłuszeństwo rodziców, tylko wspomnę. Więc jeśli chcesz zachować wpływ na ludzi, musisz im pozwolić kochać swoje dzieci. A to oznacza, że pozwalasz im na coś jeszcze oprócz ciebie i twojej ideologii, na skrawek wolnej woli. System nie jest szczelny. Prędzej czy później zaczną pękać. Lecz jeśli zabierzesz ludziom ich dzieci, to stracisz ostatnie narzędzie nacisku. Paradoks ojca. I matki, rzecz jasna, też.

- Cieszę się, że to dodałeś. Moje kobiece ego od razu czuje się lepiej. I co dalej?

- Dalej jest prosty fakt. Barlogi tak zorganizowały podbite kraje, że potrzebują wyłącznie zbieraczy bawełny. I energii życiowej do budowy swoich maszyn. Potrzebują bydła. Ich system nie ma słabych punktów. Jest wieczny.

- O ile oni sami są wieczni.
- Tego właśnie nie wiemy.
- Elfy wiedzą.
- Elfy milczą. Poproszę jeszcze kawy.

Oczywiście Robert okazał się całkiem niezłym prorokiem. Kiedy Łucja wstawiała, straciła swój kubek łokciem. Na szczęście wcześniej wypła całą kawę.

* Drewno syci się Słońcem. Wchłania blask i ciepło, drganie atomów i elektronowe przeskoki, tętno wypalanego w hel gwiazdowego wodoru. Pobiera też inną moc, pierwotniejszą, mniej agresywną, ale trwałą i stabilną – żar Wielkiego Wybuchu, promieniowanie tła, szept minionych eonów. Karmi się też błękitem. Już poza fizyką, bez równań porządkujących matematykę, niechemicznie. Zbiera modlitwy i zachwyty tych, którzy widzieli kulę Ziemi na własne oczy, i tych, którym dane było jedynie patrzeć na fotografie. Lśniący w kosmosie szmaragd, jasny, klarowny symbol marzeń o dobrej przyszłości i wiedzy, która pozwoliła budować satelity. Tak było kiedyś, lecz teraz Ziemia nie jest już gładka i lśniąca jak oko młodej dziewczyny. Szlachetny kamień pokryła mgła skażenia, ciemne plamy szumu, dostrzegane nawet przez zwykłe technologiczne sputniki. Mithrilowe detektory rejestrują wyraźnie i ostro ten trąd na powierzchni szmaragdu, źródło złej mocy. A mimo to Ziemia wciąż ładowała satelity dobrą energią, pozwalającą im trwać na orbicie, a gdy nadchodził czas - wyrzucać nasiono, rozwijający się zarodek kolejnego sputnika.

Jesionowa kula okrąży Ziemię w dziewięćdziesiąt sześć minut, ale może też zmienić wysokość i kierunek, zawisnąć geostacjonarnie. Gorętsza od otaczającej próżni o ponad sto siedemdziesiąt stopni, topi lodowy pył przed sobą, zostawiając z tyłu lśniący, blisko dwustumetrowy ogon gazu, którego brzegi znów zamarzają w ciemności.

Kula ma średnicę pięćdziesięciu ośmiu centymetrów i tak naprawdę nie jest litą bryłą. To raczej trójwymiarowa układanka, chińska łamigłówka wykonana wedle precyzyjnych planów przygotowanych przez ludzkich inżynierów i elfich czarodziejów. Oplatają ją mithrilowe druty, poszczególne elementy połączone są mithrilowymi sworzniami i zawiasami, mithrilowe pręty i kształtki wbijają się w twarde ciemny jesion.

Czasem z Ziemi przychodzi sygnał - metal rozciąga się wtedy i gnie, drewniane elementy przesuwają się, wskakują w nowe zapadki, łączą mithrilowe sloty, kula otwiera się, rozkłada jak zziębnięty ptak, który nagle prostuje skrzydła. Zgromadzona przez dni i tygodnie samotnego orbitowania energia Słońca i Ziemi, żar pierwotnego kosmosu, a także moc zaklętych w intarsjach elfich symboli pozwalają satelicie pracować.

Z Ziemi płynie sygnał. Przylądek Canaveral wciąż pracuje, NASA działa. Sieć obserwatoriów jest mniejsza niż kiedyś, wojny zniszczyły państwa i kontynenty nie tylko fizycznie - magią, potopem, erupcjami wulkanów. Brakuje surowców, ropy naftowej, węgla, rzadkich pierwiastków, taniej żywności. W krajach, które ocalały, ludność wróciła z miast na wieś, z usług do rolnictwa, od hedonizmu mieszkańców dawnego Zachodu do ciężkiej fizycznej pracy. Na powrót otwierano lokalne kopalnie węgla, fedrowano w poszukiwaniu gazu, palono drewnem i słomą. Miliony

hektarów pól zamieniono w plantacje biopaliwa, niezbędnego do funkcjonowania armii. Dzięki amerykańskiej technologii wydobywano łąkowy gaz ziemny. Niewiele krajów jest w stanie podtrzymać wysoko rozwinięte technologie. Kosmos znowu dostępny jest dla nielicznych, a światową siecią obserwatoriów, anten, wyrzutni satelitów zarządza NASA, której najważniejsze placówki mieszczą się w USA, Królestwie Polskim, Kalifacie Bagdadzkim, na Archipelagu Australijskim i w Wolnej Republice Antarktydy. A także na Złotej Równinie, na Marsie.

Satelita odbiera sygnał, zaczyna przebudowę. Wysuwa mithrilowe lustra, wypycha nagromadzoną energię i zaczyna się przemieszczać. To ruch sprzeczny z teoriami Newtona dotyczącymi siły, akcji i reakcji, nazwany przez ziemskiej fizyków „munchausenowskim”, bo przypomina wyciąganie siebie samego za włosy z błota. Satelita czeka na dalsze rozkazy. Może będzie musiał fotografować magiczne spektra kontynentów Ziemi, badać przebiegi Kurtyn, przepływy geografii, ruchy morskich monstrów i luminescencję błysków mocy tworzonej przez międzyplanowe Przebicia. Może ma służyć jedynie za orbitalny przekaźnik, przesłać sygnały z jednej bazy wojskowej do innej. Może powinien zbadać aktywność Słońca i precyzyjnie ustalić położenie określonych ciał niebieskich, by wojskowi czarodzieje mogli przygotować plany militarnych akcji uwzględniające ascendenty kosmicznych sił. Wreszcie - może chodzić o jeszcze coś innego, o przywołanie innych satelitów, połączenie się z nimi w jeden wielki nadajnik i skierowanie sygnału jeszcze dalej, tam, gdzie żyje jedyna wolna od barlogów ludzka społeczność - na Marsa.

Lecz tym razem sputnik odbiera bardzo dziwne sygnały, nieznanne, wrogie. Nie są jeszcze groźne, nie mają mocy, nie stanowią zamkniętych zdań i formuł, raczej pojedyncze głoski wyjąkiwane bez ładu i składu. Ale - znać w nich rytm obcej mowy, groźne symbole, delikatne, ale już zauważalne struny mocy.

Satelita broni się przed nimi bez większych problemów, a chwilę potem sam nawiązuje łączność z Ziemią. Alert! Alert! Alert!

Z Gehenny płynie woń magii nowego rodzaju, jakiej satelita nigdy wcześniej nie rejestrował.

*

Powoli podjechał na skarpę. Zsiadł z konia, okręcił wodzami pień chudej sosenki. Do ucha Tytusa wyszeptał prośbę o stróżowanie i ochranianie tyłów. Sam wdrapał się na szczyt wzniesienia. Stąd miał dobry widok na wąski trakt biegnący niemal prosto pod skarpą, ogrodzony z drugiej strony przez gęstą ścianę lasu. Głosy niewidocznych jeszcze ludzi przybliżyły się z każdą chwilą. Wspólnie tworzyły dziwny dźwięk, jękliwy pogłos, równomierny i rytmiczny, rozpoczynający się cicho i powoli, rosnący i urywający nagle. I tak raz po raz, raz po raz, coraz głośniejszy i głośniejszy. Kajetan przykłęknął, lewą dłoń wsparł o mech, w prawą wziął pistolet. Rutynowo sprawdził, czy jest dostatecznie osłonięty, także od góry. Ludziom mogły towarzyszyć różne stworzenia. Wreszcie ich zobaczył, dwóch na przedzie, a za nimi kolejne pary. Szli powoli, pochyleni, z wysiłkiem. Byli niscy, ubrani jednolicie w zniszczone płócienne ubrania, niektórzy bosy. Nie potrafił ocenić ich wieku. Mieli wycieńczone twarze, rzadkie, wypłowiałe włosy i kościste kończyny, charakterystyczne dla

nędzarzy żyjących w stanie permanentnego głodu. Tworzyli zaprzęg składający się z pięciu par. Każdy nosił uprząż opiętą na piersi i karku, do której przymocowane były grube czarne liny. Pomiędzy mężczyznami z każdej pary biegł cienki pręt z okrągłymi przelotami, przez które przechodziły sznury, zbiegające się na koniec w węzeł przymocowany do przedniej ściany ciągniętego pojazdu.

Była to karetka na dwóch kołach, niemal regularny sześcian bez okien, drzwi czy kozła dla woźnicy. Jego czarną, chropawą powierzchnię pokrywały wyrysowane przerywaną białą linią wzory, przedstawiające skomplikowane geometryczne labirynty, które po dokładniejszych oględzinach zdawały się łączyć w kształty przemutowanych zwierząt: jelenie o sześciu nogach, niedźwiedzie z trójkimi łbami, wilki bliźniaki zrosnięte bokami. Każdy wierzchołek sześcianu ozdobiony był fosforyzującą kulą o barwie jasnego, czystego błękitu, dziwnie kontrastującej z mrocznym wystrojem samego powozu. Pojazd toczył się na czarnych, sporej grubości dyskach.

Cała ta konstrukcja musiała być bardzo ciężka, bo dziesięciu dorosłych, choćby i zabiedzonych ludzi ciągnęło ją z najwyższym trudem. Idący w pierwszej linii mężczyzna w taktometrycznie równych kilkunastosekundowych odstępach rozpoczynał zaśpiew, natychmiast podejmowany przez pozostałych. W rytmie znanym niewolnikom od tysięcy lat naprężali mięśnie i przetaczali karetkę o kolejne metry. Nie była to szybka jazda i nie podróżom służyła. Rytuał. Okazanie władzy i woli. Czarni mogli zmusić ludzi do niewolniczej bezsensownej pracy, więc ich zmuszali. Być może w środku pojazdu nawet nikt nie jechał.

Teraz dopiero Kajetan zaczął wychwytywać treść zaśpiewu wyjękwanego w zniekształconej niemczyźnie.

- Błaagam cię... - Napinały się karki i uda. - Chwaaalę cię... - Bose stopy zapierały w ziemię. - Słuuucham cię... - Liny naprężały się jednocześnie. - Tyyyś mój pan! - Równoczesne szarpnięcie przesunęło pojazd, a rytm pracy był tak zsynchronizowany, że ciężka bryła toczyła się równomiernie, choć powoli.

Dopiero po chwili Kajetan zorientował się, że prowadzący zaprzęg zapiewają zamiast rąk ma dwa kikuty, odrąbane na wysokości łokci. Być może wypadek przy jakiejś innej pracy sprawił, że został ludzkim perszeronem. A może, ponieważ nim właśnie był, jego władcy ucięli mu dłonie, by nie myślał o innych zajęciach. Pozostali mężczyźni również nosili na ciałach znamiona władzy barlogów. Jeden miał obcięte ucho, inny nozdrza, zdarzały się i odrąbane palce, wyłupione oczy i wypalone na policzkach piętna.

Los ludzi żyjących pod władzą Czarnych.

Karawan zbliżał się do miejsca, w którym czekał Kajetan. Wtedy uwagę geografa zwróciło nowe zjawisko. Rozległ się przenikliwy, wibrujący dźwięk, jakby ktoś wrzasnął w wylot metalowej rury. Tył pojazdu lekko się wybrzuszył, a białe malowidła na ścianach zaczęły się wyginać i przemieniać. W tym samym momencie jeden z pociągowych ludzi wrzasnął głośno, gubiąc melodyjny rytm zaśpiewu. Zachwiał się na nogach, kolana ugięły się pod nim, bardziej zawisł na uprzęży, niż nadal ją sam napinał. Trząśł głową rytmicznie, zagryzł wargi tak mocno, że strużka krwi spłynęła po jego

policzku. Pozostali mężczyźni nie przejęli się tym zbytnio ani nie próbowali mu pomóc, ani pogonić do dalszej pracy. Być może tylko mocniej jeszcze napięli mięśnie, by zrównoważyć fakt, że jeden z nich przestał ciągnąć z pełną siłą.

Kajetan przyłożył do oczu lornion, przestrajając kryształowy szkielec na opcję nazywaną potocznie zwidzeniem. Teraz mógł obserwować także to, co zakryte było przed ludzkimi, niemagicznymi oczami. I zobaczył. Z przedniej ściany powozu wyrastał mglisty kształt, skomplikowany układ kwadratowych ogniw tworzących siłowy, rozgałęziający się łańcuch. Niektóre z jego końcówek drgały w powietrzu jak węże, którym fakir puścił muzykę techno. Inne wiły się, szukając celu, omiatając głowy mężczyzn, wyginając się ku ich twarzom i kroczone. Najdłuższa więc dotarła do krzyżującego człowieka, opięła mu głowę, zawijając się na czole i oczach, przecinając usta. Ogniwa zmieniały kolory, pulsując między krwistą czerwienią a jaskrawą żółcią. Całą długością łańcucha przepływały jakieś fale, zgrubienia rodzące się we wnętrzu czarnego pojazdu i tłoczone niczym krew przez żyły.

W chwili gdy mężczyzna był najgłośniejszy, niemal już nie idąc, a jedynie wlokąc się po ziemi, wyrzucenie na tylnej ścianie powozu napęczniało i gęstą, czarną, tętniącą kroplą, po której powierzchni przepływały białe linie, spłynęło na ziemię.

Niewolnik barlogów przestał krzyczeć, przez chwilę jego ciałem miotaly dreszcze, ale zaczynał dochodzić do siebie. Mocniej stanął na nogach, zaparł się, szarpnął obrozą, jakby chciał dać zmianę swoim towarzyszom, którzy przez ostatnie minuty pracowali za niego. Po chwili znów śpiewał.

W tym czasie łańcuch spelzł z jego twarzy, zaczął się kurczyć, aż wreszcie zniknął w przedniej ścianie powozu, jak kabel nawijany na niewidzialny kołowrotek.

Kajetan znów przestroił lornetkę. W miejscu, w którym powóz wypuścił swą wydzielinę, leżał mały czarny kamień pokryty skupiskami drobnych kryształów, którego mniej bacznego obserwatora nie odróżniłby od kawałka bazaltu. Nie minęło dziesięć sekund, gdy kamień zaczął się zanurzać w ziemi, powoli, jakby tonął w płynnej smole. Wkrótce zniknął. Jednak geograf czuł zimną moc bijącą z tego miejsca.

Ludzie stawiają menhiry i rzeźbią w nich krzyże. Sadzą dęby i wieszają na nich kapliczki z fraszobliwymi świątkami i promiennymi Maryjami. Budują kościoły, ryjąc w ziemi fundamenty, murując ściany z betonu i cegieł, dzwonnice z polnych kamieni. A potem modlą się tam, biorą śluby i odprawiają pogrzeby, składają wota i honorowe obietnice. Tak naznaczają swój świat, utwierdzają go, zabezpieczają przed wrogim wpływem. Ustawiają bariery, przez które barlogi nie mogą się przedrzeć.

Podobnie Czarni. Też odprawiają rytuały, w które wpisany jest terror i ból. Znaczą okupowaną ziemię cierpieniem, składają w niej mroczne jaja, diamenty ciemnej przyszłości. Chronią swe terytoria przed kontrofensywami połączonych armii ludzi i elfów.

Obecność rytualnego wozu mogła oznaczać, że dotarł już w pobliże chronionego obszaru.

Teraz karetka znalazła się tuż pod miejscem, w którym czuwał Kajetan. Mężczyzna wychylił się,

starając wykorzystać naturalne osłony, bo choć nie wyczuwał żadnych fagowych pól, wolał nie używać magii do ochrony. Jeszcze raz przestroił lornetkę. Teraz uważniej przyjrzał się konstrukcji wozu. Koła, które pierwotnie wziął za dyski, tak naprawdę były czarnymi obręczami ze szprychami wirującymi szybko niczym żyroskopy, tak że ich obraz zlewał się w jedną całość. Kajetan nadał kryształom lornetki stosowną wibrację i teraz cały obraz przed jego oczami zwolnił i zamarł niemal w bezruchu. Ludzie zastygli w pół kroku, z nogami zawieszonymi w powietrzu, wygięci do przodu. Wyglądali jak zamrożone figury, które zaraz przewrócą się, nie złapawszy równowagi. Gałęzie drzew widoczne w okularze również nie drżały, za to na ich czarno-zielonym tle bardzo, bardzo powoli przesuwały się włóczkowe pasma, wyznaczające linie podmuchów wiatru. Koła karety kręciły się teraz w tempie ćwierci obrotu na sekundę i Kajetan mógł dokładnie przyrzeć się ich konstrukcji. Szprychy nie miały jednakowej średnicy, w niektórych miejscach wytoczono je grubiej, w innych zwężono do wałeczka o średnicy ludzkiego palca. Ten rytm nie był jednak przypadkowy. Parametry każdej z dziewięciu szprych obliczono bardzo starannie, tak by obracając się, wytwarzały ściśle zsynchronizowane fale fagów. Układ szprych i wzorów na nich zmieniano w zależności od przeznaczenia wozu. Inny na bojowych rydwanach, gdy miał generować pola morderczej mocy. Inny na wozach transportowych, gdzie zwiększał nośność i szybkość. Tu spełniał zapewne odmienne funkcje - łądował wóz energią niezbędną do wytwarzania czarnych kamieni.

Kajetan mógł się nieco dokładniej przyrzeć rysunkom ozdabiającym karekę. Wyglądały jak labiryntoidalne figury z Nasca, tyle że wyrysowane nie łagodnymi łukami, a ostro zakręcającymi łamanymi. I one - po przestrojeniu lunety - ujawniły swój drugi, prawdziwy kształt. Biała farba zsiniała, teraz wyglądała bardziej jak ciąg rys wydlubanych w gładkiej powierzchni sześcianu. Tym systemem kanalików powoli przelewały się krople kredowego płynu, łączyły na skrzyżowaniach, rozdzielały w labiryntowe ścieżki. Każda poruszała się niezależnie, a jednak widać było, że oddziałują na siebie, razem tworzą wspólny puls. Mogły być odsłoniętym systemem krwionośnym pojazdu, którego rytm wybija ukryte serce.

- Błaagam cię... - krzyczeli mężczyźni pociągowi w rytmie okrutnej szanty. - Chwaaalę cię... Słuuucham cię... Tyyyś mój pan!

Zaprzęg minął Kajetana i zaczął się oddalać. Droga skręcała łagodnie w prawo, omijając skarpe. Było jasne, że za dwie, trzy minuty kareta zniknie mężczyźni z oczu. I gdy już to niemal miało nastąpić, rytm śpiewu ponownie został zaburzony krzykiem jednego z niewolników, a tylna ściana pojazdu zaczęła się wybrzuszać.

To dlatego mężczyźni wsparli wtedy swego towarzysza. Po prostu moc pojazdu atakowała ich jednego po drugim, by ból i bezsilność przetrwać w swe straszne odchody. Kiedy jeden słabł, pozostali ciągnęli także dla niego, wiedząc, że za chwilę i ich spotka ten los.

Kajetan wiedział, że to dobrze. Tworzą zespół. Z przymusu, zniewoleni telepatyczną presją, na pewno bez szansy odmowy. Ale - w swoim strasznym trudzie - są drużyną. A zespół to choćby odrobina lojalności, to może cień współczucia, to prawdopodobnie ślad empatii. To błysk dobra w

krainie koszmaru. Nadzieja.

Tak jak teraz, gdy jeden z nich, nie ten sam co poprzednio, miotał się i wył, niemal wyrwijąc ze swojej uprząży Uderzenie bólu musiało być na tyle silne, że i jego reakcja okazała się wyjątkowa. Zmylił krok, zaburzył rytm marszu i pieśni. Bulwa tworząca się na tyle pojazdu zadygotała gwałtownie i przestała rosnąć.

Kajetan podniósł się ostrożnie. Pchnął do Tytusa uspokajający sygnał, a sam zaczął się przesuwając wzdłuż krawędzi skarpy, by lepiej zobaczyć, co się wydarzy. Niemal zrównał się z kareta, gdy błękitne światła na jej rogach zamigotały.

Wytrysnął z nich strumień fagów tak mocny, że rozjarzył nawet zwykłe powietrze. Popłynął ku wciąż wijącemu się mężczyźnie. W locie rozdzielił się i uformował w sztywne pręty. Ostrza ominęły mężczyzn pociągowych, którzy teraz jeszcze bardziej spuścili głowy, skurczyli się, bezskutecznie próbując ukryć się przed karą. Trafiły wyjącego człowieka prosto w plecy, wydzierając z jego płuc jeszcze jeden jęk, weszły w ciało i zniknęły. Jednocześnie opadła obroża z jego grzbietu.

Mężczyzna runął na ziemię. Już nie krzyczał, a jedynie dygotał w spazmach gnących go w pół i wykrzywających kończyny na wszystkie strony.

- Błaaagam cię... - pieśń została podjęta na nowo. - Chwaaalę cię... Słuuucham cię... Tyyyś mój pan!

Wóz potoczył się dalej.

Skazaniec konał. Kajetan wiedział, co go uderzyło. Magiczne groty, rozpryskujące się w ciełe niczym pociski dum-dum, wlewały ogień w każdą komórkę, miażdżyły bólem mózg. Ale nie zabijały. Miał tu konać, dopóki nie zabije go pragnienie i głód. I cierpieć. A fagi poniosą jego ból do rodzinnej wioski, wtłoczą w umysły sąsiadów, może rodziców, może dzieci. Oto kara barlogów. Oto wola jegrów. Oto przestroga dla niewolników.

- Wasze niedoczekanie!

Kiedy wóz barlogów zniknął za zakrętem, Kajetan ostrożnie zsunął się ze skarpy. Rozejrzał się jeszcze raz. Podniósł lewe ramię, odsłonił obręczkę azymuletu i omiół teren na tyle delikatnie, by wyczuć szpiegowskie fagi, lecz by nie rozproszyć zbyt wielu swoich nanokadabr. Nie wyczuł nic oprócz strachu ptaków i pni kilku drzew próchniejących gwałtownie po zbyt bliskim kontakcie z mocą Czarnych.

- Wasze niedoczekanie, skurwysyny! - Pochylając się nad torturowanym człowiekiem, sięgnął na pierś po medyczne amulety. Ale nie tylko chęć pomocy kierowała jego działaniami. Także przecucie, którego nigdy nie lekceważył, bo uratowało mu niejednokrotnie życie. Czuł, że ten człowiek mu pomoże.

Kiedy Kajetan przeniósł ciało młodego mężczyzny z drogi na skarpe, nie miał dużo czasu na poszukiwanie dobrego schronienia. Rozłożył więc swój mały obóz w miejscu z trzech stron obrośniętym gęstymi krzakami, a z czwartej obstawionym przez kilka sosen o zdrowych pniach, ciągnących siły z ziemi niezaburzonej magią barlogów. Azymuletem wymierzył leśną rzeczkę, łagodnym łukiem płynącą kilkaset metrów na wschód od jego kryjówki i dającą niewielką, ale

jednak aktywną osłonę. Czarni nie lubili wody.

Uratowany oddychał ciężko, ale regularnie. Czerwone punkty na plecach, którymi Kajetan wysłał truciznę, już przestały krwawić. Cały zabieg trwał niemal dwie godziny, po których pacjent i lekarz zapadli w sen, a ich bezpieczeństwa pilnował koń.

Teraz młodzieniec leżał na rozłożonym termośpiworze Kajetana, na brzuchu, z policzkiem opartym o zgięte ramiona. Postrzępione, brudne portki z grubego szarego płótna miał ściągnięte niemal do połowy pośladków. Odziedziczona po ojcu, a kto wie czy nie po dziadku koszula leżała obok na ziemi. Na nogach nosił sandały, zdarte, łatane, przywiązane do stóp sznurkami, ale bez wątplenia pochodzące z czasów przedwojennych. Kiedyś były zapewne jasnopomarańczowe, obecnie tylko drobne żyłki farby przypominały o dawnej świetności plażowych butów, które tu i teraz stanowiły na pewno jeden z najcenniejszych skarbów ich posiadacza.

Na plecach półnagiego mężczyzny lśniły dwa duże modzelowate zgrubienia, jakby był aniołem, któremu odpiłowano skrzydła. Nie miał w sobie jednak nic z pucołowatości cherubinów. Był szczupły, wręcz bardzo chudy, co stanowiło ewidentny efekt niedożywienia i ciężkiej pracy. Żyłaste ramiona, wyraźnie rysujące się pod skórą kręgosłup, skóra obciągnięta na ciele jak dres wsadzony na zbyt dużego manekina. Życie w świecie barlogów wytatuowało na nim swe znaki niczym ręka psychopatycznego chirurga. Wprawne oko mogło z nich wiele wyczytać. Długie, blade pręgi biegnące przez plecy i bark. Okrągłe blizny po przypaleniach. Dziura na prawym udzie po wyszarpanym kawałku ciała, ciągnąca się przez łydkę nierównym, wystrzępionym śladem z wyraźnymi zagłębieniami po szyciu. Babrzące się otarcia na karku, tam gdzie była zapięta uprząż. Zrogowaciała skóra na dłoniach. Mały palec odcięty przy pierwszym stawie. Rozdwojone lewe ucho, rozcięte poziomo na pół z niemal chirurgiczną precyzją. Zgrubienie kości czaszki koło prawej skroni, zarośnięty ślad dawnego pęknięcia. Wyszczerbione zęby.

Średnią życia niewolników barlogów szacowano na trzydzieści sześć lat. Mężczyzna mógł mieć równie dobrze siedemnaście, jak i trzydzieści.

Kajetan wiedział, że tak właśnie mógłby wyglądać i on sam. Umierać jako niewolnik na plantacji, pociągowe zwierzę przy rydwanie albo dostarczyciel krwi dla lęgni i czarnowodów. Mógł zostać zabity za jedno niepokorne spojrzenie, obronny gest, spóźnienie do pracy. Mógł zostać porwany z wioski w jedno z tych miejsc, o których dorośli szeptali, gdy myśleli, że dzieci już śpią.

Bo był stąd. Był niewolnikiem, który przypadkiem dotarł do bezpiecznej krainy. Jego przybrany ojciec, Robert, wściekał się zawsze, gdy to słyszał. A potem w nocy nie mógł spać, krążył po domu, zapalał światła, trzaskał drzwiami, czasem nawet palił papierosy. Kajetan wiedział dlaczego. To bezsilność. Dławiąca duszność, która cię ogarnia, gdy nagle uświadamiasz sobie, jak kruchy jest twój świat. Że płyniesz wątlą łódką niesioną na szczycie fali tsunami. Że sam jesteś bezpieczny i syty, ale że w tym samym czasie ludzie tacy jak ty są torturowani i zabijani. A ty nie możesz im pomóc i to cię wścieka. I wścieka cię też to, że o nich zapominasz, że zanurzasz się w swoją nirwanę drobnych spraw, błahych przyjemności, niegroźnych wyborów. Ale oni tam są - katowani, gwałceni, paleni żywcem. Gniją w górskich jaskiniach, dokąd uciekli, by umrzeć w zimnie

i wolności. Tłoczą się w obozach, bez wody, bez jedzenia, trapieni przez choroby i prześladowców. Tkwią w więziennych kazamatach, we własnej krwi i urynie, nasłuchując kroków na korytarzu. A ty nie możesz nic zrobić. Nawet jeśli chcesz. Bo naruszysz traktaty, bo narazisz świat na jeszcze straszniejszą wojnę, bo ktoś ważny z oprawcami robi interesy. Więc nie podejmujesz żadnych działań, a po pewnym czasie już o tym nawet nie myślisz.

Tak, Kajetan wiedział, co mężczy Roberta. Współczuł mu nawet, bo przecież go kochał. Było mu żal ojca, nawet kiedy wbrew jego woli porzucił służbę, gdy przestali się widywać i rozmawiać. Ale rozumiał go tylko w tej części, w której wściekłość wynikała z bezsilności, a nie z zapomnienia. Bo on nigdy nie zapomniał. O swojej matce, siostrze, starym i wrednym sołtysie, o innych brudnych i głodnych dzieciakach, z którymi spędzał kiedyś nieliczne wolne chwile. O tych wszystkich ludziach, których spaliła zemsta jegrów, gdy on, Kajetan, przypadkowy posiadacz Klucza Przejścia, został zabrany do Polski przez Roberta.

Mężczyzna jęknął cicho, wysunął lewe ramię spod policzka, głowa opadła na śpiwór. Nosem stuknął o ziemię i to go pewnie obudziło. Otworzył oczy, zamrugnął powiekami, jakby do końca nie rozumiejąc, gdzie jest i co się dzieje. Odruchowo spróbował się przekręcić, ale ból z ran na plecach powstrzymał go w pół ruchu, tak że zamarł, leżąc niemal na boku.

Kajetan wstał z ziemi, chrupnęła gałązka.

Mężczyzna, tym razem nie zważając na ból, poderwał się, próbując odwrócić się w stronę źródła dźwięku. Nie udało mu się, był za słaby. Na dodatek portki do reszty zsunęły mu się z bioder, zaplątując nogi.

Ponownie opadł na śpiwór, na kolana, wsparł się dłońmi o ziemię. Teraz dostrzegł Kajetana. Przez jego twarz przemknął skurcz strachu, zaraz też spuścił głowę w geście pokory.

- Litości... Litości, panie - powiedział gardłowym głosem, w którym brzmiało jedynie głębokie i czarne jak loch przerażenie. Dygotał z bólu.

Kajetan już był przy nim, kucnął, chwycił dłońmi za skronie. Wymamrotał zakłęcie uspokajające. Kciukami nakreślił na skórze symbole psychomasażu, łagodzące cierpienie.

- *Ruhe...* Cisza... - wyszeptał. - Jesteś bezpieczny. Uratowany.

Ciało mężczyzny wciąż drżało, ale podniósł głowę. Szarpnął ramionami, poderwał ręce tak niespodziewanie, że chwycił Kajetana za łydki, niemal przewracając. Ich spojrzenia spotkały się.

- Jesteś... - wychrypiał. Wargi miał opuchnięte, oczy przekrwione, blizny znaczyły jego twarz, ropne wrzody pokrywały cały prawy policzek. Brakowało mu kilku zębów, a z ust cuchnęło resztkami jedzenia i chorobą. - Jesteś aniołem? Jesteś Jezusem Chrystusem? Czy już zabierzesz mnie do nieba?

Znów jęknął z bólu, a potem podniósł się jeszcze mocniej, objął Kajetana, drapiąc palcami mundur na plecach, wbił mu twarz w pierś i zaczął szlochać.

- Jestem z Polski. Przyjechałem z Polski. Żyjesz. Nie umarłeś. Jestem z Polski. - Kajetan kołysał go w ramionach niczym małe dziecko, starając się nie dotknąć małych ran na plecach, które ponownie zaczęły krwawić.

Las wokół szumiał cicho, a woda i soki tłoczone przez pnie drzew tworzyły wokół mężczyzny bezpieczny klosz, który zdawał się oddzielać ich od całego świata.

- Mam na imię Kajetan - słowa wypowiadał powoli, starając się wyraźnie artykułować głoski. Mówił po niemiecku płynnie, choć nie władał zbyt bogatym słownictwem, oczywiście poza tą częścią mowy Goethego, która dotyczyła łązenia po lesie, prowadzenia działań wojennych i prostych, ale sprośnych żołnierskich dowcipów. Kiedy jeszcze służył w wojsku, miał w oddziale kilku niemieckich kolegów. Potem gdy zdecydował się na swoją włóczęgę geografa, bardzo często współdziałał z emigrantami z Niemiec, którzy osiedli na Kresach, pracowali w przygranicznych stanicach lub służyli w komandach uderzeniowych wdzierających się w głąb terytorium barlogów. Mieszkańcy ziem leżących na zachód od granic Królestwa Polskiego, w pasie wyznaczonym rzekami kiedyś nazywanymi Odrą i Łabą, stanowili mieszaninę Niemców, Duńczyków, Czechów i Polaków i mówili wiązanką tych wszystkich języków, zniekształconą na dodatek akcentem i rytmem mowy jegrów. Ta zaś stanowiła dziwaczną zbitkę niemieckiego i angielskiego, przekształconą tonalnie, niemal nie do wymówienia przez człowieka. Im dalej na zachód, tym rzadziej słychać było polskie słowa, a częściej niemieckie, z coraz głębszym i chrzęszczącym akcentem Czarnych.

Uratowany mężczyzna posługiwał się ubogim, ale klasycznym dolnoniemieckim z dawnej Brandenburgii. Wciąż bał się Kajetana, ale wyraźnie chciał zapanować nad strachem. Przez ostatnie dwa miesiące, kiedy ciągnął czarny powóz, jego umysł obrósł błoną otępienia i niewrażliwości. To był jedyny sposób na przetrwanie. Teraz próbował wydobyć się z tego stanu, odzyskać siły i zdolność rozumowania. Miał dziewiętnaście lat.

- Johan. Tak nazwała mnie matka - to były jego pierwsze słowa po tym, jak zrozumiał, że jeszcze nie umarł. - Wołają na mnie Duży.

- Nie wyglądasz na dużego.

- Ha. - Twarz chłopaka rozpogodziła się, w chudych policzkach pojawiły się zakłębnięcia, a usta ułożyły w coś na kształt uśmiechu. - Ale mam dużego, panie.

Kontakt nawiązany, pomyślał Kajetan i też się uśmiechnął.

- Gratuluję serdecznie! Powtarzam jeszcze raz, nie umarłeś, nie jesteś w niebie i nie musisz do mnie mówić „panie”. Przybyłem ze wschodu, z Polski. Uratowałem ci życie, a teraz chcę, żebyś opowiedział mi o swojej wsi i o tym, co tu się dzieje.

- A... a... panowie? Władcy? - Twarz chłopaka znowu stężała. - Jeśli oni...

- Nie bój się, jesteś pod moją opieką. Zaleczyłem twoje rany. Wyciągnąłem magię z twojego ciała. Pokonałem moc barlogów.

Johan sapnął na dźwięk imienia Czarnych, wykonał ruch, jakby chciał odsunąć się od Kajetana jak najdalej. Zdołał jednak powstrzymać strach.

- Zuch - pochwalił go Kajetan. - Panujesz nad sobą. Jestem pod wrażeniem.

- A więc to prawda... Prawda... - Emocje Johana zmieniały się szybko jak u dziecka. - To, co opowiadali starsi. Wy tam jesteście... Wy istniejecie... Wierzyłem, zawsze wierzyłem.

- Gdzie mieszkasz?

- Moja wieś nazywa się Hochort. Leży... - zawahał się, zastanowił. Po chwili pokręcił głową. - Nie jestem pewien. Nie wiem, gdzie jestem. Jaki jest miesiąc teraz?

- Lipiec. Piętnasty.

- To znaczy, taak, to znaczy, że ciągnąłem powóz panów... powóz pa... powóz - pominięcie słowa „panów” przyszło mu z wyraźnym trudem - prawie sześć tygodni. Do diabła, sześć tygodni! Mój wuj, Franz, umarł po trzech, a Helmut, Helmut upadł po dwóch tygodniach. A ja żyję po sześciu. A ja żyję! Taaak, naprawdę mam dużego! - teraz w głosie Johana pobrzmiwała nawet lekka nutka triumfu.

- Bo cię uratowałem! - Kajetan zdecydował przerwać te wywody. Chyba zrobił to trochę za ostro, bo chłopak zamilkł nagle, z sykiem wciągnął powietrze, znowu się spał. - No już, nie chciałem cię przestraszyć. Żyjesz, bo ci pomogłem. Na pewno jesteś silniejszy niż wielu innych i na pewno jesteś dzielny. Widzę to. Ale teraz skup się. Gdzie jest twoja wioska?

- Nie jestem pewien, już mówiłem. Powóz krąży, jedzie wokół granicy Marchii. Pamiętam tylko drogę. Pamiętam plecy innych ludzi, drzewa i...

Nagle zeszła z niego cała hardość, załkał, skulił się, objął głowę ramionami, kołysał się i jęczał. Zachowywał się jak zagłodzony szympanś siedzący w zbyt ciasnej cyrkowej klatce.

- Uspokój się! - powiedział Kajetan trochę zbyt rozdrażnionym tonem. - Uspokój! Wiem, że to było straszne, ale teraz jesteś już bezpieczny. Rozumiesz? Bezpieczny!

Cisza, tylko chlupanie dochodzące zza szczelnej zasłony ramion. I głos, uporządkowany, pewny.

- Bezpieczny? Przybyłeś tu, panie, ze wschodu. Z krainy jasności. Z ziemi elfów. Z Polski. Może tam byłeś bezpieczny. Tu nie jesteś. Tu nikt nie jest bezpieczny. Tu ludzie umierają na progach swoich domów. Tu matki widzą, jak odcina się głowy ich synom. Tu córki porywane są do zamków, by stać się strawą pan... jegrów.

- Wiem o tym, Johan - Kajetan spokojnie wymawiał słowa. - Wiem. Opowiem ci o sobie. Jestem stamtąd, ale i stąd. Mieszkałem w takiej wsi jak ty, po polskiej stronie. Mojego ojca zabili jegrzy. Moją matkę zabili jegrzy. Moją siostrę zabił stwór z ich świata. Więc wiem. Od lat wędruję po Kresach, od lat wkraczam na ziemię barlogów. Więc wiem. Znam ich smród. Słyszałem ich pisk. Walczyłem z nimi i zabijałem ich. Ja.

- Ty zabijałeś je... jegrów.

- Ja - powtórzył Kajetan, ale wcale nie był pewien, czy tak naprawdę chce powiedzieć po niemiecku „tak”, czy po polsku „ja”. - *Ich* - dodał na wszelki wypadek po niemiecku.

- Moja wieś leży u stóp góry. To ważna wieś. Mamy graczy. Mamy grę. Mamy Smoka. Góra to dom Smoka.

- Dom smoka?

- Tak, tak... nawet jegrzy tam nie chodzą. Nawet oni. Nie zbliżają się do Smoka.

- Daleko jest twoja wieś?

- Nie wiem... nie umiem... Ale może... dwa, może trzy dni drogi stąd. To duża wieś...

- Opowiesz mi o tym później. - Kajetan zrozumiał, że być może, ratując chłopaka wbrew procedurom o interwencji, zyskał bezcenny kontakt. O ile ten cały „dom smoka” to miejsce, o którym mówi sztab... Szybko dokonał przeliczeń. W języku chłopów „dzień drogi” oznaczało około dwudziestu kilometrów. Tak więc cel wyprawy był już całkiem blisko, a na dodatek ma teraz przewodnika i potencjalne źródło informacji. - Pamiętasz, ile czasu dziennie ciągnęliście powóz?

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć. Spaliśmy w uprzęży, na drodze. Zawsze obok takiego kamiennego słupka. Tam też zawsze rano znajdowaliśmy miskę z jedzeniem. Wsie leżące najbliżej granicy mają obowiązek dostarczać jedzenie zaprzęgom. Miski zawsze stały koło nas, ale ja nigdy nie widziałem ludzi, którzy je przynosili. Pewnie robili to w nocy. Potem ciągnęliśmy cały dzień. Myślę... ale nie jestem pewien, że kończyliśmy przed zmrokiem.

- Nie jesteś pewien?

- Kiedy idziesz w zaprzęgu, twoje oczy patrzą inaczej. Widzisz strażników drogi. I próchniejące serca zabitych przez powóz drzew, konających w okolicznym lesie. Wszystko jest szare. Zepsute. Nawet niebo. Nie wiesz, kiedy tak naprawdę wstaje dzień. I myślisz... myślisz, że nie ma już dni.

- Mieliście jakieś postoje?

- Nie, nie pamiętam. Wiem, że sikałem w marszu, rzygałem, a mokre gówno płynęło mi po nogach. Nie czułem zapachu lasu, ale ten smród pamiętam.

- Ja też. Umyłem cię, kiedy byłeś nieprzytomny i przepłukałem twoje ubranie.

- Rozbierałeś mnie, panie? - Johan podniósł wzrok, po raz pierwszy spojrzał prosto w twarz Kajetana. Bardzo uważnie.

- Musiałem. Opatrywałem ci rany. I myłem cię. Ale nadal śmierdzisz. Teraz możesz sam się wykapać, tu niedaleko jest rzeczka.

- Rozumiem. Tak, rozumiem, panie.

- Nic, chłopcze, nie rozumiesz. Nie oglądałem twojego dużego ptaka. Nie interesuje mnie twój ptak ani żaden inny. Lubię tylko kobiety.

- Wszyscy lubimy kobiety. Kobiety są jak owoce. Są słodkie. Są soczyste. Są okrągłe.

- No, no, Johan, ty poeta jesteś. Wiesz, kto to taki poeta? Tak? No to dobrze. Tylko uważaj, bo jakbyś taki tekst opowiedział w Warszawie, tobyś szybko stracił resztę zębów.

- Macie złe kobiety? Służą je... jegrom? Nasze kobiety lubią, kiedy im tak mówię. Wiedzą, że mam dużego. - Johan rozmarzył się.

- No, niektóre to jakby rzeczywiście im służyły - mruknął Kajetan i przez jego głowę szybko przemknęło kilka myśli. Pierwsza, że dawno nie był z kobietą i wkrótce znajdzie się w takiej desperacji, że gotów będzie pewnie tak jak Johan niezbyt domytym i uzębionym wieśniaczkom opowiadać teksty o ich krągłości i słodkości. Druga, że wieś Johana nie jest jeszcze w pełni kontrolowana przez Czarnych, bo istnieją tu przestrzenie wolności, choćby tylko ograniczone do spraw seksualnych. I trzecia, że dwaj faceci, choćby dzielił ich status pochodzenia i wiedzy, zawsze się dogadają, jeśli w odpowiednim momencie zaczną dowcipkować o dziewczynach i seksie.

- I... i żyją wśród was? - Johan szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- Żartowałem. To był żart. W Polsce nie ma Czarnych ani ich sług.

- Aha.

- Znajdziesz drogę do domu?

- Nie wiem, spróbuję.

- No dobra. Jeśli od twojej wsi są trzy dni marszu, to znaczy, że mamy przed sobą sześćdziesiąt kilometrów. Oczywiście w przybliżeniu...

- Co to znaczy przybliżenie?

- Że moje rachunki oparte są na bardzo nieprecyzyjnych założeniach. „Dzień drogi” to pojęcie względne. Więc tak naprawdę moje rachunki nie dadzą dokładnego wyniku.

- To po co liczysz, panie?

- Dobrze pytanie. Z przyzwyczajenia. I żeby uzyskać to „przybliżenie”. Rozumiesz?

- Nie. Nie za bardzo.

- I nie musisz rozumieć.

- To co mam robić?

- Masz wyzdrowieć. Wspólnie zorientujemy się, gdzie jesteśmy, znajdziemy jakieś miejsce, które znasz. Będziesz wtedy w stanie doprowadzić mnie do swojej wsi?

- Tak. Byłem myśliwym. Podróżowałem po Marchii, nawet, panie, nawet podszedłem pod Górę Smoka, tak przekroczyłem granicę. Niedużo, o tyle, co do tamtego drzewa. - Johan wskazał palcem odległą o jakieś dwadzieścia metrów sosnę.

- A za co się skazali? - spytał Kajetan, choć już się domyślał.

- Za to, właśnie za to.

- A inni?

- Nie ukłonili się dostatecznie nisko. Źle spojrzeli. Różnie. Georg, ten bez rąk, próbował osłonić swoją żonę przed chłostą. A sołtysi bili ją, bo się spóźniła na pole, kwadrans może. A spóźniła się, bo jej dziecko zachorowało i dłużej musiała je karmić piersią. Przywlekli ją z pola do wsi, zebrali nas wszystkich. Sołtysi zaczęli chłostać, no to Georg padł na kolana i zaczął prosić panów o litość. Płakał. Rzucił się do stóp jegra i dotknął dłońmi jego butów, błagając o łaskę dla żony. A przecież jest powiedziane: „Nie będziesz dotykał Pana”. Więc mu te ręce ucięli, a żonę i wszystkie dzieci zabili i zabrali na zamek. Pewnie na ucztę.

Kajetan nie dał po sobie poznać, że historia wstrząsnęła nim. Nie tyle treścią, zbyt wiele podobnych opowieści słyszał. Raczej stylem, w jakim Johan opowiadał. Mówił spokojnie, beznamiętnie, relacjonował fakty, unikał komentarzy. W jego świecie nie wydarzyło się jednak nic nadzwyczajnego i szczególnie okrutnego. Ot, przypadek, jakich wiele.

- Pomożesz nam, panie? Uratujesz nas? Przyjdą po nas elfy?

- Czemu sami nie uciekacie na wschód?

- Byli tacy, co próbowali. Kto wie, może nawet komuś się udało. Ale ja o takim nie słyszałem.

Wszystkich złapali, wszystkich. Mogę ci opowiedzieć, co potem robią z nimi, ich rodzinami i

sąsiadami. Chcesz, panie?

- Nie, nie teraz. Później. Kiedy indziej.

- Jak tam sobie życzysz, panie. - Teraz w głosie Johana Kajetan wyczuł jeszcze coś, jakby powątpiewanie, a może nawet drwinę. „Może ty, wielki panie, jesteś od nas. Może i widziałeś to, co my mamy na co dzień. Ale zapomniałeś o tym, już przywykłeś do swojego wspaniałego życia w tej Polsce”.

Jestem przewrażliwiony, pomyślał Kajetan. Ten chłopak nie jest nawet w stanie formułować takich refleksji. Po prostu buduję projekcje.

- Jak nazywa się wasz zamek?

- W naszej mowie po prostu Zamek. Jegrzy mówią na niego Uylm. Nie wiem, co to znaczy.

- To znaczy Kamień. Po prostu. - Kajetan zamyślił się. Nigdy wcześniej nie słyszał o tej bazie Czarnych.

- I z kamienia zbudowana ta twierdza. Tam wożą skarby od Smoka. To wielki Zamek. Nie widziałeś go?

- Tego nie, ale byłem pod murami wielu innych siedzib jegrów. Mam je na mapie, o tu, widzisz?

- Kajetan wyciągnął z plecaka mapę wydrukowaną na plastikowym arkuszu.

Chłopak był wyraźnie zaskoczony.

- Panie, nie wiedziałem... Stałeś pod Zamkami? I nie złapali cię? Ale ze mnie głupek, no głupi, głupi, głupek. Przecież ty jesteś magiem, panie, bratem elfów. Panie, ja...

- Tylko że geografia się zmienia, rozumiesz, Johan? Świat nie jest stabilny. Zamki, wsie i mosty pływają po nim jak kawałki drzewa po powierzchni jeziora, przesuwane czasem w jedną, czasem w drugą stronę. Zależnie od wiatru, podwodnych prądów, woli wodnych stworzeń. Dlatego wiem mniej więcej, gdzie stoją różne Zamki, ale niezbyt dokładnie. Znam wiele dróg, ale pewnie niektóre już się zdążyły powyginać.

- Tak, wiem, panie, wiem, że tak jest, że jegrzy - zaczął wymawiać to słowo bez żadnego oporu - nigdy nie gubią drogi, ale ludzie nie odnajdują ścieżek. Starzy mówią, że to Władcy płaczą świat, żebyśmy im nie uciekali. Ale nie wiem, czy to prawda.

- Nieprawda. To efekt najazdu i wojny. Magia zniszczyła fundament Europy, naruszyła ośnowę naszego świata. Jakby roztopiła lód, zamieniła go w płynną breję.

- Albo jak miód - Johan pochwalił się, że rozumie.

- Tak, jak miód. Tylko że to mniej słodkie. I właśnie dlatego, Johan, nawet gdy idę w jakieś miejsce, muszę określić położenie najważniejszych obiektów, oszacować odległości, sprawdzić, gdzie stoją strażnice, a gdzie znajdują się pułapki. Rozumiesz, Johan? Opowiesz mi o Hochort, smoku i grze?

- Tak, panie. I chętnie ci pomogę. Paniepolak?

- Tak?

- Czy planujesz dziś jeszcze jakiś posiłek? Ja i mój duży ptak jesteśmy bardzo głodni.

* - Mówili o tobie w radiu - powiedziała Łucja, kiedy już się usadowiła przy stoliku. Cięń

parasola padał na jej twarz, ale w materiale musiała być dziura, bo na czole siostry świeciła jasna owalna plama słońca.

Jakby ktoś namierzał ją świetlnym celownikiem, przemknęło Robertowi przez myśl.

- O mnie? W radiu? Czyżbym wygrał w lotto?

- Nie, mój drogi, mówili o twoich ostatnich wyczynach, oczywiście incognito. - Kiedy spojrzął na zegarek, dodała: - Wiesz, Aniela się często spóźnia, ale nie przejmuj się tym, to naprawdę bardzo miła osoba.

- Siostrzyczko, gdyby spóźnianie kobiet miało mi przeszkadzać, i my nie widywalibyśmy się od lat. Obiecałaś mi jej zdjęcie.

- Ha... - zawahała się, bo w tym momencie podszedł do nich kelner. - Cztery kulki lodów proszę, śmietankową, toffi i dwie czekoladowe. I kawę cappuccino. Czuję - zwróciła się do Roberta - że zrobiłam dziś dobry uczynek i zasłużyłam na słodkości.

- Co dla pana? - Kelner pochylił się ku Robertowi, miał koszulę rozpiętą o jeden guzik za dużo, mignęła włochata klatka piersiowa.

- To samo, tylko kawa espresso i zamiast lodów szarlotka.

- To rzeczywiście to samo - bąknął kelner, zachowując grzeczny ton, i odszedł.

- Rzeczywiście... - Łucja uśmiechnęła się samymi oczami.

- Zauważyłem - zmienił temat - że zawsze, jak widzisz młodego, włochatego kelnera, zamawiasz więcej słodczy niż zwykle. Libido sprzęga ci się z żołądkiem, siostrzyczko.

- Tak, tak... - mruknęła, wygodniej rozsiadając się w fotelu. Teraz świetlisty punkt padał na jej długą szyję. Przejechała dłonią po karku, poprawiając włosy.

- Swatasz mnie z koleżankami - zaśmiał się - a sama, jak widzę, powinnaś...

- Dobra, dobra - przerwała mu obcesowo i jak to miała w zwyczaju, zmieniła temat: - Popatrz, trojaczki!

Odruchowo odwrócił głowę. Mama z trójką niemal identycznych dzieci nierozróżnialnych płciowo - choć wrażenie to mogło wziąć się z tego, że ubrane były tak samo - ostrożnie podchodziła do wygrzewającego się w słońcu pawia. Dzieciaki aż przebierały nogami, żeby dopaść ptaka i, kto wie, nawet wyrwać mu parę piór z ogona. Matka popełniła błąd, bo dała im podejść za blisko. W końcu nie utrzymała małych łowców i dzieciaki skoczyły ku ptakowi. Ten ocknął się wreszcie z drzemki, zaskrzeczał, matka krzyknęła coś jeszcze i w tej chwili paw dał dyla ku najbliższemu krzakom. Jeden maluch się wyrwał, drugi pogonił za pawiem, trzeci wił się w uścisku matki.

- Uwielbiam Łazienki - powiedziała Łucja. - Po prostu uwielbiam.

- Co z tym radiem? - Robertowi przypomniał się początek rozmowy.

- Była relacja z mszy za Ojczyznę, od Świętego Augustyna. Czy wiesz, że tam przychodzi z pięćset osób co tydzień?

- Nie tak dużo, moim zdaniem, to ponoć najpopularniejszy kościół starokatolicki w Warszawie.

- I to nie są same stare babcie, mają sporo młodzieży.

- Babcie nie są groźne. Młodzież jest groźna. Na szczęście niezbyt liczna.

- Streszczali kazanie, mówili o wydarzeniach w Kawęczynie. Jak to sługus elfów zbezczescił świątynię, strzelał do niewinnych ludzi i rozwalił tabernakulum.

- Noo... z tym ostatnim to przesadzili.

- I że przeklinają ciebie na wieki wieków amen.

- Nie mają mocy. Zostali ekskomunikowani.

- Ale działają legalnie.

- Bo to ułatwia kontrolę nad nimi. Myślę, że... - zaczął, ale zorientował się, że przestała go słuchać, tylko oczami wodziła za czymś za jego plecami. Na twarz Łucji wypełził uśmiech. No tak, włochaty kelner.

- Lody. Cappuccino dla pani i to samo, czyli espresso, dla pana. - Sukinsyn, oczywiście nie dopiął tego guzika i jeszcze kpił z Roberta w blasku dnia, nie mógł jednak wiedzieć, że Łucja jest jego siostrą.

- No, pięknie - warknął po chwili. - Co za gnojek...

- Nie wyrażaj się, braciszku. I nie bądź zazdrosny o kelnera, proszę. Coś mi zacząłeś opowiadać.

- Chciałem powiedzieć, że... - znów musiał przerwać, bo gruby facet z jeszcze tłustszą żoną postanowili przepchać się do stolika obok, oczywiście za plecami Roberta. Dostał w czaszkę rękawem marynarki, a w ramię całkiem ostrym okuciem torebki, nie usłyszawszy, rzecz jasna, żadnych przeprosin. Zamilkł więc ostatecznie i zaczął w milczeniu wykańczać szarlotkę, tylko od czasu do czasu podnosząc wzrok na uśmiechniętą i najwyraźniej zadowoloną z życia siostrę. Przesunęła się z krzesłem, więc świetlny celownik mierzył teraz w jej prawą pierś - na ile Robert był w stanie oceniać rodzoną siostrę - całkiem solidną i kształtną.

Aniela spóźniła się dwadzieścia minut. Nim się obejrzał, już wyściskała Łucję. Próbował się poderwać, ale siedzący za plecami grubas skutecznie zablokował jego fotel, więc klapnął z powrotem na siedzisko, waląc przy okazji biodrem o poręcz. Ostatkiem sił opanował się, by nie zakląć.

- Przepraszam, ja... - zaczął, podnosząc wzrok na stojącą nad nim Anielę. Oślepiło go słońce, ale nim przymknął oczy, zdołał dostrzec zgrabną figurę i ładną, może nieco zbyt pulchną twarz okoloną długimi włosami. Wysunęła do niego rękę, wyciągnął swoją nieco po omacku, więc nie trafił.

- Nigdy nie nosi okularów słonecznych. I ogólnie jest uparty - głos Łucji brzmiał spokojnie, ale podrygiwały w nim kpiące nutki.

- Lubię upartych. - Aniela sama złapała go za rękę, potrząsnęła lekko. Miała miłą dłoń, miękką, ale nie ciapowatą, skórę gładką, paznokcie krótko przycięte i starannie pomalowane srebrnym lakierem. Usiadła. - Sama jestem uparta.

Tak, twarz też miała sympatyczną. Nie piękną może, ale ładną. Luźna koszula, biały T-shirt mocno opięty na piersiach. Mogła mieć trzydzieści pięć lat.

- Widzieliście klatę tego kelnera? - zapytała. - Powinien założyć golf, bo odechciewa się cokolwiek tu jeść.

Tak, Robert uśmiechnął się w myślach, to jednak może być miłe popołudnie.

*

- O tam, tam, paniepolak - Johan zaczął pokrzykiwać, pokazując palcem odległy cel. - Tam jest moja wioska.

Kajetan zatrzymał się i podniósł do oczu lornetkę. Dostroił ostrość. Rzeczywiście, Johan nie mylił się. W oddali, daleko za żółto-zielonymi plamami pól, na tle trójkątnego cienia góry przycupnęła ludzka osada. Była całkiem spora - składała się z ponad dwudziestu stojących blisko siebie domów i kilku innych, rozrzuconych pośród pól w nieco większej odległości. Większość z tych budynków to domostwa typowe dla powojennych obszarów neorolniczych. Wykorzystujące ocalałe fragmenty budowli starego świata, stawiane z drewna, kryte słomianymi dachami, czasem wzbogacone o jakieś egzotyczne elementy. W czasie swoich podróży Kajetan natykał się na najdziwniejsze konstrukcje - wielopiętrowe twierdze z karoserii starych samochodów, baraki z dachami pokrytymi workami na śmieci czy szalasy zestawione z przydrożnych billboardów.

I w rodzinnej wsi Johana dostrzegł budynki niepasujące do reszty. Kiedy przyjrzał im się uważniej, zrozumiał, że są to po prostu ostatnie piętra wieżowców, których niższe poziomy przed laty zanurzyły się w rozmięklej ziemi.

- Macie we wsi budynki z dawnych czasów?

- Tak, są najlepsze, najcieplejsze. Mieszkają w nich mastermindy.

- Jacy mastermindy?

- Gracze. Dziadkowie. Strażnicy Smoka.

- Aha, strażnicy smoka... - To było coś nowego. - Jak wygląda ten smok?

- Nie wiem.

- Nie widziałeś go?

- Ja? - w głosie Johana znów pojawił się strach. - Na ból mi to!

- A kto go widział?

- A dlaczego ktoś w ogóle miałby na niego patrzeć, paniepolak?

Kajetan musiał w duchu przyznać, że odpowiedzi Johana zawierają elementy logiki. Rzeczywiście - po co właściwie patrzeć na smoki?

- No to skąd wiesz o tym smoku?

- Od Strażników Smoka.

- To może chociaż oni go widzieli?

- Nie, oni go pilnują.

- Przed czym?

- Żeby go nikt nie zobaczył.

Kajetan odsunął od oczu lornetkę. Spojrzał na stojącego obok chłopaka.

Może tak po prostu kopnąć go w dupę? - pomyślał.

- Co robi smok? - spytał jednak powoli.

- Czuwa i gra. I pilnuje. I... on... jego... - Johan zawiesił głos, twarz znów przeciął mu skurcz strachu, wyraźnie walczył ze sobą, by dokończyć zdanie.

- Robi coś? - próbował go ośmielić Kajetan.

- Jego... Jego boją się jegrzy! - prawie wykrzyczał chłopak, przełamując wewnętrzne opory. Jegrzy czegoś się bali. Władcy jego ciała, jego życia, jego umysłu czuli strach! I on to powiedział, przełamując lata tresury, poniżenia i wiary w potęgę czarnych panów.

Bardzo ciekawe.

- To smok nie został przysłany przez jegrów?

- Nie wiem. Nie wiem. Spytaj mastermindów, paniepolak. Są starzy, są mądrzy.

- Kiedy pojawił się smok?

- Nie wiem. Kiedy się urodziłem, już był. Gracze już chodzili do lasu, by zrobić Ruch - to ostatnie słowo Johan wypowiedział wolniej, podnosząc głos. Musiało wiele znaczyć. - Niektórzy wracali. Inni nie.

- Co to jest „ruch”? - Kajetan przekonał się, że zdoła od niego wydobyć więcej informacji tylko wtedy, gdy będzie zadawał elementarnie proste pytania.

- Nie wiem. Mastermindy wiedzą. Ich spytaj.

- Nie mogę wejść do twojej wsi. Nikt nie może o mnie wiedzieć.

- Chodź, paniepolak, chodź. Uratowałeś mi życie. - Głos Johana znów nabrał oficjalnych tonów, skupienie na twarzy świadczyło, że chłopak próbuje wykorzystać całą swoją erudycję i wyobrażenie o dostojnej mowie. - Mój ojciec da ci jadło. Moja matka da ci napój. Moja siostra da ci stosunek seksualny. Pójdziemy do graczy. Może odpowiedzą na twoje pytania. Zadajesz bardzo dużo pytań.

- Jegrzy wyczują moją obecność.

- U nas nie ma jegrów. Nie ma. Czasem tylko nas nawiedzają. Często widzimy ich w oddali, jak objeżdżają nasze pola i patrolują granice ziemi Smoka. Składamy im ofiary i zawozimy zboże do Zamku. Czasem atakują nas, kiedy pracujemy na polu. Mnie złapali, bo polowałem daleko od domu. Ale do wsi nie wchodzi.

- Czy wiesz dlaczego?

- Oj, paniepolak, przecież mówiłem już - tym razem w głosie Johana pobrzmiało coś jakby łagodna i wyrozumiała nuta rozbawienia słabą pamięcią wybawiciela. - Nie wchodzi do wioski, bo w górach jest Smok.

- Wiesz co, Johan, jednak zatrzymamy się tu na wieczór. Musisz mi jeszcze raz, powoli i po kolei opowiedzieć wszystko, co wiesz o tym smoku, graczach i jegrach.

- Oczywiście, paniepolak, powiem, czemu nie.

I opowiedział. Nie wszystko w tej historii było dla Kajetana jasne, oprócz wyjaśnień pojawiły się nowe zagadki, ale wreszcie uzyskał pewien obraz tego, co dzieje się w małej, tak ważnej dla barlogów i elfów wsi Hochort. W jej miejscu kiedyś znajdowało się małe niemieckie miasteczko, ale

w czasie Zaćmienia okoliczne tereny zostały całkowicie zniszczone przez najeźdźców. Wtedy też na dawnej równinie wyrosła góra. Nikt nie wie, kiedy dokładnie pojawił się Smok, ale było to dawno, w czasach tuż przed narodzinami ojca Johana, co dało się przeliczyć na jakieś trzydzieści pięć lat. Czyli - jak skonstatował Kajetan - mniej więcej w czasie Zaćmienia albo tuż po nim. Początkowo niewielu wiedziało o jego istnieniu, ludzie szli do lasu i znikali, ale w tym nie ma nic nadzwyczajnego ani w tamtych, ani w tych czasach, Ludzie wszak znikają. Porywają ich jegrzy, leśne stwory, magiczne pola. Czasem odnajduje się poszarpane ciała, czasem tylko szczątki odzieży, ale zazwyczaj nie pozostaje po zaginionych żaden ślad. Prędko też i ich imiona czas wypłukuje z ludzkiej pamięci. Trwający na granicy biologicznego przetrwania mieszkańcy skolonizowanych przez barlogi terenów żyją krótko, szybko płodzą nowe dzieci, nie myślą o przyszłości i przeszłości. Liczy się „teraz” i „dziś”, no, może jeszcze „jutro”. Nie planują długoterminowo, bo wszelkie plany rozbijane są przez rzeczywistość, a wydarzenia sprzed ledwie dekady stają się legendami.

Więc - ludzie znikali. Ale kilku powróciło z lasu po wielu, wielu dniach. Byli chorzy, mówili bez składu, w rękach ściskali małe kolorowe kamienie. „Opętani” - Johan podsumował tę część opowieści jednym słowem. Nakazali grać. Nakazali liczyć.

Nikt nie wiedział, o co im chodzi, szybko też zameldowano o wszystkim jegrom. Opętani mogli stanowić zagrożenie dla społeczności, trzeba ich było wydać. I wtedy do wioski zjechało wielu, bardzo wielu jegrów. „Tysiące” - powiedział Johan, ale Kajetan nie podejrzewał go o posiadanie precyzyjnych danych. Tysiące - znaczyło dużo, bardzo dużo.

Ale to nie koniec. Kiedy przerażonym ludziom wydawało się, że już nic strasniejszego ich nie może spotkać, pojawiły się istoty od jegrów potężniejsze. Ich panowie, bogowie tego świata - barlogi. Nikt z ludzi ich nie widział, wszystkich mieszkańców spędzono do jednej stodoły, gdzie przerażeni czekali na swój los. W niej, podczas wielu tygodni głodu, na stercie zgromadzonej w sąsiedku słomy urodził się ojciec Johana. Matka zmarła przy porodzie. Prawdopodobnie została zjedzona.

Przez dziurawe drewniane ściany można było obserwować to, co dzieje się na zewnątrz. Dwóch chłopaków - ich imiona się w opowieści nie zachowały - spróbowało tego. Z miejsca oślepli, a potem skonali w straszliwych męczarniach. Tego, co stało się z ich ciałami, Johan nie wiedział, ale miał pewne podejrzenia... Kajetan też.

Legenda mówi, że Czarni postanowili się ulitować nad ludźmi i darowali im życie. Nakazali wrócić do wsi, zbudować więcej domów na przyjęcie obcych i wykonywać wszelkie polecenia opętanych, którzy ku zdziwieniu pozostałych wieśniaków również przeżyli. Nazwani zostali - nie wiedzieć kiedy i przez kogo - mastermindami. Jegrzy praktycznie wycofali się ze wsi. Kontrolowali ją, czasem porywali ludzi, organizowali pokazowe egzekucje, czyli sygnowali swą władzę, tak jak wszędzie w dominium barlogów. Ale - nie robili pogromów. I przywozili dzieci.

Czasem pojedynczo, czasem małymi grupkami, kilkadziesiąt rocznie. Miały po cztery, pięć lat, były głodne, obite, naznaczone magicznymi piętnami, wypalonymi w ich skórze wrzącym lodem.

Śmiertelnie przerażone. Żywe. Oddawano je pod opiekę mastermindów. Cała wieś pracowała na utrzymanie i wyżywienie tej gromady, dostarczała jej ubrań, opału, nawet wody z rzeki. Oni mieli tylko grać.

Nikt nie wiedział, jak wygląda gra. Czasem któryś z uczniów wynosił na dwór kilka kolorowych kamyczków.

Jeśli ktoś to przyuważył, natychmiast zawiadamiał nauczycieli. Brak reakcji można było przypłacić - jak zresztą każde przewinienie wobec jegierskich praw - życiem. Oczywiście nie dało się wszystkiego utrzymać w tajemnicy, więc Johan wiedział, że w grze chodzi o układanie kolorowych kamyczków na planszy, a potem przesuwanie ich wzdłuż linii, tak by budować specjalne układy pionów. Nie chciał znać dalszych szczegółów. Nie potrzebował ich. Gdyby ktoś próbował wprowadzić go w tajniki gry, natychmiast doniósłby o tym przywódcom wioski albo samym mastermindom. „A może nie - zastanawiał się Johan na głos - bo gdybym im powiedział, to oni też by mnie mogli zabić...” Kajetan nie pytał za co - bo wiedział. Jegrzy karali nie tylko tych, którzy łamią ich kodeksy. Często zabijali nawet i tych, którzy tylko wiedzieli, że ktoś chciał zwieść jegierskie prawo. Świadomość buntu mogła bowiem w umyśle posłusznego dotąd niewolnika niebezpiecznie zakiełkować, wzrosnąć w rebelię własną.

Wielu uczniów umiera, z głodu i bicia, ale także dlatego, że nie wytrzymuje rytuałów. Ci, którzy przeżywają, idą do Smoka. W las, w góry, tam, gdzie jest jego królestwo, nieodwiedzane nawet przez Czarnych.

„Jegrzy boją się smoka?” - spytał Kajetan. Johana zatkało. „Nie, ależ skąd, paniepolak, jegrzy niczego się przecież nie boją, są najodważniejszymi i najokrutniejszymi panami świata, oni po prostu pilnują Smoka przed ludźmi i strzegą ludzi przed Smokiem”.

Więc uczniowie idą, jeden miesięcznie, czasem dwóch. Zazwyczaj nie wracają. Dobrze. To znak, że zrobili mądry ruch, że w partii rozgrywanej ze Smokiem wykonali swoje zadanie.

Niektórzy wracają. Oszaleli z rozpacz, z pomieszanymi umysłami, przebarwionymi oczami, zniekształceniami twarzy i dłoni. Gorączka trawi ich dniami i nocami, wielu umiera. Niektórzy przeżywają i stają się nowymi mastermindami, nauczycielami dzieci.

Jegrzy też coś spod góry wywożą. Transportują to najpierw do Zamku, a potem dalej na zachód.

- Co to jest?

- A na ból mi to wiedzieć, paniepolak?! Nie warto wiedzieć.

- No dobrze, a co dzieje się z tymi, którzy nie wracają?

- Nie, paniepolak. Nie mam pojęcia. Na ból mi to! Nie chcę wiedzieć ani ja, ani mój ptak.

Kajetan dość długo obserwował z oddali wioskę, w końcu jednak wycofał się głębiej w las. Na tyle blisko osady, żeby dało się do niej dojść w godzinę. Dostatecznie daleko, by raczej nie kręcili się tu mieszkańcy. Johan doprowadził Kajetana do starego, na wpół zawalonego szałas, otoczonego gęstwą wysokich paproci. Jak twierdził, było to stare schronienie zbieraczy grzybów i ziół, nieużywane od bardzo dawna. Tu Kajetan mógł bezpiecznie odpocząć po trudach podróży i

dać odsapnąć Tytusowi. Wodę zaczerpnął z wąskiego i dość mętneho strumyczka wijącego się między drzewami. Johan zaproponował, że nocą pójdzie do wioski i przyniesie zapasy żywności. Zaoferował ponownie, że przyprowadzi siostrę, piękną i po prostu marzącą o bliskim spotkaniu z „panempolakiem”, ale Kajetan odmówił zdecydowanie i tak przekonująco, że aż sam się nie mógł nadziwić swoim aktorskim talentom. Bo do tej odmowy sam wcale nie był przekonany.

Potrzebował kilku godzin spokoju, nie tylko dla odpoczynku. Musiał wszystko poukładać sobie w głowie i zdecydować o dalszych działaniach. Osiągnął cel, dotarł w okolice, w które wysłała go Warszawa. W zasadzie mógłby zawrócić i zdać raport. Z drugiej strony wiedział, że droga powrotna zajmie mu dwa, trzy tygodnie, że następna, na pewno lepiej przygotowana wyprawa, dotrze tu nie wcześniej niż za kolejny miesiąc, o ile bez problemu znajdzie drogę. Nie, musi dowiedzieć się więcej, zweryfikować legendę Johana, zobaczyć, czym jest Smok i dlaczego jegrzy od lat karmią go małymi dziećmi.

I czego się boją? Bo to, co nie mieściło się w głowie przerażonego wieśniaka, Kajetanowi wydawało się niemal pewne. Jegrzy dali tubylcom wsi nieco więcej swobody, bo bali się Smoka. Albo zawarli z nim układ wtedy, przed dziesięcioleciami, gdy przerażeni ludzie przez tygodnie żyli na klepisku stodoły, gdy pili wodę odzyskiwaną z własnego moczu i jedli ciała swoich zmarłych. Tak, wtedy na zewnątrz musiały dziać się ciekawe rzeczy. Skoro same barlogi ruszyły się ze swych gniazd i przybyły tu, by badać, walczyć, a może negocjować. Co mogło powstrzymać Czarnych, Władców połowy Europy? Kto? I jak?

Przede wszystkim jednak potrzebował czasu na rozstawienie sprzętu. Dotarł do celu podróży, musiał więc rozmieścić znaczniki dla satelitów, swoistą antenę nadawczą, dzięki której jego raporty zdołają się przedrzeć przez Kurtyny i wskażą położenie tego czegoś, co Johan nazwał Smokiem.

- Paniepolak... - Johan przerwał rozważania Kajetana. - Czy mogę już iść? Słońce zaszło.

- Może jednak poczekaj do świtu, w nocy jegrzy mocniejsi.

- Ale w dzień więcej ludzkich oczu może mnie przyważyć, a wtedy jegrzy się o mnie dowiedzą na pewno. Teraz zaś coś mi mówi w moim ptaku, że ich tu nie ma w okolicy i przejdę do domu niezauważony. Tym bardziej że chata ojca stoi trochę na uboczu, przy glinie.

- A co twój ojciec z tej gliny lepi?

- Różnie, no, naczynia, talerze. Ale najlepsze to robi butelki magiczne, do wody.

- Jak to magiczne?

- Bo woda w nich zawsze chłodna jest, nawet w upały.

- A ty też umiesz talerze lepić, Johan?

- Umiem, paniepolak, a jakże! - w słowach chłopaka zabrzmiała prawdziwa duma. - Ale mnie inne zadania wyznaczyła wioska, zostałem myśliwym. A garncarzem będzie Peter, taki kulawy trochę.

W świecie jegrów dzieci nigdy nie dziedziczyły profesji rodziców, w osadach Marchii zazwyczaj także nie otrzymywały ich majątku. Im głębiej w terytorium barlogów, tym reguły bezspadkobierstwa były coraz surowsze. Dość często młodych ludzi po prostu przesiedlano. Ale

bywało i tak, że barlogi na ludzi przenosiły swój obyczaj potlaczu, w którym osobnik rozdzielał swe ciało i umysł wśród innych członków tej samej lęgni. Ludzkie dzieci musiały zabić rodziców i przejmowały ich majątek. W ten sposób pozbywano się starszych, mniej sprawnych ludzi i skutecznie rozbijano struktury społeczne.

Jeszcze dalej na zachodzie, w auschwitzopodobnych miastach Gehenny, w ośrodkach przemysłu i magii otoczonych dzielnicami baraków, w ogóle nie było rodzin. Dzieci odbierano matkom po kilku miesiącach, przez sześć lat poddawano okrutnej tresurze w ośrodkach wychowawczych i kierowano do pracy.

O ile prawdziwe były opowieści i legendy docierające do Polski - bowiem tak daleko na zachód, do dawnej Nadrenii i Francji, nie docierali nawet królewscy geografowie.

Tu, we Wschodniej Marchii władztwa barlogów, na ziemi bez przemysłu i stałej topografii, nie panował jeszcze ostateczny terror. Tu syn wciąż mógł znać swego ojca, a dziecko wbrew rozkazom wynosiło kolorowe kamyki poza próg swego domu.

- Paniepolak - spytał Johan dość przytomnie - skoro oni nas tu tak pilnują od lat, to czemu nie zbudowali w naszej wsi twierdzy? Dlaczego wciąż pozwalają nam żyć?

- Nie wiem. - Kajetan i to przecież musiał rozważyć. - Powodów może być kilka. Wymyślisz choć jeden?

- Nooo... - Chłopak rozdziawił usta ze zdziwienia, niepewny, czy przybysz z dalekiego świata kpi z niego, czy rzeczywiście jest ciekaw jego zdania. - No nie wiem, nie wiem... Ale może nie chcą drażnić Smoka, może... tak karmią go nami... a sami nie chcą go zaczepiać...

- Bardzo dobry pomysł, Johan. Nie wiem, czym naprawdę jest Smok, ale być może nie przyjaźni się z barlogami. Może nawet nie są dla niego groźni, ale po prostu zakłócają mu spokój i wtedy nie robi tego, co chcą, żeby robił.

- A co chcą?

- Tego też jeszcze nie wiem. Ale właśnie po to tu przyjechałem, żeby się dowiedzieć.

- Co, paniepolak? - nie zrozumiał Johan, bo ostatnie zdanie Kajetan wypowiedział po polsku.

- Pstro, Johan. Jakby tu zaczął się duży ruch, jakby zaczęli budować coś dużego, to my, ludzie ze wschodu, byśmy to szybciej odkryli. Przysłali tu szpiegów, może zaatakowali. A tak Czarni siedzieli sobie cichutko i robili swoje. Więc to jest jeszcze bardziej intrygujące.

- Ale i tak zauważyliście - słusznie stwierdził Johan.

- Bo my tam, chłopaku, w tej naszej wolnej Polsce, mamy bardzo dobry wzrok. No, pakuj się i ruszaj. Noc czarna jak aksamit.

- Jak co?

- Jak dziura w zadku.

- No, paniepolak, teraz rozumiem - powiedział Johan i poszedł.

Błąd. Kajetan popełnił błąd, o czym miał się przekonać już wkrótce.

*

Msza poprzedzająca wiec narodówki socjalistycznej dobiegała końca.

To było dziwne zgromadzenie - mniej więcej po połowie składające się ze starszych kobiet i młodych, ledwie pełnoletnich mężczyzn. Z daleka nie dawało się tego rozróżnić, bo członkowie obu grup nosili się podobnie. Długie włosy, luźne, obszernie białe koszule, wąskie, czarne dżinsowe spodnie. Dopiero gdy podeszło się bliżej, można było zauważyć drobne różnice. Babcie częściej nosiły na szyjach medaliony z symbolem organizacji - profile Lenina, Hitlera i Che, nad którymi unosiło się oko Saurona. Młodzieńcy mieli raczej krzyże, zawieszane na cienkich rzemykach, czasami z doczepionymi pacyfami. Kobiety, urodzone w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, przed Zaćmieniem, mogły jeszcze pamiętać życie bez magii, z opowieści rodziców czerpać mitologię historii. Oni przyszli na świat już po Wielkiej Wojnie. Konflikt dotyczył ich osobiście, widzieli wcielanych do wojska starszych kolegów, znali nazwiska zabitych krewnych, odczuwali wpływ militaryzacji kraju na codzienne życie. Jednak sami nie zaznali walki, nie musieli uciekać przed wrogiem, żyli w umiarkowanym dobrobycie, jaki swym obywatelom zapewniało Królestwo w czasie małej stabilizacji lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Teraz zgromadzili się na Agrykoli, przy połowym ołtarzu, a starokatolicki ksiądz z nieuznającego władzy papieskiej kościoła wymawiał ostatnie słowa mszy.

- Idźcie, ofiara spełniona!

- Bogu niech będą dzięki! - odmruczał tłum i w jednej chwili się zakłębiło. Trzech chłopaków przyskoczyło do połowego ołtarza, pomagając księdzu zwinąć obrus z postumentu, który okazał się betonowym stołem do ping-ponga. Nie czekając, aż wierni skończą śpiewać „Boże, coś Polskę”, jeden wskoczył na górę i głośno zagwizdał na palcach. Pieśń zgasła jak zdmuchnięta świeczka. Zapadła cisza.

- Polska dla Polaków! - wrzasnął młodzieniec, podnosząc ramię i układając palce w literę V.

- Ziemia dla ludzi! - odkrzyknął tłum, a głosy młodzieńców wcale nie przebiły się przez wrzask weteranek dziesiątek manif.

- Niech żyje biskup Sachrzewski! - padło nazwisko ekskomunikowanego hierarchy.

- Niech żyje prawdziwa wiara katolicka!

- Niech żyje socjalizm! - znów zaintonował lider.

- Niech żyje pokój! - usłyszał odpowiedź i uznał, że czas skończyć z afirmacją i że może już powiedzieć, kogo nie lubi.

- Precz z elfami!

- Precz z monarchią!

- Precz z fałszywym klerem!

- Precz z feudalizmem!

- Precz z wojną!

Magazynek okrzyków na chwilę się zaciął, tłumek zafalował, agitator rozejrzył się wokół ponad głowami wiernych, by sprawdzić, jak reagują stojący w pewnym oddaleniu policjanci. Msza była legalna, demonstracja polityczna już nieco mniej, ale zazwyczaj, o ile nie obrażano króla, hetmana i prymasa lub nie nawoływano do bezpośredniej przemocy, służby porządkowe nie interweniowały.

Nikt nie lubi potem czytać w gazetach o obitych staruszkach. Młodzi narodopolacy czasem jednak prowokowali zamieszki, korzystając z osłony, jaką zapewniały dzielne i zdyscyplinowane postfeministki.

Cisza trwała chwilę, gdy rozległ się krzyk jednej z nich:

- Mój brzuch należy do mnie! - A reszta już podchwyciła znane zawołanie:

- Mój kraj należy do mnie!

- Mój kościół należy do mnie!

- Trzy razy tak!

- Tak! Tak! Tak!

Znów chwila ciszy, któryś z chłopaków próbował zagaić:

- Lenin, Hitler, Che! - Ale reszta zgromadzonych nie podchwyciła okrzyku. Nazwiska i wizerunki dawnych zbrodniarzy stały się co prawda obecnie elementem popkulturowej papki bardziej niż realnym odzwierciedleniem radykalnych poglądów; piktogramem, a nie realistycznym portretem; symbolem, a nie nawoływaniem do naśladownictwa. Ale aktywiści wiedzieli, że wielu Polaków wciąż reaguje na nie alergicznie i że nie powinni dać się złapać na ich zbyt ostentacyjnym promowaniu. Dlatego też na wiecach i w partyjnej prasie używano innego imienia.

- Sauron! Sauron! Sauron! Trzy razy tak!

- Tak! Tak! Tak*

Władza miała kłopot z Polską Narodówką Socjalistyczną. Choć wielu obywateli miało tę organizację za ekspozyturę barlogów, w istocie tak nie było. Oczywiście niektórzy z działaczy czy komórek organizacji zaplątali się w kontakty z prawdziwymi wołchwami, ale był to raczej efekt naiwności i zwykłej nieroztropności niżli zdradzieckich zamiarów. Naprawdę wierzyli, że jednostronne rozbrojenie przyniesie trwały pokój z barlogami, że zniesienie zakazu aborcji da wolność kobietom, obalenie królestwa przyniesie powrót pełnej demokracji parlamentarnej i powszechny dobrobyt, a papież na wygnaniu w Palermo jest sługą szatana. Czasami, inspirowani przez radykalnych księży, działaczy i stare książki, aktywiści dokonywali aktów sabotażu, takich jak ten w Kawęczynie. Ale większość członków tej dwugeneracyjnej zbieraniny była święcie przekonana o swym patriotyzmie, religijnej prawomyślności i realnej ocenie świata.

- Towarzysze i towarzyszki, Polacy i Polki, prawdziwi katolicy i katoliczki! - zaczął przemówienie agitator, tak akcentując słowa, jakby przynajmniej co drugie z nich należało pisać majuskułą. - Jutro zaczyna się proces naszych przyjaciół, wiernych synów Ojczyzny i Kościoła. Wystąpili przeciw opresyjnej władzy! Nie wahali się zaryzykować zdrowia i życia, by zaprotestować przeciw łamaniu naszych praw! Nie chcieli podporządkować się heretyckim biskupom! To męczennicy! Tak, tak, tak! - Zawiesił głos, podniósł ramiona w geście zachęty. Wprawny tłum odpowiedział:

- Tak! Tak! Tak!

- Módlcie się, siostry i wy, bracia, módlcie za nich! Tak, tak, tak! Trzy razy tak!

- Tak! Tak! Tak!

- Głosujcie na Polską Katolicką Partię Socjalistyczno-Narodową!

- Sauron! Sauron! Sauron!

- Tak! Tak! Tak!

Potem zaczęły się śpiewy, od hymnu Polski przez „Imagine” Beatlesów i „Mury” Kaczmarzkiego po najnowsze utwory barda narodopolaków Jerzego Kamieńskiego. Mocne gitarowe akordy, w tle trąbka i akordeon, hipnotyczny rytm. Postfeministki kiwały się, przestępując z nogi na nogę, młodzieńcy skakali rytmicznie z uniesionymi ramionami, prawą dłoń zaciskając w pięść, palce lewej układając w V. Jerzy Kamieński śpiewał:

*Polska czerwona, Polska brunatna
Polska wszystkim narodom bratnia
Polska wolności, Polska miłości
Polska ojczyzna prawdziwej ludzkości.
Naprzód, nie czekaj!
Naprzód i krzycz!
Naprzód, człowieku!
Naprzód, za Krzyż!*

I pewnie wiecujący w końcu sami by się rozeszli, gdyby jeden z mężczyzn z megafonem nie wdrapał się na stół pingpongowy i nie krzyknął:

- Precz z Bolesławem! Obalić królestwo!

Wtedy policjanci ruszyli ze swych miejsc, rozległy się gwizdki, a zza stadionu Legii wyjechała polewaczka z wodą. Zaczęła się zupełnie regularna zadyma, która trwała całkiem długo, bo według konstytucji używanie czarów w działaniach prewencyjnych wobec cywilnej ludności jest zakazane.

*

Nadeszli trzy godziny po zachodzie słońca. Nie zakryli i księżycy, nie przepłoszyli ptaków, nie zmrozili drzew. Wiedzieli, że mają naprzeciw siebie profesjonalistę i że sztuczki wystarczające do nastraszenia wieśniaków nie zdadzą się tu na nic. Użyli więc czarnej magii do zamaskowania czarnej magii.

Przemieszczali się wewnątrz specjalnych fagowych pancerzy, przez ludzi nazywanych „złykością”. To od „zwykłości”. Cały swój magiczny wysiłek jęgrzy skierowali bowiem na wygenerowanie wrażenia, że ich w tym lesie nie ma. Że świat się nie zmienił. Wiatr przyjmowany z jednego kierunku przenoszony był przez złykość i przekazywany dalej. Zębate pola bojowe jęgrów zostały stłumione, opakowane w ciszę i spokój niczym piła spalinowa w cynfolię. Na wyżarte przez symbiotyczne robaki oczy założyli rozjaśniające aury monokle. Za impulsami zagrożenia płynącymi w kierunku zwierząt płynęły neutralizujące je kontrfale sympatii. Nawet otaczając kryjówkę Kajetana, utworzyli wrogi im znak kręgu, zaciskającego się z każdą chwilą.

Było ich dwudziestu, a nie osiemnastu czy dwudziestu jeden, by nie stworzyć trójkowych naprężeń, by naciskać magią na powłokę świata za pomocą liczby łagodnej i wielodzielnej.

Gdyby mieli przed sobą zwykłego, choćby i nawet świetnie wyszkolonego żołnierza, może by im się udało. Podpełzliby do ruin szałas, w jednej chwili odrzucili maskowanie, przykryli teren kopułą

połączonych taumaturgii i zmiażdżyli intruza w gwałtownym ataku.

Coś ich jednak zdradziło. Może jakiś czarny impuls przedarł się przez osłony, zaburzając nocny rytm spokojnego lasu. A może odwrotnie - złykość zbyt dobrze wykonała swoje zadanie i nadmiernie wysterylizowała teren z fagów, alarmując ustawione przez Kajetana potykacze z szyszek i srebrnego drutu. A może - według niesprawdzonej do końca teorii - jęgrzy zawsze chcieli walki, bo zwycięstwo bez niej odniesione nie sprawiało im satysfakcji. Więc specjalnie obudzili człowieka, by z nim poigrać, zanim zaczną go tortuować.

Kula ognia bezgłośnie wybuchnęła w miejscu, gdzie wcześniej znajdował się stary szałas. Światło wdarło się w mrok lasu niczym mignięcie lampy błyskowej gigantycznego aparatu fotograficznego. W jednym wypalającym skurczu blasku wypaliło przestrzeń w promieniu kilkudziesięciu metrów, przy czym pnie drzew i liście krzaków nie stanowiły dlań żadnej przeszkody, ba, wzmacniały lśnienie niczym soczewki, stając się źródłem odpryskowych błysków.

Smród wypalanych fagów przedarł się przez naturalną woń lasu, a chwilę potem przełamał go zjełczały zaduch wypalonych złykości.

Kajetan nie czekał, chwilę potem odpalił kolejny granat elfiego blasku, a potem jeszcze jeden. Ekspłodowały zbudowane naprędce magiczne fugasy.

Wyjął miecz i zaczął formować enpisy.

Teraz w powietrzu kotłowało się jak w oku eteralnego cyklonu. Odarci ze złykościowych osłon jęgrzy natychmiast zaczęli stawiać normalne fagowe zbroje. Tych, którzy nie zdążyli, zmiotł drugi granat, a trzeci dokończył dzieła. Jednak co najmniej połowa jęgrów przetrwała, kontynuowała atak i bez wątpienia ścigała już posiłki.

Fagi Czarnych kotłowały się w powietrzu, wypalały rośliny, gotowały mózgi zwierząt. Weszły w grunt, sycąc go złą mocą, szukając starych kości i dawnego cierpienia. Ziemia gdzieniegdzie zaczynała dygotać, falować, osypywać się, na powierzchnię niczym wypełnione helem balony wypływały szczątki jakichś istot - może ludzi, może wojennych mutantów - splecione z korzeniami, przerośnięte kamieniem, zalepione gliną. Zaczęły się łączyć, formować w większe kształty, bariery, ruchome barykady, falujące i chwytające przestrzeń przed sobą pseudopalcami zniekształconych kończyn. Zabite zwierzęta również gromadziły się, zlewały w wielookie i wielonogie stwory, które powolnym ruchem pełżyły ku centrum eksplozji. Powstawał labirynt mający utrudnić człowiekowi ucieczkę.

Ale i nanokadabry ze świetlnych bomb i generowanych przez Kajetana egzorcyzmów nie próżnowały - atakowały wytwory ciemności, wypalały je, unieruchamiały. Czaromaty wniknęły w glebę, a natknąwszy się na podziemne strumyki, wykorzystały ich naturalną moc. W górę wystrzeliły ściany blasku, wysokie na trzy, cztery metry, jakby w lesie postawiono rozjarzone szklane, półprzejrzyste parawany albo zbudowano podświetlone fontanny. Rosły łagodnie skręcającymi liniami, zgodnie z biegiem podziemnych wód, krzyżując się w wielu miejscach. Kilku jęgrów wpadło z rozpędu w te zapory, wycinając w świetlnych płaszczyznach czarne cienie. Nanokadabry cięły ich ciała, wypalały zbroje, niszczyły zmysły.

Pozostali przy życiu wciąż zblizali się do Kajetana, tyle że zbudowany w bitwie labirynt uniemożliwił im jednoczesny atak.

Tak, wiedzieli, że naprzeciw nich stanie groźny przeciwnik, bo nie każdemu nawet zwiadowcy udałoby się wdrzeć tak daleko w głąb Marchii. Jednak nie spodziewali się, że stawi im czoła ktoś tak silny jak Kajetan.

Ściął się z pierwszym wrogiem, spięły się też enpisy ze zmorami. Czuł ruch ziemi pod nogami, jak bagno chwytającej jego stopy. Monstrum stworzone ze szczątków ludzkich i zwierzęcych wysunęło się z jamy w ziemi jak murena, próbowało rzucić mu się na plecy. Odskoczył, wypuścił czaromat ośmiornicy, by spętała ożywieńca. Sam naparł na Czarnego, wybił mu pałasz z dłoni, uderzył od góry, słysząc jęk miecza, jak zawsze, gdy przecinał ciało symbiotycznego robaka zwiniętego w czaszce jegra.

Pobiegł.

Przewidział atak, zastawił pułapkę, zabił wielu Czarnych, ale wiedział, że w długiej walce nie ma szans. Oni ściągną posiłki, nowych wojowników, a kto wie - może i w pobliżu przebywa jakiś barlog w materialnej, skondensowanej postaci. Napuszczą na niego ludzi, zamroczeni klątwą wieśniacy uzbrojeni w widły i kije zagrodzą mu drogę i będzie musiał przebijać się przez zaporę z ich żywych ciał. Zbudują więcej barier, barykad z ziemi i magii, które oblepią go jak plastry, zneutralizują magię, unieruchomią.

Był silnym, potężnym wojownikiem - ale w pojedynkę nie miał szans.

Przeskoczył przez ścianę światła, wypadł tuż za plecami jegra. Pchnął mieczem, próbując przebić serce, jednocześnie z peemu włożył kilka pocisków w ucho Czarnego.

Naraz dostał z boku, aż nim zakręciło. Enpisowa egida zaraz postawiła osłony, ale w jednej chwili w umysł Kajetana wdarł się chłód i strach. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął całym ciałem. Klątwa zwana trądem, raz zagłębiwszy się do jego organizmu, wbijała kolejne mentalne haki, neutralizując moc i wolę.

Zobaczył Johana, któremu uratował życie. Chłopak klęczał u stóp jegra w dziwnym przykurczu, wsparty o ziemię przedramionami i czołem. I mówił, mówił, mówił. Prosił o wybaczenie i litość, tak, miał umrzeć, gdy czarny zaprzęg go odrzucił, to nie jego wina, że przybysz go uratował, nie jego. Był sprytny, o tak, bardzo, od razu zorientował się, że to szpieg, wróg panów, i przyprowadził go tutaj, kazał czekać, udawał przyjaźń i teraz przyszedł do panów i mówi im o tym, prosząc o litość i nagrodę.

„Uratowałeś go”. Kajetan słyszał ciężki szept, ale wiedział, że to tylko złudzenie, że tak umysł odbiera atak psychologiczny. „A on cię oszukał. Zdradził. Wydał. Taki on jest. Tacy są oni wszyscy. Ludzie. Ludzie. Ludzie. Tu i tam. Wszędzie. Boją się nas, służą nam, przeklinają nas. I ciebie. Dołącz do nich. Ukorz się. Poddaj. Nie warto dla nich umierać, nic im nie jesteś winien, niczego nie musisz. Uratuj życie, zaspokój pragnienia, poddaj się. Usłuchaj! Uratowałeś życie zdrajcy”.

Trąd to straszna klątwa, sprawiająca, że umysł gnije i rozpada się niczym ciało w chorobie, od której wzięła nazwę. Kajetana ogarnęła obojętność, a potem zaczęło narastać ómiące poczucie

krzywdy, żalu i zniechęcenia. Został zdradzony, wystawiony na strzał przez człowieka, któremu uratował życie. Ta walka nie ma sensu, po co ryzykować życie dla tych tchórzy i zdrajców, dla ludzi...

Zachwiał się na nogach, przygasty jego enpisy, nanokadabry zaczęły opadać na ziemię jak czarne płatki spalonego papieru.

Nie!

Cios! Szarpnął mieczem, by oderznąć od ziemi ruchomą gębę wypełnioną kośćmi jak zębami, wskoczył w świetlistą ścianę. Rozgrzał się.

Johan zdradził go, tak. Ale czy można mieć do niego pretensję? Do dzikiego, przerażonego człowieka, który od dziecka nie znał nic poza bólem i pracą. Który widział, jak jegrzy mordują jego znajomych, torturują za najmniejsze przewinienie albo i bez niego. Wyobraził sobie kolejne spotkanie. Powiedziałby może: „Uratowałem cię, a ty mnie zdradzasz!”

A Johan wyszczerzyłby wyszczerbione usta ni to w uśmiechu, ni to w grymasie przeprosin i powiedziałby pewnie: „Paniepolak, mój ptak mówi: nikomu nie wierz, słuchaj panów!”

Ale nie spotkają się, bo Johan na pewno już nie żyje. Jegrzy wysłuchali go, ale przecież nie mogli darować, że choć przez chwilę - te spędzone z Kajetanem dni - był wolny, poza ich jurysdykcją. Więc zapewne zabili go. I jego ojca robiącego garnki zawsze zachowujące zimną wodę, co dla Johana było cudem, a co jest po prostu efektem odparowywania wody przez pory w naczyniu. I być może wszystkich innych, którzy o powrocie Johana się dowiedzieli. Tacy byli jegrzy i wszystko było ich winą. Także to, że Johan zdradził.

Kajetan uśmiechnął się i wybaczył Johanowi zdradę.

Jeszcze raz wskoczył w ścianę światła, wzmocnił się dodatkowo, nasycił mocą. Wykrzykując bojowe mantry, niemal rozrąbał na pół zastępującego mu drogę jegra. Skoczył w ciemny las. Wyrwał się z matni. Tak jak zaplanował to wcześniej, popędził w stronę Góry Smoka. Tam, gdzie nawet Czami bali się wchodzić.

*

Robinsonowie pracowali bardzo ciężko.

- No nie mogę, cholera, nie mogę! - Mężczyzna jest młody, niski, o szczupłych kościach, patykowatych kończynach i nieproporcjonalnie rozszerzonej klatce piersiowej. Ptasi człowiek. Nowa generacja. Kiedy przeklina, nie podnosi głosu. Wypowiada słowa powoli, rytmicznie. Nawet zdenerwowany odruchowo kontroluje oddech i pamięta o regułach. Nie mów, gdy nie musisz. Nie ruszaj się bez potrzeby. Oszczędzaj tlen.

Swoje zdenerwowanie i dezaprobatę bardziej niż głosem wyraża podrygiwaniem głowy, ruchami ramion, potrząsaniem miską z obiadem.

- O co chodzi, Stanley? - Drugi z siedzących w pomieszczeniu mężczyzn wydaje się skrajnym przeciwieństwem pierwszego. Wysoki, barczysty i znacznie, znacznie starszy. Pierwsze pokolenie.

- Mam piasek w zębach! Nawet w tym pieprzonym żarciu jest piasek!

- Wyrażaj się, chłopcze, uwierz mi, że też mam go dość. Nie przywykłem.

- A ja mam przywyknąć, tak?! Bo mam to od urodzenia. Zielona breja i piasek w zębach?!

Starszy mężczyzna, który przybył na Marsa w Trzeciej Misji, wstał od stołu. Odsunął krzesło i przeciskając się przez za mały i zbyt zagracony dla niego pokój, ruszył w stronę wyjścia, oddzielonego od kolejnego pomieszczenia jedynie przesłoną z szerokich plastikowych taśm zwisających spod futryny. Kiedyś były zapewne przezroczyste i lekko przesuwaly się w prowadnicach. Teraz jednak - popękane, pokryte lepka warstwą brudu zmieszanego z czerwonym pyłem - bardziej nawet przeszkadzały ludziom, niż chroniły ich przed piaskiem. Ale - jak wszystko na Marsie - były nadal wykorzystywane, regularnie czyszczone i łatane. Dwadzieścia sześć lat temu ostatnia misja załogowa przywiozła wyłącznie sadzonki i elementy szklarniowe. Już wiadano, że więcej wypraw nie będzie i że pięcioosobowa obsada lotu, której członkiem był starszy mężczyzna, zostanie tu na zawsze. Liczba mieszkańców planety zwiększyła się wtedy do niemal dwustu. Potem dołączyła do nich tylko trójka z misji saturnijskiej, a na Marsa doleciało osiem automatycznych rakiet transportowych. No i zaczęły się rodzić dzieci.

- Nie narzekaj. Masz co jeść, nie głodujesz... - zaczął starszy mężczyzna.

- Tak, wiem, wiem - przerwał mu chłopak, kiwając głową i wyszczerzając niezbyt równe uzębienie w ironicznym uśmiechu. - Wy mieliście racje żywnościowe jak w gułagu, żebym jeszcze, do diabła, wiedział, co to jest.

- Wyrażaj się, Stanley. Opowiem ci kiedy indziej. Teraz mamy robotę do wykonania.

Ruszył ku służbie.

- I to właśnie mnie denerwuje najbardziej. Jaką robotę? Kogo to obchodzi? Co za absurdalne rzeczy my tu robimy, zamiast rozbudowywać bazę i plantacje?

- Też w to trochę nie wierzę. Jestem astronautą. Naukowcem. Chodź!

Kiedy już założyli skafandry, przeszli przez służbę i zapakowali się do koparki, nadeszło marsjańskie południe. Brązowe niebo było czyste, tarcza słońca wisiała niemal pionowo nad nimi i bazą Kim 1. Delikatne podmuchy wiatru nie były w stanie poderwać piachu wysoko, ale tuż nad powierzchnią gruntu skręcały się czasem małe wiry pyłu, rozpryskujące na kamieniach niczym fale oceaniczne na skalnych klifach. Poprzez hełmy ludzie słyszeli chrzęst gąsienic i ciężki warkot silnika. Na szczęście nie brakowało paliwa. Bieżące potrzeby były zaspokajane przez orbitalne stacjonarne ogniwa słoneczne. Zbudowano ich przed laty kilkanaście, przewidując rozwój kolonii do tysiąca osób. Tak więc teraz, nawet po ostatecznej awarii niektórych, spowodowanej głównie brakiem części zamiennych, dostarczały dość energii, by kilkakrotnie mniejsza grupa ludzi mogła tu bezpiecznie funkcjonować. Na dodatek wciąż nie opróżniono jeszcze do końca zbiorników kilkunastu rakiet powrotnych, trzymając je jako rezerwę. Ale robinsonowie wiedzieli, że następne uszkodzenia będą odcinać kolejne kolektory, więc w kolonii od dziesięcioleci obowiązywały skrajnie restrykcyjne procedury oszczędnościowe. Budowano, naprawiano, użytkowano tylko to, co było absolutnie niezbędne do przetrwania społeczności, w szczególności dbano o produkcję tlenu i wody, o plantacje żywnościowe oraz systemy łączności z Ziemią. Systematycznie też likwidowano niewielkie bazy naukowo-mieszkalne rozrzucone po całej planecie - pozostałości po pierwszym,

romantycznym okresie kolonizacji - i skupiano całą społeczność w ciągle rozbudowywanym miasteczku Bradbury, położonym na Złotej Równinie.

Jednak trzy lata temu coś się zmieniło. Ziemia przysłała nowe dyspozycje. Rozpoczęto prace, które naruszały energetyczne status quo bazy i na nowo rozbudziły polityczne emocje kolonistów, szczególnie tych młodszych, dla których Mars był jedyną planetą, jaką znali.

Koparka wyjechała na wydnię, zatrzymała się. Dwaj mężczyźni wyszli na zewnątrz. Młodszy rozwinął na ziemi rulon plastiku, przyciskając rogi małymi kamieniami. Starszy rozstawił teodolit, pomajstrował trochę przy limbusie, po czym zaczął wymierzać odległości do najbliższych skał.

Przed nimi ciągnął się może metrowej wysokości wał z kamieni, szeroki na pół metra, łukowato zaoblony. Głazy połączone były piaskowym spoiwem, niegwarantującym, że ściana przetrwa choćby i dziesięciolecie. Mur ciągnął się w obie strony, zakręcał, rozgałęział się, zawijał w ślepe odnogi, łączył z wystającymi gdzieś z piachu kamiennymi kopcami o kolistym kształcie.

Koparka stała koło wielkiego stosu wcześniej zgromadzonych głazów, wyznaczającego miejsce, z którego wał dalej miał być przedłużany.

Mężczyźni wymienili jeszcze kilka zdań i wzięli się do roboty - najpierw koparką przenosili kamienie na właściwe miejsce, a potem ręcznie układali kolejne fragmenty muru.

Krążący nad Marsem satelita sfotografował ich przy tej pracy, dwie czarne kropki na końcu odnogi kilkusetmetrowej ciemnej linii, układającej się w gigantyczny znak mocy, runę, którą elfy odpędzały Czarnych.

* To nie był zwykły las. Kajetan czuł, jak jego ciało przenika wroga magia, jak egidy napinają się spazmatycznie, jak protuberancje czarodziejskiej energii uderzają w zbyt agresywne skupiska fagów. Sama przestrzeń stawiała opór i choć przebijał się przez nią jak pocisk przez ciało, to jednak czuł coraz większe zmęczenie.

Barlogi dobrze to zaplanowały. Odkryły smoka w głębi swego terytorium, jednak granica z Polską znajdowała się na tyle blisko, że jakiś zabłąkany ptak zwiadowca czy szpiegowski wiatr mógł tu dotrzeć. Nie prowokowały więc, przez całe lata utrzymywały to miejsce we względnie naturalnym porządku, nasyciły przestrzeń fagami w niedużym stężeniu, nawet złagodziły reżim wobec ludzi, by czarne emocje nie poruszyły czujników sond kosmicznych. Cierpliwie i systematycznie badały smoka, czymkolwiek był. A może nawet eksploatowały.

Lecz teraz, gdy to tajemne miejsce zostało odkryte, nie miały innych celów jak likwidacja świadka i ewentualne zatarcie śladów. Więc gradient fagów zmieniał się, drzewa wokół kamieniały, z ziemi wynurzały się plujące jadem i ogniem węże, a zmory materializowały się spontanicznie wokół czarnych amuletów zagrzebywanych przez lata w ziemi.

Kajetan niszczył je mieczem i kulą, jego koty miażdżyły przeciwników. Bojowe czary - egzorcyzmy - wycinały wolną przestrzeń w cielsku wrogiego monstrum, w jakie za sprawą czarnej magii powoli zamieniał się otaczający las. Jednak - tracił siły. Jednak - straszne wspomnienia podrzucane przez trąd osłabiały jego wolę. Jednak - opróżniał ładownice z kolejnych pocisków, najpotężniejszych relikwii, jakimi dysponował. Wysypał już proch z ciała błogosławionego Erkela

Farkasa, męczennika z Enese. Wystrzelił trzy kule z oprawionych w srebro kamyków, fragmentów ruin Bazyliki Świętego Piotra. Cisnął za siebie igłę z kości Kazimierza Młodego, następcy polskiego tronu, syna króla, który zginął w bitwie szczecińskiej.

Słabł. Znów zasyczały muszkiety jegrów, smugi atramentowego, mięsistego dymu przecinały drzewa i orały ziemię, na razie odbijając się od tarcz Kajetana. Ale jedna przebiła się, przemknęła koło twarzy mężczyzny tak blisko, że poczuł uderzenie - jego umysł zalały jednocześnie smród spalonego ciała i wrzask płonącej żywcem kobiety. Miazmaty jegrów musiały najpierw osłabić wolę, by przestał budować ochronne egidy, by wytrącić go z rytmu bojowych mantr, by się przestraszył. Potem mogło go zabić zwykłe ostrze lub kula.

Słabł. Biegł jednak dalej, osłaniany po bokach przez panterę i lwa, z tygrysem za plecami, ze stadem nanokadabrowych jaskółek nad głową. Przestrzeń przed sobą wyrąbywał mieczem, Kłem o klindze z żywego metalu, rosnącego w Planie Garotty. Ciął krzaki zamieniające się teraz w wielochwytny ukwiały, korzenie z sykiem uderzające w nogi, plazmatyczne truchła wypełzających z ziemi martwych zwierząt.

Dalej, dalej, dalej... Od wioski i od centrum czarnej magii, tak by mógł zyskać czas i przygotować się do rytuału Przejścia. Tylko tak mógł uciec. Ale najpierw musiał dokończyć misję. Wykonać Przebicie, wskazać Warszawie połączenie do Góry Smoka. Na to też potrzebował czasu i spokoju.

Nagły skok nanokadabrowego ciśnienia niemal pozbawił Kajetana oddechu, mężczyzna zachwiał się, zgubił rytm, niemal przewrócił. W jednej chwili sprężył się ponownie, zaczął porządkować egidy w oczekiwaniu kolejnego ciosu, który... nie nadszedł. Przeciwnie, ochronny pancerz powstrzymujący dotąd napór wrogiej magii rozprężył się gwałtownie, rozproszył, utwardził. Zewnętrzne powłoki nadesłały sygnały, że stężenie fagów skokowo osłabło, jakby naraz wszystkie zniknęły wypchnięte podmuchem eteralnego wiatru.

Kajetan zrobił jeszcze kilka kroków, uruchomił skrypty ochronne, wysłał czary omackowe na dłuższy zwiad. Nie wyczuwał jegrów.

Mogli zastawić pułapkę, licząc, że dezorientowany osłabi ochronę. Jego wzrok padł na czarną kamienną bryłę stojącą pomiędzy drzewami. Podeszedł bliżej, wciąż czujny i ostrożny. Zobaczył wykuty z ciemnego kamienia prostopadłościan, wysoki na półtora metra, obok niego kilka mniejszych kamieni też obrobionych ręką człowieka. Wyczuł zapach starej krwi pokrywającej kilka z nich i przyklejone do nich strzępy włosów. Ale tu nikt nie umarł. Cierpiał - tak. Bał się - i owszem. Ale nie zginął.

Kajetan podeszedł bliżej. Ziemię wokół postumentu wysypano kamyczkami, obłymi i spłaszczonymi, o jakie najłatwiej nad morzem. Najmniejsze miały wielkość paznokcia, największe - pięści. Pośród naturalnie białych, czarnych i czerwonych otoczków dostrzegł też jaskrawe barwy - żółtą, pomarańczową, błękitną. Kilka pomalowanych kamieni leżało też na centralnym postumencie, teraz dopiero Kajetan zauważył, że na jego powierzchni wyrzeźbione są linie, płytkie zagłębienia, których wyrazistość wzmacniała wpuszczona w nie biała farba. Tworzyły dziwną,

siedmioboczną szachownicę, na pierwszy rzut oka chaotycznie nieregularną. Pola planszy miały różną wielkość, a boki długość. Na niektórych polach leżały małe, pomalowane kamienie.

Kajetan znów zlustrował okolicę i nie wyczuwszy żadnego zagrożenia, zaczął zdejmować powłoki ochronne i zwoływać enpisy. Chwilowo był bezpieczny. Dotarł na terytorium Smoka.

Jeszcze raz spojrzął na planszę i układ kolorowych pionów. Wydało mu się naraz, że zaczyna dostrzegać w ich ułożeniu logikę, że pozycja poszczególnych elementów - synchronizacja barw i wielkości - tworzy wzór, ale też że nie jest to układ doskonały, że da się go poprawić. Podniósł jeden z kamieni, dłoń zawisła nad planszą.

- Stój! Zostaw! - krzyk rozległ się bardzo blisko. Kajetan ponownie sięgnął po miecz, ale wstrzymał ruch, gdy zobaczył gramolącą się spomiędzy krzaków postać.

Nie dało się jednym rzutem oka ocenić, jak stary był mężczyzna. Miał przygarbioną sylwetkę, poruszał się z trudem, wyraźnie kuśtykając, ręce mu drżały, długie włosy i broda zasłaniały twarz. Urodził się w świecie, gdzie czterdziestolatkowie uchodzili za starców, a umęczone przez jęgrów dzieci często nie wyglądały lepiej od swych rodziców. Niewielu wskazówek dostarczał też strój - szara, wielokrotnie łatana kurta, sięgająca kolan koszula i getry osłaniające łydki. Stopy miał bose i brakowało im kilku palców. Do tego stroju nędzarza nie pasował jedynie długi naszyjnik z barwnych koralii, owinięty wokół szyi i zwisający aż na brzuch. Pomiedzy kamykami połyskiwało srebro. Lewa ręka mężczyzny wspierała się o ten wisior jak o temblak, a palce obracały kamyczki niby paciorki różańca. Prawa dłoń wzniosła się nad głowę, rozcapierzyła, także i jej brakowało małego i serdecznego palca.

Kajetan nie wyczuł wroziej mocy, wydało mu się, że łachmaniarz jest raczej zadowolony i podniecony widokiem intruza.

- Witaj! - powiedział spokojnie. - Nie chciałem niczego zepsuć. Przepraszam, jeśli naruszyłem spokój tego miejsca.

Mężczyzna nie dał po sobie poznać, że zrozumiał choćby słowo, podchodził coraz bliżej, wreszcie zatrzymał się wyczekująco. A kiedy Kajetan cofnął się kilka kroków, dając mu dostęp do kamiennej planszy, w dwóch susach doskoczył do niej i jednym spojrzeniem zlustrowawszy ułożenie pionów, na powrót zamarł w bezruchu. Tylko palcami wciąż międlili naszyjnik.

Kajetan poczuł muśnięcie fagów. Czarni, chwilo zatrzymani na granicy domeny Smoka, jednak nie zaniechali pościgu. Należało się śpieszyć.

- Kim jesteś? - spytał Kajetan, starając się używać prostszych zdań i wyraźniej wypowiadać słowa. - Służysz jegrom?

Mężczyzna szarpnął głową, rozrzucając włosy na bok i odsłaniając twarz - zryte czasem i trudami życia oblicze starego człowieka, może nawet i sześćdziesięcioletniego. Nie miał lewego oka, tę część głowy zajmowała wielka skórna narośl, blizna po wielu ranach, skroń zapadła się, oczodół wypełnił mięsisty, ale dawno wygojony skrzep. Teraz dopiero Kajetan uświadomił sobie, że kolor włosów starca jest taki sam jak tych strzępów z okolicznych kamieni.

- Neeee... Neeee... nie jestem Czarny. Neeee... - wychrypiął mężczyzna, odsłaniając bezzębne

szczęki. Buchnęła z niego mieszanina impulsów - bał się jęgrów i nienawidził, ale czuł też wobec nich jakiś dziwny rodzaj satysfakcji, jakby poczucia zwycięstwa. Starzec nawet się uśmiechnął.

Wyrwał się spod ich władzy, uświadomił sobie nagle Kajetan. Żyje pod ich presją, otoczony ich władztwem, ale w kraju Smoka jest od nich przynajmniej częściowo niezależny.

Ta myśl ucieszyła Kajetana, oznaczała, że człowiek przed nim, choć stary, głodny i okaleczony, zaznał przecież bodaj strzępu wolności, tej realnej i tej wewnętrznej, umysłowej. Najprawdopodobniej jednak, żeby uzyskać ten stan, musiał oszaleć. Tylko wariat w kraju jęgrów może ich pokonać.

- Służysz Smokowi? Jesteś mastermindem?

- Taaak... Taaaak... - Znów uśmiech. - Ja gram, ja liczę, ja rozwiązuję. Przyszedłeś po naukę? Uczę. Chcesz...?

I nagle zamilkł, padł na kolana, jego głos zmienił się, szept przeszedł w krzyk, głowa uderzyła o ziemię.

- Nie umiem! - wrzasnął. - Jestem słaby! Jestem głupi! Nie wybrał mnie! Nie umiem! Nie znam rozwiązania!

Skulił się cały, skurczył, zaczął mówić sam do siebie.

- Myśl, myśl! Rozwiąż! Nie, głupi, głupi, to nie pasuje. Nie, nie pasuje! Myśl! Połóż! Tu połóż. - Głos zmienił się w jęk, ciało weszło w epileptyczny dygot. Starzec upadł na bok, przekręcił się na plecy, trząsł z rozcapierzonymi rękoma, zgiętymi w kolanach nogami, rozrzuconymi włosami. - Nie umieeeeem!

Kajetan doskoczył do niego, przycisnął do ziemi, wyszeptał czary hipnotyczne, spróbował sondować umysł, ale natrafił na mocną barierę, zaporę z kształtów i barw układających się w bezkresne płaszczyzny, pulsujące własnym rytmem, gdy poszczególne fragmenty zmieniały kolory. Nie miał czasu na poważniejsze zabiegi, zdołał jedynie uspokoić starego, wyrwać jego ciało z epilepsji, zmusić do mówienia.

- Gdzie mam iść? Chcę do Smoka. Chcę go zobaczyć.

- Nie możesz.

- Dlaczego?

- Nie zdałeś. Nie ułożyłeś. Nie policzyłeś... Jak ja, jak ja... - Kajetan poczuł, że starzec znów mu się wymyka, zacisnął mentalny uścisk, tak jednak, by nie zrobić człowiekowi krzywdy.

- Mogę. Mam pozwolenie - skłamał. - Tylko gdzie mam iść? Jakie znaki?

- Dobrze, powiem, dobrze. Idź. Zgiń. Idź. Zgiń. Weź czerwony kamień, on cię poprowadzi.

- Jaki czerwony kamień?

- Moje oko.

- Co...?

Więzień szarpnął się gwałtownie i składając palce prawej dłoni w jeden szpon, z całej siły uderzył w zabliznioną część twarzy. Skóra pękła, popłynęła krew. Coś błysnęło w ranie, a po chwili wysunęła się z niej mała przezroczysta kulka. Rozjarzyła od wewnątrz purpurę omywającej ją krwi,

rzuciła na twarz starca migotliwego zajęczka.

- On weźmie i twoje oczy - powiedział mastermind dziwnie spokojnie, a Kajetan poczuł obcą magię.

Znał ich wiele. Czary elfów, przeniesione na Ziemię i przekonwertowane do tutejszej osnowy. Iluzję ludzi, wydobytą po stuleciach z zapomnienia i mozolnie budowaną od nowa w świecie do tej pory zdominowanym przez naukę. Doświadczył mocy Klucza ze świata Karla Hah-hona, walczył mieczem z Garotty, spotykał już inne rasy i artefakty z wielu Planów. Czuł i rozumiał klątwy barlogów - uczył się ich, walczył z nimi, doświadczał skutków przebywania w czarnych aurach, z których musiał potem oczyszczać organizm.

Ale tej jeszcze nie znał. Ledwie musnęła go, zakłęta w małym przedmiocie, a już posmakował jej precyzji, staranności, celowości. Jakby zobaczył niewielki fragment ogromnego i skomplikowanego urządzenia, zbudowanego do wykonywania złożonych zadań, detal nie większy niż jedna przekładnia czy tryb. Ale i on dawał pogląd na siłę i wiedzę konstruktorów.

Na Smoka.

Zbyttno zagłębił się w te rozważania, za bardzo wyciszył i odciął od zewnętrznych bodźców. Czarna pantera, która samoistnie zaczęła materializować się u jego boku, oznaczała, że jegrzy zdecydowali się zagłębić na nie swoje terytorium.

- Ukryj się! Odejdź stąd! - krzyknął do starca, delikatnie gładząc jego twarz, by zagoić ranę. - Uciekaj!

Ale podrywając się do biegu, wiedział, że mastermind nie opuści swego stanowiska, że kiedy tylko opanuje rozdygotane zmysły, na powrót pochyli się nad planszą, by po raz tysięczny bezskutecznie wykonać ruch w grze, rozwiązać łamigłówkę, która da mu wstęp do świata Smoka. I taki właśnie obraz przemknął Kajetanowi przed oczami - jegrzy zbliżą się do planszy, a starzec stanie naprzeciw nich jak Archimedes wobec rzymskich żołdaków.

„Nie niszczone moich kół”, powiedział. „Rozwiązuję zadanie”.

„Nie niszczone mojej gry”, poprosi mastermind. „Rozwiązuję zadanie”.

Dwaj słudzy logiki i reguła, rozdzieleni przez stulecia. Ich koniec jest taki sam.

Gladius Rzymianina, krótki miecz ze stali, wykuty przez niewolnika, może w Hiszpanii, może w Galii.

Jegiński pałasz, rżnięty z japońskiego obsydianu i utwardzany magią, wyprodukowany w jednym z miast Gehenny.

Koniec ten sam, lecz stary człowiek nie zostanie nagrodzony grobem, nikt nie każe pochować go pod walcem i kulą. Jego ciało rzucą swym zwierzętom albo pożrą je sami. I to on, Kajetan, sprowadził na masterminda śmierć, więc zaczął się modlić, by ciężar grzechu nie osłabiał jego bojowych zdolności. Nie teraz, nie tutaj.

Kula w dłoni zaczęła się poruszać, wrywać, jednak nie na tyle mocno, by rozewrzeć zaciśnięte na niej palce. Raczej tak, żeby pokazać kierunek.

Czy tak wyglądała droga adeptów, dzieciaków przywożonych przez jegrów do wioski? Wysyłano

je w górę, do siedziby Smoka, a tu spotykały mastermindów: niby-strażników, niby-mnichów. Ci testowali kandydatów do służby i albo odsyłali ich z powrotem na dół, albo dawali do ręki kulę przewodnika.

Las był gęsty, bardziej nawet, niż powinien, dziwnie splątany i ciemny, ale pomiędzy chaszczami i pniami drzew wiodła wyraźna ścieżka, używana widocznie niedawno, bo niewiele było na niej pajęczyn.

Czaiło się w nim coś dziwnego, nie groźnego nawet, ale jednak zwracającego uwagę. Im dalej szedł w głąb terytorium Smoka, tym uczucie to stawało się bardziej dojmujące. W końcu zatrzymał się, skupił. Kucnął, podniósł liść, chwilę oglądał go z uwagą. Podeszedł do pnia najbliższej sosny, spojrział w górę, tak że zobaczył błękit nieba między gałęziami.

Nie, nie umiał znaleźć rozwiązania zagadki. Las wydawał się normalny, Kajetan czuł jego tętno i rytm, pulsowanie wody w pniach drzew, pokrzykiwania ptaków, szurgot zwierząt przedzierających się przez gąszcze. A jednak coś tu było nie tak, coś nieuchwytnego, nienaturalnego.

Ruszył dalej. Naraz poczuł tchnienie czarnej mocy, silne, wyraźne, dobiegające z gęstwiny po prawej. Powstrzymał formowanie enpisów, ale wypuścił zwiadowców. Może dwieście metrów w bok widusłychy znalazły posusz - wielki pusty plac wypalony w ciele lasu, ziemię wypłukaną do kości skały potężnymi mocami, jakby odparowano ją w jednej chwili, razem ze wszystkim, co na niej stało. A i samą skałę przecinały głębokie wyrwy, jakby buchtowały tu stalowe dziki. Nad tą dziurą i w jej wnętrzu kotłowała się perlista mgła, eteryczna aura, kształtująca się chwilami w zgęstki i smugi, organiczne formy nieprzypominające znanych istot, rozpadające się po chwili w lśniące smugi.

To musiało wydarzyć się dawno, może nawet kilkadziesiąt lat temu, a jednak do dziś pozostał tu ślad emanacji jegrów i... - Kajetan zadrżał, gdy informacje wpłynęły do jego zmysłów - zabijanych barlogów!

Musiała zostać tu stoczona straszna walka, która pochłonęła samych Narodobójców, panów lęku. Potęga, która wypaliła ciała barlogów aż do ich astrali, dawała się porównać tylko z najcięższą magią elfów, użytą w trakcie Zaćmienia. Czy zdarzyło się to wtedy, gdy ojciec Johana rodził się w śmierdzącej stodole?

Kajetan popchnął kolejnych szpiegów, ale ci nie zdołali przynieść nowych informacji ani obrazów, jedynie jakieś ślady eteralnych kanop, w których zamknięto martwe jaźnie barlogów, by nie mogły się odrodzić w ciałach swych pobratymców. Pobojowisko wciąż otaczała reliktowa aura o takiej sile, że czaromaty ślepy i erejsowały się momentalnie. Żeby przeprowadzić dalsze badania, potrzebowałby czasu, instrumentów i sił, którymi teraz nie dysponował. Obstał więc teren kilkoma egzorcyzmami, na wypadek gdyby jednak na cmentarzysku przetrwały wrogie moce, i pobiegł dalej.

Smok zabił jegrów i barlogów. Musiał władać tak wielką potęgą, że Czarni nie podjęli drugiej próby ataku, tylko zabezpieczyli okolicę i rozpoczęli wieloletnie badania. Niezwykłe zachowanie dla rasy, która nie znała innej strategii jak bezwzględny podbój.

Przezroczyta kula zaczęła wyrywać się coraz mocniej. Wąska ścieżka przed Kajetanem rozszerzyła się nagle, drzewa rozstały się, a on zatrzymał raptownie. Znów podniósł liść, rozejrzył się wokół, podszedł do pajęczyny rozpiętej między gałęziami jodłowego krzewu, przyjrzał jej się z bliska, odstał krok. Zrozumiał, czemu ten las wydawał mu się tak dziwny.

*

Ludzie wokół Roberta poruszali się szybko jak aktorzy na puszczonej ze zwiększoną prędkością filmie. Ich głosy, przesunięte ku wysokim tonom brzmiałyby śmiesznie, gdyby nie to, że co chwila powtarzały się w nich słowa takie, jak „król”, „armia”, „atak”, „ofiary”. Organizm ludzki nie jest w stanie długo utrzymać się w strumieniu przyspieszonego czasu, zresztą mało kto chce pracować w ten sposób. Jednak w sytuacjach szczególnych, a ta musiała do takich należeć, decydowano się na to. Czary temporalne wymagały potężnej aparatury, elfich specjalistów z Zakonu Stazy oraz niemal nieograniczonych zasobów energii. Generowano je ledwie w kilku miejscach w kraju - w Warszawie i dwóch, trzech tajnych twierdzach na Zachodnich Kresach. Ponoć dysponowali też nimi sojusznicy - wielki książę Rusi i Zaporozża w Kijowie, prezydent Unii Ugrofińsko-Bałtyckiej w Tallinie, królowa Szkotów i Wolnych Anglików w Edynburgu i prezydent Stanów Zjednoczonych w Baltimore.

W tym pomieszczeniu musiano często pracować w przyśpieszeniu, bo najwyraźniej zostało ono do tego przystosowane. Ściany, podłogę i meble obłożono miękkimi wykładzinami, przedmioty wykonano z lekkich materiałów, wszystko iskrzyło kadabrowymi wyładowaniami. Pracownicy nosili cienkie rękawiczki, papuciopodobne buty, specjalne fazowe okulary, a na głowach miękkie hełmy z wszytymi głośnikami, nieco przypominające bokserkie kaski.

Człowiek w przyśpieszeniu nie przestaje podlegać prawom fizyki, regułom akcji i reakcji, zachowania pędu, sumowania wektorów sił. Zwykły świat - w stosunku do niego spowolniony - staje się źródłem wielu niespodzianek i zagrożeń. Pozornie delikatne dotknięcie ściany staje się groźnym uderzeniem. Przesuwa się pasmo dźwięku i widmo widzianego światła. Każdy przedmiot nabiera względnej masy. Do porozumiewania się z ludźmi pozostającymi w zwykłym czasie, ale i z pozostałymi przyśpieszonymi niezbędne są kanały komunikacyjne wyrzeźbione w eterze przez magię elfów.

Robert słyszał o człowieku przyspieszonym 4,35 raza, który wytrzymał to przez niemal minutę. Podejrzewał też, że w laboratoriach wojskowych uzyskiwano jeszcze lepsze rezultaty. W praktyce pola bitwy udawało się utrzymać wybrane jednostki w okolicach przyśpieszenia 1,3 na kilka - kilkanaście minut.

Grendor Majchrzak pozostawał jednak w zwykłym tempoczasie. Podszedł do Roberta, skinał głową, wyciągnął rękę. Towarzyszył mu człowiek - niski, pulchny okularnik o niechlujnie zarośniętych policzkach, ale starannie wymodelowanej fryzurze - grzywka opadała mu na czoło, a równy przedziałek rozdzielał nienaturalnie lśniąca włosy. Facecik miał na sobie przyciasny garnitur, koszulę zapiętą pod szyją tak mocno, że ryzykował chyba uduszenie, może dlatego nie założył krawata. Spodnie bez wątplenia pochodziły z innego kompletu niż marynarka. Z butonierki

wystawała końcówka suwaka magorytmicznego.

- Doktor Stefan Stefański - przedstawił się, nie wyciągając ręki. - Tata miał poczucie humoru.

- Gratuluję - uśmiechnął się Robert - i zazdroszczę.

- Nie ma czego - odpowiedział mężczyzna beznamiętnym głosem. - Spróbuj pan żyć z facetem, który każde zdanie stara się skończyć dowcipną puentą, tylko mu to nie wychodzi.

- Wiele kobiet skazujemy na ten los - zauważył Robert.

- I dlatego tyle morderstw w afekcie się zdarza - głos Stefańskiego nawet nie zadrżał. - Powinni je uniewinniać.

- Morderców? - zdziwił się nagle Grendor Majchrzak. - To sprzeczne z prawem i logiką.

- Oczywiście, ma pan rację, majorze. - Robert dostrzegł jeszcze, jak doktor Stefański mruga do niego, najwyraźniej z siebie zadowolony. Robert nie lubił, kiedy ludzie kpili z elfów, co nie było zresztą takie trudne. Elfy bowiem często zbyt dosłownie rozumiały metafory i nie łąpały ironii. Wynikało to zazwyczaj z niedostatków ich polszczyzny, ale także z tego, że były zbyt prostoduszne. Miały w sobie taką naturalną porządność, która bywa brana czasem za naiwność i jest okrutnie towarzysko karana. Elfy nie opowiadały dowcipów, które mogły kogoś zranić, nie oplotkowały kolegów, nie wyśmiewały cudzych słabości. Zastrzeżenia i opinie wyrażały nader grzecznie i ostrożnie, starając się nie obrazić interlokutora. No, chyba że przekroczono progi ich wytrzymałości - wtedy zdarzało im się kłać szpetnie, acz pięknie w kilku językach naraz. A kiedy i to nie wystarczało, wyzywały przeciwnika na pojedynek. Do pierwszej krwi. I raczej bez trupów, choć po garnizonach i brukowej prasie krążyły różne plotki...

- Cieszę się, że pana widzę, pułkowniku. Tam chyba coś się dzieje. Pański syn dotarł tam, gdzie chcieliśmy. Daleko. Przy poprzedniej naszej sesji było ciężko - powiedział elf, uśmiechając się przepraszająco - a teraz będzie jeszcze gorzej.

- Znów mam przesłać wiadomość Kajetanowi?

- Tak, ale on jest jeszcze mocniej osłonięty magią. Wszedł naprawdę głęboko za Horyzonty.

- Przede wszystkim musisz od niego wiadomość odebrać - doktor Stefański przeszedł na ty, nie był wojskowym, nie przestrzegał regulaminów. Skoro dopuszczono cywila do takiego miejsca, musiał być wybitnym specjalistą.

- To niemożliwe chyba? Przez Kurtyny, bez stacjonarnej aparatury nadawczej z tamtej strony - Robert bardziej spytał, niż stwierdził. Spojrzył na Majchrzaka.

- Potrafimy to. Ryzyko jest większe i potrzebujemy więcej zasilania. Osłaniają go Kurtyny, Horyzonty i jego własne zabezpieczenia przed pelengiem Czarnych. Ale musi wysłać nam sygnał, musi pokazać, gdzie jest. Jak już raz otworzy kanał, nasze satelity podtrzymają łączność. Tylko musi przedrzeć się przez Kurtyny.

- Co się dzieje? Gdzie doszedł Kajetan? Co tam się dzieje?!

Doktor Stefański poszukał wzrokiem elfa, jakby oczekując potwierdzenia, że może mówić.

- Pułkownik Gralewski to zaufany człowiek Jego Miłości Hetmana. Uczestniczy w tej operacji od początku. Może wiedzieć! - Grendor Majchrzak nie zawahał się ani chwili.

- No dobrze, posłuchaj mnie uważnie. Nie wiemy dokładnie, gdzie jest twój syn, i nie mamy bladego pojęcia, co tam dokładnie się znajduje. Sądzymy jednak, że to miejsce Przebicia. Wiesz, co to takiego Przebicie?

- Oczywiście. - Robert kiwnął głową. - Byłem w dwóch takich miejscach.

- Które Plany? - w głosie doktora Stefańskiego po raz pierwszy zabrzmiały nuty zaciekawienia i uznania.

- Klucza i Miecza. Groźne miejsca.

- Fiu, fiu, więc ty to ty? - Doktor Stefański wykonał gwizdopodobny wydech, przyglądził dłonią bynajmniej nie zmierzwione włosy. Garnitur miał cały czas zapięty, więc kiedy podniósł rękę, materiał naprężył się na jego ciele, grożąc eksplozją, a przynajmniej wystrzałem guzików. Robert odruchowo zmrużył oczy.

- Mamy czas na pogaduszki? - spytał elfa.

- Kwadrans mniej więcej, zanim zaczniesz się strojenie. Powinieneś wiedzieć, co się dzieje, to może pomóc.

Sieć rozciągnięta była na jodlaku, a jej płaszczyzna usytuowana niemal równolegle do drogi. Słońce podnoszące się nad lasem zaświeciło między gałęziami i blask zatańczył na grubych, lepkich niciach. Przez chwilę wydawało się, że pajęczka konstrukcja sama się żarzy pomarańczowym lśnieniem. Jakby chciała przyciągnąć wzrok człowieka, zmusić do zatrzymania się, dać wskazówkę.

Pajęczce sieci to cud zwierzęcej inżynierii, których kształt wyznacza sama matematyka preferująca proporcje zwiększające wytrzymałość oraz maksymalizujące powierzchnie przy minimalnym możliwym zużyciu energii i surowca. Ewolucja biologiczna optymalizuje mechanikę swoich twórców. A jednak sieci zwykłych pajaków, mimo że zachwycają geometryczną precyzją, nie są idealnie regularne i symetryczne. Niektóre oka są większe niż inne, nici się zlepiają, ruchy gałęzi rozciągają podczerpione do nich włókna. Natura nakłada na mechanikę stygmaty swojego chaosu.

Ta sieć była idealna. Centryczne nici tworzące konstrukcję schodziły się pod idealnie równymi kątami, tworząc osnowę dla perfekcyjnie poprowadzonego spiralnego włókna. Oka, zmniejszając się ku centrum sieci, były identycznymi trapezami.

Kajetan podniósł wzrok. Gałęzie dwóch drzew, o które pajak zaczepił swą konstrukcję, wyrastały na tej samej wysokości, proste, jakby były włócznie wbitymi w pnie. Odbijające od nich mniejsze gałązki ustawiły się symetrycznie, tak jakby główny konar tworzył oś obrotu.

To, czego Kajetan nie mógł ogarnąć, gdy patrzył na zbity gąszcz, stało się oczywiste, gdy przyjrzał się dwóm drzewom. Były one nienaturalnie regularne, symetryczne, powtarzalne. Oczywiście tu i ówdzie gałąź złamała się albo spróchniała, nierówność terenu sprawiała, że pień rósł nieco krzywo, zaś sąsiedztwo innych drzew wykręcało konary. Jednak las sprawiał wrażenie sztucznego, jakby drzewa rysował program komputerowy, korzystający jedynie z kilku wzorców.

Zszedł ze ścieżki, zagłębił się w lesie. Już po kilku krokach natknął się na wystające z mchu czerwone muchomory. Pięć grzybów tworzyło wierzchołki niemal idealnego pięciokąta. Plamki na kapeluszach układały się w symetryczne wzory. Wycofał się, teraz zyskał pewność, że to, co dostrzegł w pajęczynie i pniach drzew, nie jest tylko złudzeniem.

Ten las był nawiedzony. Od lat rządziła nim magia, wpływająca na wzrost roślin, na reakcje zwierząt, zapewne także na umysły ludzi. Jakby geometria stała się szkółkarzem przycinającym żywe istoty do matematycznych formuł. Jak ogrodnicy strzygący parkowe bukszpany i tuje, tak tu obca moc wymuszała na dzikim lesie prawidła wegetacji i wzrostu.

Podniósł kilka szyszek, chwilę ważył je w dłoni, a potem podrzucił wysoko ponad głowę. Upadały koło siebie, odbijając się od ziemi, turlając. Nie, nie ułożyły się w jednej linii, nie utworzyły żadnej figury, a jednak wyraźnie zgrupowały się w kilka skupisk - w pierwszym były dwie szyszki, w drugim cztery, w kolejnym sześć, pozostałe leżały pojedynczo. Zebrał ten tuzin, powtórzył doświadczenie - tym razem uzyskał cztery skupiska po trzy szyszki.

Moc wpływała też na probabilistykę tego miejsca według reguł, których oczywiście nie rozumiał, ale które musiały tu funkcjonować.

Wszystko, czego doświadczał w ostatnim czasie, pasowało do siebie. Wieśniacy zajmujący się matematyką. Starzec całe życie poświęcający na rozwiązanie logicznej łamigłówki. Geometryczny las drzew o fraktaloidalnych gałęziach.

- Trzy tysiące dwieście jedenaście razy dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt cztery - powiedział na głos, a potem zaczął kalkulować w pamięci. Lubił liczyć w głowie i zazwyczaj był w tym niezły. W studenckich czasach zdarzało mu się brać udział w rachunkowych pojedynkach, przyznać trzeba, rozgrywanych głównie w finalnej fazie imprez. Ale wtedy mnożyli w pamięci co najwyżej liczby trzycyfrowe. - Trzydzieści dwa razy dwadzieścia trzy - mrucał teraz, odruchowo machając w powietrzu ręką, jakby zapisywał cząstkowe rezultaty na niewidzialnej tablicy. Przez moment wydało mu się, że już ma, że już chwyta wynik, ale nie dał rady, źle przesunął zera, wymnożone już tysiące zlały się z setkami, liczby umknęły z głowy. - Cholera! - zaklął, zadowolony jednak, że eksperyment przyniósł pewne odpowiedzi. Las nie wzmacniał naturalnych zdolności matematycznych.

Czym więc była działająca tu siła? Co tubylcy nazwali Smokiem? Jakie zjawisko zrodzone w kłębach magii przewalającej się przez tę krainę w czasach Wielkiej Wojny tak ją wypaczyło? A może jednak wlewała się tu magia z innego Planu?

Znów poczuł szarpnięcie kuli, podniósł ją do oczu - przezroczysta dotąd bryła zmętniała, jakby wstrzyknięto do jej wnętrza kilka kropel mleka. Białe zgęstki krążyły wewnątrz kryształu, pulsując w powolnym rytmie. I znów - Kajetanowi zdało się, że szybkość ich ruchu i częstość fluktuacji jakoś są ze sobą zsynchronizowane. Tylko jak?

Tak, to było fascynujące. Spróbował skoncentrować się na jednej z kropeł, przesuwał się najwolniej, z trudem kontrolował jej ruch, bo co chwila niknęła za innymi, a wypukłość kuli dodatkowo zniekształcała obraz. Nagle jednak kropla ta zaczęła zmieniać barwę, stała się

kanarkowożółta, tak że bez problemu mógł ją odróżnić od pozostałych. To puchła, to kurczyła się, w cyklu zgodnym z częstością obiegu, tak, teraz widział to wyraźnie, łapał zależność - trzy wzrosty na obieg, tak, teraz musi zająć się kolejną kroplą...

Nagle Kajetan zorientował się, że bezwiednie ruszył, że wciąż wpatrując się w kryształową piłeczkę, znów idzie leśną ścieżką, że osłabł szept czarów-zwiadowców sączących mu do ucha raporty. Zdołał dostrzec, że z zamkniętych na kulce palców wycisnął całą krew, tak że zbieleły i zdrętwiały. I że to zmrożenie spływa teraz wzdłuż przedramienia, niemal do łokcia.

Szarpnął ręką, wykrzykując zaporowe mantry, odrzucił kulkę.

Odrętwienie minęło nagle, jakby na powrót włączyły się wszystkie zmysły - znów usłyszał szum lasu i jednocześnie poczuł smród jęgrów. Jeszcze odległych, poza granicą kraju Smoka, ale licznych, coraz liczniejszych.

- Czarujesz, swolocz... - szepnął, podchodząc do kulki. Leżała nieruchomo na trawie, ponownie przezroczyta jak łaza olbrzyma. Artefakt próbował go zahipnotyzować, przejąć kontrolę. Czy to właśnie czekało uczniów, którzy brali go od mastermindów? Zaczynali analizować ruchy kropli, wyłapywać kinetyczne synchrony, a potem obca siła zawłaszczała ich ciała. Po co? Czyżby nie chcieli z własnej woli poddać się działaniu taumaturgii zwanej przez siebie Smokiem, do której przecież modlili się i której pragnęli?

Przyklęknął przy kulce, z kabury przy pasie wyjął cienką Inianą chustkę pokrytą mithrilowym haftem, delikatnym jak babie lato. Moc zawarta w potężnych znakach aż zmrowiła mu skórę. Rozłożył chustę na kolanie, uaktywnił, przejeżdżając opuszkami palców po krawędzi materiału. Uwolnił czary strażnicze, wyszeptując jednocześnie słowa przeprosin i podziękowań dla króla.

Siedem magicznych przedmiotów znaleziono przy ciele martwego królewicza Kazimierza, syna władcy. Przetwały to, co potomni nazwali Kolapsem - największe wyładowanie magii na Ziemi od czasu przybycia elfów - a co spowodziło zagładę na całą Armię Szczecin i zatopiło Skandynawię. Przechowywano je w warszawskim Arsenale, a pompy eteralne wyłaczały z nich moc niezbędną do budowy nad stolicą ochronnej tarczy.

Tylko chustki tam nie umieszczono. Król podarował ją Kajetanowi, gdy ten przeszedł do Ósmego Świata i uratował życie drugiego następcy, Stefana Białowłosego.

Teraz Kajetan chwycił w nią kulę, owinął, wsunął do kabury, dokładnie zapiął zamki. Mógł już się nie obawiać wpływu obcego artefaktu. Podniósł się i ruszył dalej.

Ścieżka zaczęła biec pod górę, zakosem wzdłuż stoku, który wzniósł się po lewej ręce Kajetana i stawał się coraz bardziej stromy. Nie przypominał zwykłego zbocza, poszarpanego, nierównego, z kawernami wyplukanymi przez spływającą wodę. Ten wyglądał raczej jak dzieło szalonego szlifierza, próbującego zamienić górę w rżnięty klejnot. Płaskie, rombokształtne fragmenty ciemnej skały tworzyły fasetowe zbocze, a na środku każdej ścianki wryto kilka kresek i kropek, które Kajetanowi najbardziej kojarzyły się z cyframi Majów. Miał jednak świadomość, że te symbole nie mają nic wspólnego z wymarłym ludem, a matematyczne skojarzenie stanowi konsekwencję poprzednich odkryć. Nagle ścieżka urwała się, czy też raczej gwałtownie skręciła w lewo, w głąb

góry.

Odbezpieczył wszystkie procedury bojowe, ale ich nie uruchamiał. Z kieszeni munduru wyjął bloczek czarów, oderwał i przykleił do skały kilka karteczek, aktywizował umieszczone na nich napisy, rozpoczynając tworzenie egid. Nie wyciągnął jeszcze broni. Nie wiedział, jakie zamiary wobec niego ma Smok, nie chciał prowokować nieznannej mocy. Pozwolił też na prekonstrukcję czaromatów, cienie trzech kotów przesunęły się obok niego.

Wszedł do korytarza, stąpając ostrożnie. Nie miał latarki, została w obozowisku, więc zaświecił czar z palców, tak że ciemność cofnęła się przed nim na kilka kroków. Wstąpił w nią ostrożnie.

Korytarz zakręcił, a potem nagle rozszerzył się. W nos Kajetana buchnęła fala zgnięto-słodkiej woni, która po chwili nabrała intensywności, stając się nieznośnym smrodem - brudu, kału, moczu i gnijącego mięsa.

A potem niemal jednocześnie zdarzyło się kilka rzeczy.

- Siedem milionów pięćset siedemdziesiąt siedem tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt - powiedział nagle Kajetan. Powtórzył. - Siedem milionów pięćset siedemdziesiąt siedem tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt. Umiem to policzyć.

Enpisy przybrały formy i rozpoczęły stawianie ochronnych pól.

Klucz Przejścia wiszący na szyi mężczyzny zadygotał, wyczuwając Przebicie.

Obca moc, potężna i władcza, opadła na Kajetana jak płat lepkiej tkaniny.

Nim zaczął się bronić, zdołał jeszcze rozpaścić światła i zobaczyć ciała. A gdy je ujrzał, poczuł strach.

- Podejrzewamy, że... - zaczął doktor Stefański.

- W zasadzie nie podejrzewamy, tylko mamy prawie pewność - zauważył elf.

- Czyli podejrzewamy z dużym prawdopodobieństwem - Stefański odczekał chwilę, by elf mógł potwierdzająco kiwnąć głową - że barlogi szykują matematyczną rewolucję. Sądzymy, że budują komputer. Twój syn właśnie to odkrył... z dość dużym prawdopodobieństwem.

- Komputer? Jeden? - zdziwił się Robert, a doktor Stefański zrobił taką minę, jakby miał przed sobą osobnika zdecydowanie cofniętego w rozwoju.

- Na razie, ale to początek - odpowiedział w końcu, wypowiadając słowa powoli i wyraźnie.

- Dobra, co ma z tym wspólnego miejsce, do którego dotarł Kajetan? I na cholerę im komputer?

- On tam właśnie powstaje. Nie wyobrażaj go sobie jako czegoś laptopopodobnego. Nie mamy pojęcia, jak to wygląda. Nie wiemy, jak ma działać. I do czego ostatecznie barlogi go wykorzystają. Ale to dla nas bardzo groźne. Chodzi o to, że...

Chodziło o to, że Przebicie spięło Ziemię z jakimś nieznanym elfom Planem, którego osnowę stanowiła zmaterializowana matematyka. Oczywiście Plany nie mogły się łączyć, ale jego emanacja wpływała na zachowanie przedmiotów i czarów. Barlogi postanowiły to wykorzystać, prawdopodobnie do podniesienia mocy obliczeniowych swojej cywilizacji.

A to stanowiło straszliwe zagrożenie dla ludzi i elfów. Ważnym elementem strategicznej

równowagi w Europie była technologiczna przewaga aliantów w przekształcaniu materii, w szczególności w zdolności do konstruowania zaawansowanych urządzeń - broni, środków łączności i transportu. Na Ziemi i elfy, i barłogi mogły wykorzystywać jedynie niektóre aspekty osnowy ich rodzimych światów, objawiające się tu w postaci nanokadabrowego czarodziejstwa elfów i fagowej magii Czarnych.

Ludzkie komputery stanowiły bardzo ważny element obrony przed najazdem. Umożliwiały sterowanie zaawansowanym sprzętem, obliczanie ruchu sztucznych satelitów czy precyzyjne pomiary astronomiczne niezbędne w magii zodiakalnej. Przede wszystkim zaś precyzyjne pomiary i symulacje zjawisk geomantycznych - pól sił, pływów geograficznych, magii kartograficznej. To komputery sterowały złożonymi systemami obronnego feng shui, chroniącego Wolny Świat, a decydującego i o układzie architektonicznym miast, i o harmonogramach bicia kościelnych dzwonów, i o świetlnych wzorach, w jakie musiały układać się żarówki zapalane na blokowiskach, i o rozkładach jazdy pociągów.

Barłogi za tym nie nadały. Na opanowanych terenach wymordowały większość ludzi, resztę zamieniły w niewolników - dostawców prostej pracy i energii życiowej. Jegrzy, przetwarzani na sługi Czarnych już jako dwulatki, nie mieli szans poznać dokonań ludzkiej nauki.

Jednak barłogi uczyły się na błędach. W ostatnich latach zdarzyło się kilkanaście zdalnych opętania wśród najwyższej klasy specjalistów - fizyków, matematyków, informatyków. Przyjmowali nową wiarę, stawali się wołchwami i starali przedostać do swych czarnych panów. Robert pracował przy kilku takich sprawach, ogólnie w służbach panowało przekonanie, że udaremnilo wszystkie próby opętania najważniejszych specjalistów z dziedzin technicznych. Rzecz jasna, nie udaremnilo tych, o których nigdy się nie dowiedziano. Jednak szansa, by barłogi były w stanie szybko nadrobić technologiczne zapóźnienie, na szczęście była niewielka. Nauki ścisłe są jak rafa koralowa - rosną na trupach i konstrukcjach poprzednich pokoleń. Nie da się od razu projektować mikroprocesorów i nokii, jeśli wcześniej tysiące inżynierów nie zajmowało się lampami elektronowymi i eniacami. Nie zbuduje się F-23, jeśli przez kilka pokoleń nie projektowało się spitfire'ów, a jądrowej elektrowni, jeśli wcześniej jakaś Skłodowska nie dłubała pipetą w radzie.

Teraz barłogi - o ile teoria snuta przez Stefańskiego miała się okazać prawdziwa - być może znalazły sposób na obejście tego problemu. Mogą oprzeć swoje działania technologiczne o systemy komputerowe zbudowane na innej bazie niż techniki elektroniczne. Nikt nie był pewien, jak daleko już zaszli ani jakie możliwości dawał kontakt z nowym Planem. Tym miały się zająć późniejsze wyprawy, kiedy już Kajetan...

- To wspomniał geograf - powiedział elf. - Już dokonał wielkiej rzeczy, dotarł do tego miejsca, potwierdził nasze podejrzenia.

- Ale to nie koniec - powiedział cicho Robert, bo już wiedział, czego zażąda Grendor Majchrzak.

- To nie koniec. Zawędrował tak daleko i musi dostarczyć nam tak dużo informacji, jak to tylko możliwe.

- I to ja mam je od niego odebrać? Potrzebny jestem jako wsparcie dla transmisji zwrotnej?

- Tak. - Elf kiwnął głową.

- A jeśli twój syn uzna, że to konieczne - po raz pierwszy od początku tej rozmowy w głosie doktora Stefańskiego dało się wyczuć emocje - musi zniszczyć Przebicie, nie bacząc na konsekwencje.

- On tam zginie.

- Jest żołnierzem, pułkownikiem. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Ale zrobimy wszystko, by go ocalić. I pan może nam w tym pomóc. Na razie jednak musimy znów nawiązać z nim łączność.

*

Wszystko to stało się niemal równocześnie.

Kajetan ogarnął szybkim spojrzeniem upiorną kolekcję i już wiedział, że ciał jest równo osiemdziesiąt trzy - dwadzieścia cztery stały, wspierając się plecami o ściany, trzynaście, również pod ścianami, kucalo, obejmując kolana ramionami. Pozostali lewitowali nieruchomo na różnych wysokościach groty, a siła utrzymująca ich w powietrzu drżała lekko, bo ciała minimalnie zmieniały swoje położenie, jak balony na uwięzi poruszane podmuchami wiatru.

Uwięzią były ich oczy, a raczej to, co z nich wyrastało. Grube białe liny skręcone z pulsujących włókien wychodziły z oczodołów ludzi, rozbiegając się zazwyczaj pod ostrym kątem, by trafić w oko innego nieszczęśnika. Tworzyły skomplikowaną konstrukcję, podobną do przepłotów, jakimi bawią się czasem dzieci, przerzucając sznurkowe pętle z dłoni na dłonie.

„Zabiorą ci oczy”. Teraz Kajetan zrozumiał, o co tak naprawdę chodziło strażnikowi krainy Smoka.

Ludzie byli nadzy i wciąż żyli. Szeroko otwartymi ustami ciężko chwyтали powietrze, ale ich ciała sprawiały wrażenie odżywionych, wręcz otyłych, a na napiętej skórze widać było ślady ściekającej uryny, kału i wymiocin. Na dnie jaskini leżało też kilka szkieletów i gnijących od nie tak dawna trupów. Fetor znów uderzył Kajetana w nozdrza.

Ludzie szeptali. Nie wszyscy naraz i nie wszyscy to samo. Niektórzy tylko jęczeli, inni pomrukiwali jakieś melodie lub wykrzykiwali niezrozumiałe słowa. Przez ten zbiorowy pomruk przebijało się kilka głosów, monotonna deklamujących ciągi liczb albo poszarpane fragmenty zdań:

- ...zero-jeden-zero-zero-zero-jeden, zero-jeden-zero- -zero-jeden-jeden, zero-jeden-zero-jeden-jeden-jeden...

- ...wzrost, wzrost, wzrost, wzrost, wzrost...

- ...sześć, dziewięć, trzy, dziewięć, dziewięć, trzy, siedem, pięć, jeden, zero...

- ...odwzorowanie f ma dokładnie jeden punkt stały x zero, przechodzi przez ortocentrum danego trójkąta po drodze zamkniętej z funkcji holomorficznej dla dowolnego zbioru borelowskiego A ...

- ...osiem-jeden-dwa-osiem, trzy-trzy-pięć-pięć...

- ...wzrost, wzrost, wzrost, wzrost, wzrost...

- ...nie rozumiem... liczę... nie rozumiem... to wyniknie rozumiem...

W tym pomieszanych bełkocie, jakby na dnie studni dźwięku, usłyszał Kajetan jeszcze jeden głos, powtarzane bez końca słowo:

- ...pomocy, pomocy, pomocy, pomocy...

Teraz dostrzegał więcej szczegółów. Liny wyrastające z ludzkich oczodołów były mocno napięte, niemal nie dawało się dostrzec ich grawitacyjnego ugięcia - a jednak czasami naprężały się jeszcze bardziej, szła wtedy po nich ledwie zauważalna fala, delikatny błysk. Kiedy ta pulsacja docierała do człowieka-węzła sieci, ten napinał się na moment, zaciskał dłonie w pięści, podkulał kolana, skręcał stopy do wewnątrz, przerywał swoje mamrotanie, czasem delikatnie ruszał głową. Potem wiotczał na powrót, uspokajał się.

Kajetan zrobił kilka kroków w głąb pomieszczenia. Teraz dokładniej przyjrzał się jego ścianom. Zachowały naturalną nieregularność, ale w układzie skalnych występów i bruzd była jakaś powtarzalność. Cienie tworzyły wielkie plamy, pozornie bezkształtne, ale przy bliższej obserwacji bardzo przypominające siatki, jakie dzieci wycinają z kartonu, by je posklejać w modele brył na lekcje geometrii, tyle że nie były to raczej sześciiany czy prawidłowe ostrosłupy, a konstrukcje znacznie bardziej skomplikowane. Jednak Kajetan uświadomił sobie, że nie ma żadnych problemów z wyobrażeniem sobie tych brył - Archimedesowych graniastosłupów, z których wyrastają jak małe kryształki kolejne bryły; antygraniastosłupów, których trójkątne ściany przenikają przelotowe otwory; pozrastanych z walcami stożków.

Jednak kiedy dla próby wzmocnił osłonę mantrą, nagle przestał dostrzegać w cieniach jaskini jakąkolwiek regularność, a obrazy dziwnych brył zatarły się w jego myślach.

To obca magia. Wpływała na geometryczną regularność otaczającego jaskinię świata ożywionego. Potrafiła zmienić probabilistykę, gdy rzucał szyszkami. Dała mu umiejętność szybkich rachunków i błyskawicznego szacowania liczebności, a przed chwilą także zdolność do wyobrażania sobie geometrycznych konstrukcji.

Zobaczył też maszynę Czarnych.

Na środku komnaty stała schodkowa tracheida, odwrócona podstawą do góry. Jej gardziel mogła mieć trzy metry szerokości, wyrastały z niej pęki eteralnych wici sięgających w górę, ku ciałom uwięzionych.

W dół płynęła magia. Nieznana Kajetanowi tak z formy, jak i z mocy, oparta o osnowę obcego Planu, wysysana z ludzi ambra o woni drażniącej egidy geografa. Czary Smoka.

Ludzie połączeni żywymi sznurami przekształconych oczu byli jego wzmacniaczem lub osłoną. Narzędziem lub zgubnym skutkiem. Przetwarzającym procesorem lub dojonym bydłem.

- To jest pompa...

Nie dokończył. Atak przyszedł ze wszystkich stron. Obca moc uderzyła w kadabrową zbroję, a z ciemności wystrzelił ku niemu półprzezroczysty kształt. Smok.

Nie miał formy, nie składał się z materii, nie żył. Chyba. Wynurzał się ze ścian jaskini, materializował w powietrzu, pęczniał na oczodolnych linach.

Smok był rojem kryształów, półprzezroczystych brył - wielościanów, torusów, kul - wszystkie

one krążyły wokół siebie, jednocześnie zmieniając kształty i proporcje. Feerią blasku podlegającą prawom nieznannej dynamiki; wirujące obiekty tworzyły konstrukty wyższego rzędu, tak jak gwiazdy nadają kształty galaktykom. W powietrzu powstawały dzwonowate cielska złożone z wirowania i błysku; paraboloidy, których brzegów nie dało się dostrzec w ciemności; preclopodobne, ale o wiele mocniej niż ciastka zasupłane strumienie kryształów.

Ale przecież nie z minerału - diamentu czy szkła - zbudowany był Smok, bo jego molekuly bez problemu przenikały ludzkie ciała, wchodziły w ściany jaskini, by wynurzyć się w innym miejscu, przenikały się nawzajem, wchłaniały, łączyły.

Obca moc uderzyła w pola ochronne Kajetana z siłą, jakiej nie doświadczył od dawna, czuł mrowienie całego ciała, jakby milion mikroskopijnych zegarków cykało mu pod skórą, taktowało puls jego krwi, próbowało zsynchronizować się i z napięciem mięśni, i z myślami.

Nie miał już na co czekać, nie mógł już liczyć na porozumienie z tym... czymś...

Jeszcze nie wiedział, czyni jest Smok. Czy to istota z obcego świata, czy jedynie jej cień, który tu przeniknął i przekształca materialną rzeczywistość Planu Ziemi według swoich wzorców. A może to urządzenie, konstrukt, robot-strażnik ustawiony przez swych twórców do pilnowania punktu Przebicia? Czy to siła, fizyczne oddziaływanie z innego Planu, odpowiednik ziemskiej grawitacji czy elektromagnetyki? Albo jedynie jej odwzorowanie, symbol, wyobrażenie, tak jak symbolem jest wyrysowana na papierze strzałka wektora.

Zamieć trwała, kryształy wirujące wokół zmiennych centroid otoczyły Kajetana, odcinając mu drogę do wyjścia z jaskini, poczuł, że cyklon zaciska się, że jego enpisy słabną, że mantra bojowa zwalnia. Coś dziwnego działo się z jego wzrokiem, obraz zaczął się rozpadać, kruszyć, stawać ziarnisty, jakby rzeczywistość ogarnęła pikseloza.

Zaczął gubić czas. Uciekały mu zrazu nanosekundy rzeczywistości, potem już pewnie mikrosekundy. Niełatwo się zorientować, że coś takiego się dzieje. Wszak światło przebywa jeden kilometr w ponad trzy mikrosekundy, ludzki umysł nie jest w stanie zauważyć takich zmian. Ale organizm Kajetana zanurzony był teraz w kadabrowej osłonie, czaromaty same sterowały setkami zakłęb generowanych przez zbroję, zarządzały enpisami, fazą pól ochronnych, gradientami mocy. I to one zaczęły się wieszać, odłączać na mikrosekundowe momenty, które w ich wewnętrznym taktowaniu stanowiły znaczące odcinki czasu. Raporty automatycznie szły do umysłu Kajetana, wpływały na moc jego mantr i wykrzykiwanych zakłęb. Magia obronna człowieka zachowywała się tak, jakby jej rzeczywistość stroboskopowo wyłączano i włączano.

Wciąż walczył. Ciął mieczem bryłę, która podpłynęła zbyt blisko. Zaskwierczała jak kawałek tłuszczu wrzucony na rozgrzaną patelnię, a potem zaczęła transformować - na moment rozpadła się na tysiące drobin, które roztrysnęły się we wszystkie strony, niczym telewizyjna symulacja Big Bangu. Zaraz jednak zwinęły się powtórnie, zeszyły w stary kształt, który znów zawirował wokół Kajetana w bezpiecznej odległości.

Smok ponownie się przekształcał. Część kryształów zaczęła wirować w jednej płaszczyźnie i ten ustawiony niemal pionowo dysk zaczął sunąć w stronę Kajetana, jak gigantyczna piła tarczowa

rozcinając nanokadabrowe warstwy ochronne. Skoczyła ku niej Bagheera i padła rozplątana na pół. Poszedł Mufasa i rozprysnął się na wypalone nanokadabry, a potężne elfie czary zmieniły się w popiół.

Z ciemności wyłoniły się dwie kryształowe kule, takie same jak ta, którą Kajetan zawinał w królewską chustkę. Małe jak gałki oczne, zawisły nieruchomo, a potem powoli zaczęły płynąć ku twarzy człowieka. Ciała wypełniające jaskinię zadygotały, po mięsistych linach przepłynęły szybkie impulsy. Perystaltyka Smoka. Sieć czekała na nowy węzeł. Procesor. Dawcę.

Kajetan padł na kolana i zaczął się modlić.

- *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum; benedicta tu in mulieribus...*

Czuł, jak z każdym słowem wracają mu siły, czuł, jak wzbiera moc ryngrafu. Gorąco zalało jego pierś. Spod bluzy, jakby z wnętrza ciała, bluznął strumień światła. Potężny medalion, poświęcona kopia tego, który przed stuleciami nosił Józef Sawa-Caliński, zaczął stawiać ostateczną osłonę, jego wyrźnięty ze światła kształt rósł między Kajetanem a wirującym ostrzem Smoka. Wizerunek Matki Boskiej potężniał, a moc napędzana zakutymi w ryngrafie ziarnami piasku z bitewnych pól dawnych polskich królestw zaczynała zmieniać rzeczywistość.

Kryształy Smoka, które weszły w tę przestrzeń, rozpryskiwały się bezpowrotnie i ostatecznie, śląc do umysłu Kajetana wizję zagubionych liczb, złamanych twierdzeń, obalonych dowodów. Nie umiał tego smoczego umierania porównać z niczym innym jak z uczuciem, którego doznawał dawno, dawno temu, gdy studiował. Gdy rozgryzał jakieś zagadnienie lub musiał zrozumieć skomplikowany wzór. Zdarzało się, że znajdował rozwiązanie, ogarniał regułę, poznawał odpowiedź - dumny i zadowolony - i nagle orientował się, że jednak nie, popełnił błąd w rachunkach, wyprowadził dowód z błędem w założeniach, nie uwzględnił jakiegoś wyjątku. Takie właśnie uczucie - tyle że zwielokrotnione do granicy cierpienia - uderzało go teraz co chwila.

Ale zwyciężał, ostatni ocalały epizodowy kot miażdżył w zębach molekuly Smoka, miecz kroił je na kawałki, magia ryngrafu unicestwiała wrogą moc.

I wtedy właśnie czarna strzała wbiła się w plecy Kajetana, a fagi rozgrzały w ranie gangrenę bólu.

Jegierski strzelec oblizał drugą strzałę, nałożył ją na cięciwę i napiął łuk.

*

Kiedy elf podłączał Roberta do aparatury, Stefański dopowiadał jeszcze resztę wyjaśnień:

- Nie wiemy, czy mamy tu do czynienia z przypadkowym przebicciem, czy świadomym działaniem obcych istot, i których? Barlogów? Nieznanej nam rasy? Nie mamy pojęcia, czy ta obca siła próbuje tu po prostu przetrwać, czy bada nasz świat. Ważne są efekty. A jest nim podniesiony poziom - jak by to powiedzieć - umatematycznienia rzeczywistości. Sądzymy, że buduje magiczne sieci informatyczne, sprzęga ludzi, testuje ich na grach i łamigłówkach, pożera i wykorzystuje. Potwór topologiczny. Jest po naszej stronie, ale zawinięty, chyba nie objawił w pełni tej mocy. A może jest gdzie indziej, a my widzimy tylko jego emanację. Nazywamy go Iksem.

- Barlogi używają systemu trójkowego, o ile pamiętam.

- Tak sądzimy. Nie jest idealny, ale strukturalnie nie różni się od żadnego innego. Komputery wykorzystują układ dwójkowy, bo to odpowiada dwóm naturalnym stanom logicznym i elektrycznym - jest ładunek, nie ma ładunku. Systemu dziesiętkowego, który wydaje nam się oczywisty, używamy przez przypadek, bo tyłoma palcami u rąk obdarzyła nas ewolucja. Ale to wcale nie jest najwygodniejszy system, dziesiątki słabo się dzielą na ćwiartki i tercje. Dlatego w przeszłości równolegle korzystano z systemu tuzinowego, tych wszystkich kop i mendli. Po prostu wielokrotności dwunastu łatwo dzieli się na trzy, cztery i bardziej złożone kawałki. System trójkowy ma jedną zaletę. Upraszczając - jeśli chcesz mieć możliwość zważenia dowolnej masy, posiadając najmniejszą liczbę odważników, powinieneś używać łańcucha ciężarków będących wielokrotnością właśnie trzech. Czyli dziewięć, dwadzieścia siedem, osiemdziesiąt jeden i tak dalej. Ten rodzaj ekonomiki kalkulacyjnej leży, z tego, co wiemy, u podstaw matematyki barlogów. Słabo znamy techniki obliczeniowe Czarnych, ale są one jakoś wpisane w fizjologię ich organizmów. Nie zmechanizowali tej umiejętności i dlatego mamy nad nimi przewagę.

- Która może zniknąć, jeśli Kajetanowi nie uda się wskazać nam punktu Przebiccia poprzez Kurtyny i Horyzonty.

- Dokładnie tak, pułkowniku Gralewski.

- Zaczynamy odliczanie! - Z umieszczonego pod sufitem głośnika dobiegały nerwowe głosy kilku osób.

- Transmisja za sto dwadzieścia sekund!

- Łapię synchron!

- Satelity na pozycjach!

- Sekcja bojowa potwierdza gotowość!

- Helikoptery w powietrzu!

- Transmisja za sto osiem sekund!

Głosy stawały się coraz mniej piskliwe - znak, że Robert przechodził w czasoprzyśpieszenie, synchronizując się z technikami.

- Jest pan gotów, pułkowniku? - Elf szybkimi ruchami dłoni jeszcze raz kontrolował położenie elektrod i transponderów opinających głowę i klatkę piersiową Roberta.

- Tak, jesteeem! - szepnął człowiek, przeciągając ostatnie słowo. Wywary powoli zaczynały przejmować kontrolę nad jego ciałem, zanurzając umysł w narkotycznym transie, otwierając zmysły i wzmacniając synchrony z elfią aparaturą. Przestało mu nawet przeszkadzać rzeźbione oparcie fotela, tym bardziej że wiedział już, po co drewniane ostrza wbijają się w jego skórę. Wiedział, że kiedy zacznie się transmisja, wypuszczą one eteralne macki, które wnikną w mięśnie i podłączą się do meridian ciała, pompując jego aurę z tych naturalnych linii energetycznych.

- Powodzenia, pułkowniku. Ku chwale Ojczyzny. - Grendor Majchrzak zsalutował i wyszedł z pomieszczenia.

- Ku chwaaa... - chciał odpowiedzieć Robert, ale już nie zdołał. Oczami o rozszerzonych źrenicach obserwował zmiany, które zaczęły zachodzić w wyłożonym mosiężnymi ścianami

pomieszczeniu.

Włączyły się pompy eteralne, moc popłynęła przewodami, w zasadzie niewidocznymi, tylko na stykach łączy iskrzyło czasem i tam objawiały się odpryski magii - wyrastały i więdły momentalnie małe kwiaty, wystrzeliwały mikroskopijne protuberancje światła, wyświetlały się na chwilę jakieś szczałkowe wizje z innych Planów. Wszystko trwało ułamki sekund, na żadnym z tych zjawisk nie sposób było zatrzymać wzroku, przyjrzeć mu się dokładniej.

Robert odbierał tylko, że nanokadabrowe fale wnikają w jego ciało i układają się w nim jak w gipsowej formie. Czuł obcą siłę w umyśle przewijającą przed jego oczami wspomnienia i opowieści.

Te najważniejsze, związane z Kajetanem. Dobre chwile z przeszłości, wspólnie spędzonego czasu, zabawy, rozmów. Dumę, gdy Kajetan piął się po szczeblach wojskowej kariery, a o jego czynach pisano w tajnych raportach. Radość, kiedy królewscy synowie uznali Kajetana za przyjaciela.

Maszyna nawet nie musnęła wspomnień złych i smutnych, obrazów śmierci i buntu, czasu kłótni i milczenia. One nie były teraz potrzebne.

Ta energia pozytywna popłynie do wzmacniaczy, stamtąd do nadajników, te zaś wypchną ją na orbitę, by satelity mogły przerzucić ją ponad Zachodnimi Kresami Rzeczpospolitej, ponad granicznymi barierami barlogów, ponad Europą skażoną czarną mocą, wprost do umysłu tego, którego dotyczyły - Kajetana.

- Triangulujemy!
- Król potwierdził zgodę!
- Helikoptery wyszły za rzekę!
- Flota wynurza się!
- On umiera! On umiera!
- Transmisja za dwanaście sekund!
- Pasterze chmur w drodze!
- Uwaga, zaczynamy!

Kajetan padł na kolana. Ból sparaliżował jego ciało, a to był dopiero początek. Za chwilę rana poszerzy się, kości zaczną pękać, skóra odejdzie od mięśni jak sparzona wrzątkiem. Fagi wyżrą od wewnątrz organizm i umysł. Wsparty na dłoniach, widział przed sobą zbliżającą się krawędź kryształowej maszyny Smoka, czuł, że druga strzała mknie ku jego nieosłoniętym plecóm, usłyszał płacz sygnalizujący ostateczne przepalenie egidy. Świetlisty ryngraf gasł i kurczył się.

Krzyknął chrapliwie, wyrzaskiwał ostatnie słowa modlitwy, po to już tylko, by ochronić swój umysł, by jego gasnących myśli nie przejęli jegrzy, by nie uwięzili ich w czarnych kryształach, które staną się jajami kolejnych symbiotycznych robaków. Chciał umrzeć jasno, chciał odejść wolny, chciał...

Chciał żyć!

Nie dokończył jeszcze tak wielu rzeczy!

Poczuł płynącą moc. Zrazu jeden impuls, przedzierający się przez osłony zbudowane przez barlogów, ale i przez moc Smoka. Potem całe słowo.

KAJETAN:

Znał ten głos. Odrzucił go w gniewnym buncie, zostawił za sobą, nie chciał go słuchać. Ale przecież wiedział, tak, wiedział dobrze, że ten głos ocalił go wiele lat temu, dał mu potem miłość i opiekę, że wciąż za tym głosem tęsknił.

KAJETAN!

OJCZE:

WSTAŃ!

Moc popłynęła wartką strugą - zawieszony nad kryjówką Smoka satelita rzygał nią, wypalając do szczytu swoje jądro, ciągnął z innych sputników, z astrologicznych układów budowanych na odległym Marsie symboli, a także z Roberta.

WSTAŃ!

Bagheera skoczyła, przecinając lot czarnej strzały, chwyciła ją w pysk, strzaskała w zębach. Runęła ku jegrom.

Nanokadabry załśniły wokół ciała Kajetana, tkwiący w jego plecach czarny bełt nagle zaczął transformować, rosnąć, rozszczepiać się, zmieniając w ciągu kilkunastu sekund w magiczny totem, nanokadabrowe husarskie skrzydło, budujące swe własne ochronne tarcze.

Znów rozbłysł ryngraf, osłonił Kajetana od przodu.

Zaryczał lew. Tygrys ożył, by pomóc panterze.

Kajetan wstał z ziemi i podniósł miecz. Sięgnął do pasa po elfią chustkę, wytrząsnął z jej wnętrza popiół z kryształowej kulki, wypowiedział zaklęcia. Materiał zaczął rosnąć i sztywnieć, zamieniając się w tarczę z czwórdzielnym polem, białą-czerwoną szachownicą.

WSTAŃ!

- Stoję, ojcze. Już stoję!

POTWIERDŹ POZYCJĘ:

I tak był zdekonspirowany, nie miał na co dłużej czekać. Ściągnął z nadgarstka azymulet, cisnął na ziemię. Szybko wykrzyczał zaklęcia. Bransoletka natychmiast zaczęła się przekształcać, formując w organiczny kształt - drzewko bonsai z czarów napiętych na samej osnowie ziemskiego Planu. Rosło, dojrzewało, kumulując energię.

Eteralne kondensatory napinały się wewnątrz azymuletu jak pęczniejące żyły.

- Łącz! - Kajetan powiedział ostatnie słowo klucza. Krótkie. Szybkie. Zbudowane z trzech polskich głosek, nie do zablokowania przez jegrów.

Azymulet plunął energią, eteralny pocisk pomknął ku orbicie, a dalej, przekazany przez wypalający się właśnie sputnik - do Warszawy. Kroił zasłony Horyzontu, przedzierał się przez bariery zmiennej geografii, wytrawiał w przestrzeni wąski tunel. Łącze, po którym można będzie odnaleźć drogę do miejsca zakrytego do tej pory przed oczami ludzi Kurtynami, przeczarowanego

w czasie Wielkiej Wojny świata.

Królewski geograf wypełnił swoją misję.

*

- Co z pułkownikiem Gralewskim, doktorze? - Grendor Majchrzak z niepokojem patrzył na

rej aparatury monitorującej stan Roberta.

pulsujące światła OIOM-owej aparatury monitorującej stan Roberta.

- Słabnie, ale na razie się trzyma. Musicie to przerwać w ciągu trzech, czterech minut.

Zdążycie?

- Nie wiem. - Elf odwrócił się ku konsoli łącznościowców. - Co u was?

- Podtrzymujemy sprzęg bezpośredni, zbieramy terabajty danych na sekundę. Ciągłe płyną nowe.

- Ważne?

- Bezcenny materiał - powiedział Stefan Stefański, przyglądając włosy i aż posapując z podniecenia. Jego miny nie dało się dostrzec, bo niemal całą twarz zasłaniały mu wielkie gogle, na które szły raporty od deszyfrantów.

- Strategia? - Następna konsola, dwa elfy i człowiek pracujący w niemal dwukrotnym czasoprzyspieszeniu.

- Dajemy mu zwrotne formuły. Są kłopoty z kodowaniem, przepustowość kanału za mała.

- Na czym opieracie wsparcie?

- Modyfikujemy magię obronną, przebudowaliśmy już jego tarczę, udało nam się pozbierać do kupy enpisy.

- Co jeszcze możecie zrobić?

- Niewiele.

- Wiecie już, gdzie to jest?

- Około ośmiuset kilometrów za Odrą. Helikoptery dojdą na styku, ogromne ryzyko.

- Kawaleria powietrzna zrobi wszystko, by ratować Kajetana Kłobudzkiego. Ślubowali mu po tej sprawie z grafem.

- Pomimo to uważam, że nie powinniśmy ryzykować.

- Zgadzam się z analizą. Posadźcie je w bazie.

- Zostawiamy go? - Stefan Stefański nagle się ożywił, doskoczył do elfa, zaczął mu machać rękoma przed twarzą. - Zostawiamy?! Nie taka była rozmowa z Robertem! Nie...

- Proszę się uspokoić, doktorze - powiedział spokojnie elf. - Nie zostawiamy go, po prostu nie możemy tam wysłać helikopterów. Są inne sposoby.

- Ale przecież...

- Mam analizy pierwszych transmisji! Mnóstwo danych! - krzyknął nagle łącznościowiec. - I... O Boże...

O Boże...

- Co jest?! - Grendor Majchrzak doskoczył do człowieka.

- Pomierzyliśmy gradienty mocy, o, z tych zapisów. - Na ekranie pojawił się obraz odległego o setki kilometrów lasu, a raczej tego, co z niego zostało po stoczonych przed laty bitwie.

- Co to jest?

- Pobojuwisko. Barłogi zaatakowały Iksa. Wyssał je jak sok przez rurkę, tu, tu i tu. - Na ekranie rozświetlały się kolejne czerwone punkty. - Mamy tam ich eteralne skorupy. Puste.

- To znaczy, że...

- Że Ix włada potężną magią. Że Kajetan nie ma szans, nawet przy naszym wsparciu.

- Doktorze?

- Dwie minuty. Może minuta dłużej.

- Łączność?

- Wypaliliśmy już trzy satelity. Możemy stracić najwyżej jeszcze jedną.

- Doktorze Stefański?

- To materiał bezcenny dla naszych analityków - mężczyzna już się uspokoił, odpowiadał cichym, zrezygnowanym głosem. - Łapiemy ośnowę nowego Planu. Każda minuta transmisji jest ważna.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na szefa operacji, majora Grendora Majchrzaka, elfa Zakonu Pi.

- Kontynuować misję. Wzmocnić wsparcie dla geografa. Utrzymywać łączność jak długo się da, do wypalenia satelity lub śmierci oficerów.

- Proszę o potwierdzenie rozkazu - spokojnie powiedział lekarz.

- Kontynuujemy misję do wypalenia satelity lub śmierci oficerów.

Smok rósł i potężniał, wyprocedował już najwyraźniej, że Kajetan nie jest po prostu kolejnym potencjalnym ogniwem sieci, może nieco bardziej trudnym do opanowania i krnąbrniejszym niż poprzednie, że to reprezentant innej siły. Wyestymował też jegrów, niewolników swych dawnych wrogów, z którymi walczył już przed laty. Analizował zdarzenie losowe ich równoczesnego pojawienia się i wyliczył, że dotychczasowe algorytmy nie wystarczą. Rozpoczął iterację swych modułów, jednokładny wzrost. Sieć ludzkich ciał parowała korpuskułami formuł, twardych dowodów, bezwzględnych twierdzeń, wielomiennymi ciągami.

Smok rósł i groził.

Smok rósł i groził.

A przecież Kajetan miał przeciw sobie także oddział jegrów. W skowycie ich bojowych okrzyków czuł iniekcję mocy, bezwzględne wsparcie, które zbliżało się, narastając na rzeczywistość jak rak na zdrową tkankę. To barłogi ruszyły ze swych leży, cały miot wypełził na świat z eteralnych lęgów. Rozgrywały się tu zbyt ważne wydarzenia, by mogli zaufać wyłącznie sile swych czarnych janczarów. Fagowa magia pełzła ku Górze Smoka jak kożuch pleśni, pożerając życie i uczucia.

Już wiedziała, kim jest Kajetan, już rozpoczęła atak. Obrazy matki i siostry wdarły się do jego

umysłu, krzyk umierającej, płonącej żywcem kobiety, szloch konającego dziecka, któremu karzeł z obcego Planu poderznął gardło. I dalej, i dalej - kolejne wspomnienia własne i obrazy przesłane z umysłów gasnących w bitwach, w których sam nie brał udziału. Przyjaciele kadeci ginący na placówkach rozsianych po całych Zachodnich Kresach. Współmieszkańcy wioski, z której uciekł, a na którą spadła zemsta jegrów. Johan, głupi posiadacz wielkiego ptaka, niewinny zdrajca. I inni, tak wielu, tak wielu, którzy umierali u jego boku lub po to, by mógł wypełniać swe misje.

Barlogi zbliżały się i groziły.

- Mamy sygnał! - krzyknął nagle Grendor Majchrzak. - Zuch chłopak! Łączcie mnie z hetmanem!

- Zabierzcie go stamtąd!

- To zależy tylko od niego.

- Da radę?

- Nie wiem, nie wiem.

- Łącz hetmana. Natychmiast!

- Tak jest!

Co prawda Smok zaatakował i jegrów. Kryształ jego ciała przebijały się przez fagowe tarcze i wnikały w ciała Czarnych. Jegrzy umierali w milczeniu, zapadali się w siebie, jakby wsysała ich wewnętrzna czarna dziura wytworzona przez ułamek smoczego cielska. Geometryczna struktura przestrzeni zwijała się.

Kajetan walczył, choć przecież nie mógł wygrać. Nie w tym miejscu i czasie. Nie sam. Nie z płynącym przez ciemność miotem barlogów i nie z mocą, która taki oddział przed laty sama pokonała.

Ale tłukł mieczem kryształowe cielsko, zastawiał enpismi jegierskie strzały, modlił się. Walczył o każdą minutę życia, jakby bił się o wieczność. Musiał zdobyć jeszcze tak wiele informacji. Pytania pojawiały się jak cichy szept na granicy percepcji, jakby nie chcąc zakłócać pracy umysłu skoncentrowanego na walce o życie. Jednak zagnieżdżały się w mózgu, powracały, sprawiały, że musiał szukać na nie odpowiedzi. Pojął już, że to sygnał z zewnątrz, że dostaje wsparcie, ale też kolejne zadania, które ma zrealizować w ostatnich minutach życia.

Rozumiał to. Był królewskim geografem, badał obce światy. Był wojownikiem od lat walczącym z wrogiem. Był dzieckiem, któremu Czarni zabrali najbliższych. Więc walczył o każdą minutę i próbował odpowiadać na pytania.

Czy barlogi pozostają w sojuszu z obcą siłą? Nie, nie wiadomo, kiedyś walczyły ze sobą, ale od lat pozostają w pokoju. Może się dogadały, zawarły układ. Czarni karmią Smoka ludźmi, a on daje im swą moc.

Jak ona działa? Nie mam pewności, ale na pewno umatematycznia świat, wpływa na fizykę i biologię, zwiększa moc obliczeniową, zmienia gradienty prawdopodobieństwa.

Co ze Smokiem robią barlogi? Raczej nie budują niczego w pobliżu siedziby Smoka, chyba

zbierają tę moc, magazynują, przesyłają dalej na zachód, by przetworzyć na potrzeby swej fagowej magii.

Co już osiągnęły? Nie wiem.

Jakie są ich plany? Nie wiem.

Czym jest Smok? Nie wiem.

Satelity słały obrazy, fotografie prawdziwej geografii, skany osnowy, prześwietlenia innych Planów. Teraz gdy magia geografa przedarła się przez Kurtyny i wskazała drogę dla szpiegowskich czaromatów, mapa tajemnego miejsca rozwinęła się na ściennych ekranach w hetmańskim sztabie.

W miarę namierzania i potwierdzania danych na monitorach rysowała się góra o kształcie regularnego ostrosłupa, wiodące do niej drogi, obszary spustoszone przez dawne bitwy, ludzka wioska, baza jęgrów.

We wnętrzu góry pulsowała czerwona plama wyznaczająca miejsce wniknięcia Planu Iksa na Ziemię. Komputery sztabowe próbowały ją wymierzyć i zanalizować, porównać z siłami znanymi z innych światów, wyskalować. Jednocześnie sprawdzano, czy jest ona używana gdzieś jeszcze. I wkrótce odkryto jej kolejne impulsy - trzy cienkie nici biegnące z siedziby Iksa na zachód, wzdłuż górskiego zbocza, ku niewielkim zabudowaniom.

Satelity wyostrzyły wzrok.

Budynek był zagrzebany w ziemi i chroniony silną zaporą fagową, tak by można go było wziąć za lęgnię albo cekhauz barlogów, budynek gospodarczy czy spiżarnię. Ale to tylko maska - do budynku prowadziły bowiem trzy czerwone nici, też cyfrowane ochronnym ornamentem. To był magazyn, kolektor, gromadzący magię Iksa.

Satelity znów zwiększyły dystans, objęły pelengiem większy teren. Czerwona kropka mignęła niemal na skraju ich zasięgu. Mały punkt obcej mocy powoli przesuwał się na zachód, również starannie chroniony. Gdyby nie dokonane od wewnątrz przebicie Kurtyn, nigdy nie zdołano by go namierzyć.

Transport. Balot pozyskanej we wnętrzu góry obcej mocy, wieziony do Gehenny - serca Europy barlogów.

Matematyka. Pompowana z osnowy obcego Planu, przekształcana, by mogła być wykorzystana na Ziemi, skroplona i zapakowana w szczelne kontenery.

Co stanie się, gdy barlogi nią zawładną?

Koniec. Cały świat zmieni się w Gehennę.

- Barlogi się ruszyły!

Elf skoczył do monitora.

- Cały miot! Idą na Kajetana!

- Analiza?

- Zbrojnie. Rosną, ciągną moc z wież wewnętrznych. Potężne wyładowania.
- To wszystko na Kajetana?
- Może nie wiedzą, jakie tam mamy siły?

Grendor Majchrzak zamarł w bezruchu, zgarbiony, z lewą nogą wysuniętą do przodu na ugiętym kolanie. Nie mogło mu być wygodnie, ale elfy często tak zastygały, gdy myślały o czymś intensywnie. Jednocześnie zdalnie operował panelem łączności - kody bezpieczeństwa same wpływały na ekran, kolejne okna pojawiały się i gasły, transferowane siłą umysłu tajne hasła uruchamiały kontrolne procedury. Na ekranach pojawiały się kolejne sylwetki - elfów i ludzi, o szarżach nie niższych niż pułkownik.

Majchrzak drgnął, wracając do rzeczywistości.

- Znacie sytuację, panowie - zaczął bez wstępów i powitania. - Proponuję prowokację. Jeśli barlogi idą walczyć z Iksem, to nam nie zaszkodzi. Jeśli nie, możemy je do tego nakłonić. Plan minimum to zniszczenie ich instalacji i linii przesyłowych.

- Czy to nie za daleko dla nas? - spytał generał Michaił Sniegow, dowódca Pierwszej Brygady Spadochronowej.

- Helikoptery dotrą, ale najprawdopodobniej nie wrócą.

- Rozumiem. Wykonamy - w głosie generała nie było emocji. On, syn uciekinierów z Petersburga, wracał już z wielu bitew, z których podobno nie było powrotów.

- To nie będzie konieczne, użyjemy floty. Pana ludzie być może będą musieli pomóc geografowi. Trzeba podnieść całą granicę - powiedział hetman El-Galad. - Bitwa może się rozlać.

- Tak, hetmanie.

- Mamy deficyt satelitów - do rozmowy włączył się doktor Stefański. - Trzeba będzie przesunąć kilka. Mogą być kłopoty na wschodzie.

- Translacja kadabrowa? - spytał Majchrzak.

- Możemy wysłać elfy, pięciu, może sześciu. Dla ludzi za daleko - odpowiedział Sniegow.

- Czy to wystarczy? Czy barlogi uwierzą, że chcemy przejąć Ikxa, i zdecydują się go zniszczyć? Szwedowicz? - spytał cicho hetman.

- To możliwe - odpowiedział ostatni z rozmówców, profesor pułkownik Jerzy Szwedowicz, szef służb psychologicznych Wojska Polskiego. - Uważam, że plan majora Majchrzaka jest dobry.

- Wiele ryzykujemy, nie jesteśmy gotowi do wojny, nie było ewakuacji.

- Nie wiemy, czy uda nam się tam wprowadzić kolejnego człowieka. I kiedy. Dopóki Kajetan jest na miejscu, możemy działać.

- Stracimy wielu ludzi, generale, pańskich najlepszych ludzi, w pozorowanej operacji - hetman zwrócił się do Sniegowa.

- Już tracimy - odpowiedział generał - jeżeli Kajetan zginie.

- Akurat on jedyny - powiedział spokojnie hetman - ma szansę ucieczki. Jedyny.

- Mamy minutę! - Stefan Stefański krzyknął nerwowo. - Potem stracimy Gralewskiego i Kłobudzkiego.

- Dane płyną! - znów zameldował jeden z łącznościowców. - Geograf cały czas nadaje!

Zapadła cisza. Hetman El-Galad, naczelny wódz armii Królestwa Polski, milczał. Kuzyn króla, mag. Jednym słowem zabijał barlogów. Jednym gestem powstrzymywał wybuchy wulkanów. Jedną myślą ochraniał życie ludności całych miast. Katolik. Mąż ludzkiej kobiety. Miłośnik latawców i kolejek elektrycznych. Poeta. Kowal.

Milczał, ważąc konsekwencje swojego rozkazu, śmierć setek żołnierzy, panikę na granicach, koszty uruchomienia wojennej maszyny, a przede wszystkim ryzyko, że konflikt urośnie i że to bardzo zły moment na rozpoczęcie nowej wojny.

- Tak. Zaczynicie od wywołania tam deszczu. To ich trochę spowolni - powiedział w końcu, mrużąc oczy i rozsyłając we wszystkie strony mentalne rozkazy. - Podnieście wojsko. Musimy to zrobić.

- Robert Gralewski umiera - powiedział jeszcze Stefan Stefański, nim wszyscy uczestnicy narady rozłączyli się.

Przyszedł ostatni rozkaz.

UCIEKAJ! UCIEKAJ:

Czuł, że umysł ojca gaśnie, a zewnętrzne wsparcie słabnie. Niknęło stopniowo, osłabiając wiązania zaklęć. Na szczęście - gdyby rwało się skokowo, jak gubiący zasięg telefon, byłoby to znacznie groźniejsze. W ułamku sekundy chroniące go enpisy mogłyby się rozpaść, pętlowe mantry obronne zerwać, a gradienty pól zaporowych obniżyć do poziomu, który umożliwiłby przebicie czarnej magii.

Czy tam, w Warszawie, dowiedzieli się już wszystkiego, czego chcieli? Czy jeszcze nie, ale przewidywali ostateczne zerwanie kontaktu i chcieli dać mu szansę powrotu? Nieważne. Teraz mógł już myśleć o sobie.

Zwinął pola, podpuścił bliżej Smoka, pozwolił podejść jegrom. By się stąd wyrwać, musiał wszystko rozegrać z idealną synchronizacją.

Kiedy wirująca globula kryształów darła jego ostatnie egidy, wyprowadził cios. Osłaniając plecy ryngrafem, a bok tarczą, skoczył w głąb groty, ku jednemu z ciał zawieszonych w sieci Smoka. Wsunął miecz do pochwy, złożył dłoń w potężnym kata i wysłał czar przejmujący. Z czubków palców wystrzelił enpis, czarno-biała jaskółka o lśniących metalicznie skrzydłach i skrzących się ogniem paciorkach oczu. Fryga. Pomknęła jak błysk, przecinając kryształy Smoka, tak że roztrysnęły się niczym wielkie krople wody, i wbiła się w twarz człowieka z sieci. A potem w nią wniknęła.

Wtedy Kajetan wypisał dłonią w powietrzu słowo zaklęcia - na moment zajarzyło się czerwono, charakterystycznym krojem liter zwanym solidarycą, najpotężniejszym i rzadko używanym. Pchnął czar ku węzłowi sieci, naruszonemu już przez kadabrową jaskółkę.

Nie, nie wierzył, że zdoła zniszczyć Smoka, ale potrzebował spokoju i czasu. Spokoju - by zwrócić się przeciw drugiemu wrogowi. Czasu - by przeprowadzić rytuał przejścia. Ciągnął moc z

osnowy, czuł, że już borguje energię, że zapożycza się za bardzo, a to może skończyć się utratą kontroli nad enpissami, egidami i własnym ciałem. Musiał się śpieszyć.

Sieć zadygotała, ludzie znajdujący się w węzłach zaczęli krzyczeć. Wili się w swych niewidocznych gniazdach, machali rękami, kurczowo to podginali, to prostowali nogi. Jakby nagle zalała ich fala wody, a oni zaczęli się topić i rozpaczliwie próbowali wynurzyć się na powierzchnię.

Człowiek zainfekowany przez nanokadabry wrzeszczał najgłośniej i trząsał się z taką siłą, że rozdygotał dwie liny wyrastające z oczodołów. Jego głowę otoczyła błękitna poświata i niczym gazowy płomień popęzła wzdłuż sznurów. Te zaś zaczęły drgać, wić się, pęcznieć w miejscach, przez które przechodził ognik. Dotarł do drugiego człowieka, potem kolejnego i ich twarze objął niebieskim żarem. Znów się rozdzielił, pomknął dalej.

- Wybaczcie, będę się za was modlił, nie mogę wam pomóc, wybaczcie! Bóg z wami! - wymantrował Kajetan, znów sięgając po miecz.

Cielsko Smoka ogarnął chaos. Kryształ rozbiegły się we wszystkie strony, zderzały, rozpryskiwały, traciły przejrzystość i wyraźny kształt. Atak na podtrzymującą je sieć udał się, potwór z innego Planu stracił spójność i kontrolę nad swymi ruchami, tak jak straciłby ją człowiek, gdyby nagle jego kości zamieniły się w sflaczałą gumę.

Kajetan wiedział, że flauta nie potrwa długo, że Smok zbierze siły, bo przecież jedno, nawet potężne zaklęcie tylko na krótki czas mogło sparaliżować jego aktywność, ale nie mogło go zniszczyć. Nie zwlekając, skierował swe ostrze ku drugiemu przeciwnikowi. Jego akcja zluzowała też jegrów. W grocie zostało ich teraz tylko trzech. Przestali odbijać ataki Smoka i ruszyli na Kajetana. Na to liczył.

Wysłał koty, pchnął tarczą. Ciosem miecza rozerznął głowę jednego z wrogów, po zgrabnej fincie przebił pierś drugiego. Kątem oka zobaczył, że Bagheera rozgryza gardło ostatniego.

Padł na kolana i zaczął szeptać zaklęcia. Nie miał czasu na prawidłowe rytuały, nie dysponował wszystkimi niezbędnymi artefaktami, więc musiał na przygotowania poświęcić więcej czasu i nie popełnić żadnego błędu.

Poczuł pulsowanie na piersi. Wiszący na mithrilowym łańcuszku amulet zadrżał, po czym sam wysunął się spod bluzy, zawisł w powietrzu jak kawałek metalu przyciągany odległym magnesem. Klucz Przejścia otwierał się.

Ssał uciekające życie jegrów, wpił się w śmiertelną energię płynącą z ich ran, wysysał resztki jaźni i pęczniał jak kleszcz.

Był akumulatorem mocy, wytworem magicznej technologii obcego Planu, a do przekroczenia granic światów potrzebował rytuałów i śmierci.

- Ruiny Shangri-la, tato! - powiedział cicho Kajetan i w tym momencie poczuł, że Smok, zwalczwszy infekcję, rusza do ostatecznego ataku.

I to był ostatni obraz, jaki zobaczył Robert Gralewski, nim jego umysł się zamknął.

Ciemność groty, Kajetan klęczący i pogrążony w modlitwie. Przed nim ścierwa jegrów. Wokół

na powrót samoorganizujący się ruch kryształowego cielska Iksa. Uspokajający się już ludzie w węzłach sieci. Płomień nanokadabr ścierających się z wrogą magią coraz bliżej Kajetana. Gasnący i kurczący się blask ryngrafu. Enpisowe koty po raz drugi tego dnia rozszarpywane na kawałki.

A potem zamigotały lampki **OIOM-owej** aparatury. Ciało Roberta naprężyło się nagle, by po chwili zwiotczeć.

- Straciliśmy go!
- Łączność zerwana!
- Wypnijcie go!
- Mamy dane?
- Shangri-la! Chyba Shangri-la!
- Rozpocząć rytuały! Wysłać zespół!
- Tak jest, panie majorze!

Do wyłożonego mosiądzem pomieszczenia wbiegł Grendor Majchrzak i lekarze. Zaczęli wypinać Roberta z transferowej aparatury.

- Żyje!
- Umysł?
- Nie wiem, ale nie jest chyba dobrze...

*

Plan Shangri-la był idealnym światem ucieczkowym. Był wąski. Kajetan już z niego korzystał.

Tak jak poprzednio, wylądował w pustej przestrzeni wypełnionej żółtym, gęstym światłem - jakby w niedużej piwnicy zapalono mnóstwo czterdziestowatowych żarówek, tyle że blask wydawał się jednorodnie wypełniać całą trudną do wymierzenia wzrokiem przestrzeń. Dopiero kiedy wzrok się przyzwyczaił, dawało się tu zauważyć strukturę Planu i istoty go zamieszkujące. Rozjaśnianą przestrzeń przecinały tunele utworzone jak gdyby z rur nieco słabszego lub mocniejszego blasku. Wiły się wokół jak cielsko jakiegoś gigantycznego węża upchane do szklanego naczynia. Wypełniały prawdopodobnie cały kosmos Planu Shangri-la, aczkolwiek ludzie zbadali tylko niewielki jego fragment, przylegający do Planu Ziemi. Elfy też nie wiedziały wiele więcej. Ani człowiek, ani elf, ani jegier czy barlog, ani żaden wytwór ich techniki nie potrafili przeniknąć powierzchni świetlnej rury, to były jakieś fizyczne bariery tego uniwersum, odporne na znaną magię i technologię. Można było poruszać się tylko wzdłuż tunelu, i to na niezbyt duże odległości, jeśli chciało się zachować życie. Wnętrze Planu Shangri-la wypełniała nieznana w innych światach materia nazywana flogistonem, paraliżująca magię fagową i kadabrową, blokująca elektryczność i światło, bo te rodzaje energii słabły tu z piątą potęgą odległości. Pozostawały oddziaływania mechaniczne - można było uderzyć mieczem czy wystrzelić pocisk, tyle że i tu tajemnicze własności Shangri-la, przedziwnie w nim obowiązujące prawa akcji i reakcji skutecznie blokowały prowadzenie działań zbrojnych. W uproszczeniu wyglądało to tak, jakby w rurze działała bardzo silna grawitacja, skierowana zawsze ku intruzowi, prostopadła do przekroju tunelu. Chciałeś iść do przodu - jakbyś przedzierał się przez kiesel. Wystrzeliłeś - pocisk przelatował może metr, zwalniał,

zatrzymywał się, wracał do ciebie. Ciąłeś mieczem do przodu - ruch był powolny, jakbyś nurkował w smole, a na dodatek ugięta jak gąbka przestrzeń po chwili odbijała ramię do tyłu.

Średnice rur Shangri-la czasem wynosiły kilka, czasem kilkanaście metrów i człowiek mógł się swobodnie przemieszczać w płaszczyźnie przekroju samą siłą woli. Im bardziej jednak zbliżał się do wewnętrznej powierzchni rury, tym opory wzrastały, a ruch spowalniał, jakby wyściółkę kanału stanowił Horyzont Zdarzeń podobny do tego otaczającego czarne dziury.

Istoty tego świata były pierścieniami światła przesuwanymi się wzdłuż rur, przenikającymi, rozpraszającymi, wsuwającymi migoczące iskry do wnętrza tuneli. Nazywano je różnie - helionami, ringami, dżdżownicami. Kajetan najbardziej lubił określenie „hulahopy”.

We wnętrzach głównych tuneli znajdowały się też liczne konstrukcje, które potrafiło dostrzec czasem i ludzkie oko - cienkie struny światła, czasem idące wzdłuż osi głównej rury, czasem po promieniu, zakręcające, pętłące się, zaciśnięte w skomplikowane węzły. Wytwory te nazywano miastami, choć nikt nie wiedział, czy są sztucznie budowanymi konstrukcjami, czy naturalnymi tworam Planu Shangri-la i do czego służą hulahopom. Światłne istoty spelzały na nie ze ścian tuneli, łączyły się w nich, prawdopodobnie prowadziły o nie wojny. Człowiek nie był w stanie się do nich zbliżyć, tak jak i do wewnętrznej powierzchni głównych tuneli.

Inaczej było w miejscu nazywanym ruinami. Tu światłne przewody wygasły, pozostawiając w żółtym świetle wyrwy cienia, jak nici zeschniętego czarnego makaronu, pozwijanego w skomplikowane węzły, ale też popękanego, wykruszonego. Martwego. Hulahopy omijały tę przestrzeń, więc zbadano ją, pomierzono i opisano w miarę możliwości.

Tu miał właśnie skoczyć i tu ewentualnie zyskać pomoc.

I skoczył.

Tak naprawdę Przebicie trwa moment, ale umysł ludzki nigdy nie przywyka do tego procesu - kreuje zwiady, emocje, zaburza postrzeganie czasu i przestrzeni. I Kajetan, jak zawsze, zobaczył to, czego tak bardzo się obawiał. Zielony las, w tle zarys domów rodzinnej wioski, a tuż obok, dwa kroki może, swoją siostrę - małą jak przed laty ośmioletnią dziewczynkę, patrzącą jednak na niego dorosłymi oczami, zgasłymi od lat cierpienia i samotności.

- Pomóż mi, Kajtek - mówiła Dorka. - Proszę, pomóż, ja żyję i czekam na ciebie. Pomóż mi, proszę.

Jak zawsze próbował ruszyć w jej stronę, wyciągał rękę, otwierał usta do krzyku i wtedy majak znikał. Przebicie.

Klucz Przejścia wypalił dziurę w błonach oddzielających obce światy, otoczył Kajetana ochronnym kokonem i wepchnął w Plan Shangri-la.

Czekali tam na niego. Kiedy wynurzył się w żółtym blasku nowego Planu, poczuł uderzenie jegierskiej mocy. Osłabione przez prawa tego uniwersum, ale skoncentrowane wyłącznie na nim, nieprzygotowanym i osłabionym skokiem. Nie miał gdzie uciekać. Shangri-la to wąski plan.

To będzie potyczka w zbliżeniu, pojedynek modliszek zatopionych w kisielu, starcie dziwadła w świetle hulahopów, które zaciekawione już zaczęły nadpływać nad pole walki. Wiedział, że

przegra, mógł powstrzymać czterech jegrów w swoim świecie, ale nie tu, gdzie moc jego magicznych artefaktów jest tak osłabiona. Będzie miał przeciw sobie cztery ostrza i osiem ramion i któreś z nich na pewno zada ostateczne uderzenie.

Zbliżali się po dwóch z obu stron, z wysiłkiem jak ktoś, kto próbuje iść pod prąd wiatru w tunelu aerodynamicznym. Oszacował wzrokiem odległość, a potem sam z wysiłkiem ruszył w stronę pary jegrów, która była bliżej. Może uda się ich pokonać, nim dogonią go pozostali dwaj.

A potem żółta przestrzeń na chwilę przygasła i w murze pojawiły się kolejne sylwetki. Komandosi z Pierwszej Brygady Spadochronowej imienia Sosabowskiego. Pięciu.

Kajetan Kłobudzki, królewski geograf, spojrzał na zasłoniętą maską twarz najbliższego jegra i uśmiechnął się. Czas wracać do domu.

*

Najpierw sprowadzono deszcz.

Płanetnicy nadlecieli wraz ze stadami ciągnących znad Polski kawek, mew startujących z pływających platform Zatoki Bałtyckiej, perkozów z Wyspy Sztokholmskiej. Ptaki sunęły falami, czerniąc niebo, zwijając się w trójwymiarowe symbole mocy, napełniając powietrze trzepotem milionów skrzydeł. Na nich, niczym na ruchomej powietrznej poduszce, opierali się pasterze chmur, magiczne konstrukty ze świata elfów. Płynęli nad ziemią, rozciągnięci na setki metrów, zmiennokształtni, z oddali przypominający postrzępione obłoczki. Płanetnicy byli strzępem materii, delikatnym, mglistym, łatwym do przebiccia i rozerwania, ale praktycznie niezniszczalnym środkami konwencjonalnymi. Pianą z wody, białka i nanokadabr, obdarzoną formą zwierzęcej inteligencji na tyle rozbudowanej w niektórych aspektach, że zdolni byli do samodzielnego wykonywania misji. Żywili się wodą z chmur, potrafili ją gromadzić, transportować i słać na ziemię w postaci deszczu. Wielu uważało, że tak jak koty przebywają w kilku Planach jednocześnie. Strzegli granic, stanowili często forpoczta ataku. Jeśli w Królestwie wybuchały rebelie wołchwów wywołane skutecznym atakiem Czarnych na psychosferę, to płanetnicy i ich chmury zaczęli pacyfikację zarażonych obszarów. Płynęli na objęte kwarantanną tereny i zsyłali tam nasycony kadabrami oczyszczający deszcz, w który wkraczali potem otoczeni aquaracenami egzorcysty.

Teraz też bombardowanie miało się zacząć od deszczu.

Najpierw jednak swą bitwę musiały stoczyć ptaki, na których powitanie podniosły się z jegierskiej ziemi roje złowadów. Zagrzmiały artylerie wyrzucające w powietrze ogień i rozpryskowe pociski. Zaczęły się materializować luftwaffeny, enpisy Czarnych, które miały nie tyle zabijać ptaki, co rozproszyć moc tworzoną ich ruchem, zakołysać oparciem pasterzy chmur, zmusić je do upadku i ucieczki.

Na Morzu Północnym, w miejscu, w którym kiedyś leżało miasto Bergen, woda zakotłowała się, rozstąpiła. Na powierzchnię jeden po drugim wynurzały się sentoku, potężne podwodne lotniskowce Czwartej Floty US Navy. Trzystumetrowe cielska pancernych kaszalotoidów, monstrów morskich powstałych po Wielkiej Wojnie, parowały srebrem i nanokadabrową magią. Schwymane, oswojone i scybernetyzowane, obsługiwane przez setki żołnierzy, toczyły nieustającą

wojnę w głębinach nie tyle nawet z armiami barlogów, co z potworami kreowanymi czarną mocą i postwojennymi mutantami. Dbały o bezpieczeństwo szlaków komunikacyjnych, umożliwiały wsparcie desantowe czy tak jak teraz - lotnicze.

W bokach ich ciał otwierały się platformy, a z nich startowały małe samoloty, dwupłatowce pomalowane w jaskrawe kolory i runy manewrowego wsparcia. Za sterami siedział zawsze jeden człowiek i jeden elf, bracia krwi, złączeni często chowskim ślubowaniem. Maszyny podrywały się z miejsca niemal pionowo, wbrew zwykłemu prawom aerodynamiki, niosąc pod kadłubami kuliste, najeżone kolcami bomby głębinowe, zdolne ryć zapory ze skał i magii.

Rój samolotów pomknął na południe, tam, gdzie właśnie zaczynał się atmosferyczny szturm.

Pasterze deszczu już wykonywali swą robotę, przędąc wokół siebie chmury. Ciemnoszara nawałnica pełzła nad Marchią, nie roniąc jednak żadnej kropli, zbierała się, pęczniała. Płanetnicy krążyli przy jej brzegach i też się przeformowywali, konstruując wewnętrzny szkielet podtrzymujący ciało nimbostratusa.

A kiedy nadpłynęli na cel, odwołali kłębiące się pod chmurą ptaki i spuścili potop.

Deszcz paraliżował czarną magię, płoszył jęgrów, osłabiał nawet barlogi, wypłukiwał fagi, rozszarpał luftwaffeny.

Potem nadleciały samoloty i zaczęły bombardowanie, niszcząc skondensowaną w transporterach i podziemnych silosach matematykę.

A potem w pozbawionej matematyki przestrzeni skolapsowały prawa fizyki i anihilacyjna kula pożarła tysiąc kilometrów sześciennych świata, zabijając ludzi, barlogi, jęgrów, zagarniając kilka bombowców. Być może i Smoka. Nowa Kurtyna odgrodziła się od rzeczywistości - nieprzenikliwy sześcian, wyższy niż Czomolungma, wbity w ziemię i pochylony, o czarno-sinich ścianach przekrojonych na dziewięć pól czterema bruzdami. Gigantyczna kostka Rubika, bezgłośnie przesuwająca w przestrzeni swoje poziomy, omywana deszczem, który według niektórych będzie padał wiecznie.

* Epilog * Robert Gralewski leżał nieruchomo na szpitalnym łóżku, z rękoma sztywno wyprostowanymi na kołdrze, z lekko uchylonymi ustami i długimi, wyraźnie przetłuszczonymi włosami.

Maszyny tłoczyły krew do jego ciała, oddychały za niego i próbowały odessać z jego umysłu złogi eteralnej sadzy.

Na krześle obok łóżka siedziała zapłakana Łucja - nie podniosła wzroku, gdy Kajetan wszedł do izolatki. Ubrany był po cywilnemu, prawy rękaw koszuli podwinął aż za łokieć, by materiał nie drażnił nowego tatuażu, imienia kolejnego utraconego wierzchowca - Tytusa.

- Dzień dobry, ciciu. - Zrobił krok w jej stronę, ale widząc brak jakiegokolwiek reakcji, zatrzymał się. - Przyjechałem najszybciej jak mogłem.

- Co cię zatrzymało? - odpowiedziała po chwili namysłu drżącym głosem.

- Wiesz przecież. Musiałem złożyć raporty, zdać meldunki. Sama kwarantanna to prawie trzy dni. Wytrzepali ze mnie worek fagów. - Próbował się uśmiechnąć. Podeszedł do łóżka, przyklęknął,

dotknął palcami zimnej dłoni Roberta, ostrożnie, by nie poruszyć wbitego w żyłę wenflonu podajnika leków. - Jestem tu, słyszysz mnie? - spytał cicho. - Wróciłem, udało się. Wyciągnęli mnie stamtąd dzięki tobie, dzięki tobie, ojczy. Wybacz mi, byłem głupi, wybacz mi... - Pochylił głowę, niemal dotykając czołem przykrytego kołdrą biodra Roberta.

- Mówią, że nie słyszy - nagle odezwała się cicho Łucja. - Ale mnie się wydaje, że słyszy. Jak do niego mówię, to czasem porusza oczami, pod powiekami... Mówią, że to nerwowe, samoczynne... no, że to tylko tik.

- Wyjdzie z tego! Wyjdzie! To kwestia czasu. - Odwrócił się do niej, wyciągnął ramiona. Nie opierała się dłużej, przytuliła do Kajetana, szlochając.

- Jak mogłeś?! Jak mogłeś go odrzucić?! On tak cię kochał, Kajetan, jak mogłeś?!

- On mnie wciąż kocha, on żyje i wróci! - powiedział dobitnie. - A ja byłem głupi. Lecz naprawimy to, uwierz mi, ciociu. Wszystko.

Odsunęła się, otarła oczy.

- Znow ją widziałeś?

- Tak. Słyszysz, tato? - ponownie zwrócił się do Roberta. - Widziałem Dorkę w czasie transferu. Wiem, jestem pewien, że to nie majak. Była...

Nagle zamilkł. Spojrzał na twarz nieprzytomnego człowieka.

- Widziałem nowy Plan, przywoziłem jego koordynaty, wykonałem misję. Tato...

Nie, nie przywidziało mu się. Usłyszał to - cichy głos, dobiegający z oddali, słaby, drżący, myślozdanie przetransferowane z umysłu do umysłu.

„Wiedziałem, że wykonasz, synu. Jesteś przecież królewskim geografem. Witaj w Warszawie”.

- Tato! - krzyknął Kajetan, podrywając się z kolan. - Słyszę cię, słyszę!

„To dobrze”. Myślogłos nadal był słaby. „Jestem tu. Nie drzyj się tak, bo mi bębenki popękają. I podrap mnie w wielki palec lewej stopy, bo swędzi jak cholera!”